SENS ZAMIAST SENSACJI | Jak być szczęśliwym rodzicem ▪ Strażacy z Donbasu
Gra Moskwy z Watykanem ▪ Kobiety zmieniają futbol ▪ Szczery uśmiech małpy

Kraków 30 lipca – 5 sierpnia 2025 nr 31 (3969) cena 15 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

POLACY CHCĄ DZIŚ DŁUŻEJ PRZEBYWAĆ Z RODZINĄ, KRÓCEJ PRACOWAĆ I DBAĆ O SWÓJ ROZWÓJ

Życie na czas? Czas na życie!

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

eprasa.pl f07d14359b

www.stolicajezykapolskiego.pl

REKLAMA

Festiwal

Stolica Języka Polskiego

3—9.08.2025
Szczebrzeszyn, Zamość

Patron XI edycji
Stanisław Ignacy Witkiewicz

fot. domena publiczna

Są z nami między innymi:

Artur Andrus, Jacek Cygan, Marek Dyjak, Sebastian Fabijański, Arkadiusz Janiczek, Maja Komorowska, Antoni Libera, Maciej Makselon, Włodzimierz Nahorny, Radek Rak, Janusz Strobel, Magda Umer, Krzysztof Zanussi i inni

Organizator:

Fundacja Sztuki Kreatywna Przestrzeń

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

Współorganizatorzy:

Miasto i Gmina Szczebrzeszyn

Powiat Zamojski

Miasto Zamość

Projekt współfinansowany ze środków Miasta Zamość. Zadanie współfinansowane ze środków Powiatu Zamojskiego.

Patronat honorowy:

Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Patronat Honorowy Prezydent Miasta Lublin Krzysztof Żuk

Mecenas Festiwalu:

Bank Polski

Partnerzy Festiwalu:

lubelskie Smakuj życie!

Partnerem wydarzenia jest Województwo Lubelskie – Urząd Marszałkowski Województwa Lubelskiego

Partner Pasma Językowego:

Mecenas Nagrody „Człowiek Słowa"

Partnerzy medialni:

lubimyczytać.pl

KS. ADAM

Boniecki: *Rezerwa mądrości*

Artykuł Massima Faggiolego o „zapasach mądrości” Watykanu podnosi na duchu, choć czytany z roztargnieniem mógłby przygnębiać. Przypomina czasy nie tak dawne, bo powojenne, ale uwzględniając zmienność realiów politycznych. To, co wydawało się rozwiązaniem trwałym, okazywało się nietrwałe, a przynajmniej nie tak trwałe, jak się zdawało. Niebezpieczeństwa światowego wybuchu, jakoś dotychczas zażegnywane, dziś wydają się nieuniknione. A środki, których dziś można użyć w wojnie, są nieporównywalne do tych, których używano w wojnach poprzednich. Głos papieża dziś wydaje się jakby bez znaczenia. A jednak mimo wszystko tekst – pisany przez specjalistę – nie jest pesymistyczny. Rezerwy mądrości, które wciąż posiada Rzym, pozwalają optymistyczne patrzeć w przyszłość. Tak ten artykuł czytam.

Przychodzą na myśl dawne czasy, kiedy to papieże organizowali wojny, jak choćby wyprawy, by zdobyć Ziemię Świętą, albo by osiągnąć cele, które wcale niekoniecznie wiązały się z rozszerzaniem wiary. A jeśli nawet się wiązały, to często kosztem przewagi militarnej, śmierci i przymusu przyjęcia chrześcijaństwa. Wojny na tle religijnym, kary nakładane na „heretyków”, prawa, które głosiły *cuius regio, eius religio*, palenie ludzi na stosach za ich przekonania lub nawet za podejrzenie, że głoszą coś, co nie jest zgodne z wiarą... To wszystko było w naszej historii. Myślę, że dziś od takiego podejścia jesteśmy daleko, choć czasem nie jestem pewien, czy rzeczywiście aż tak bardzo.

Oczywiście, dziś więcej ludzi ginie za wiarę niż z powodu nieprawomyślnej wiary. Przez dwadzieścia wieków nauczyliśmy się jednak nieco tolerancji. Tylko nieco, bo nadal z trudem akceptujemy ludzi inaczej niż my myślących. Bo pamiętajmy też, że dziś – powiedzmy to wyraźnie – częściej niż za wiarę ludzie giną, bo chcą polepszyć swój los. Choćby emigrujący z regionów suszy i biedy, żyjący w okropnej nędzy. I tego ich życiowego pragnienia nie da się odmienić. Coraz więcej ludzi będzie ciągnąć w te regiony, w których żyje się lepiej. Ostatecznie nie na wiele się zdadzą przemoc i inne sposoby zatrzymania emigrantów czy uciekinierów.

Chrześcijaństwo każe nam się dzielić z tymi, którzy są w potrzebie. W rezultacie jedni się dzielą, inni budują mury. Oczywiście, są dziś kraje, gdzie ci biedni ludzie są potrzebni. Potrzebni nie znaczy jednak dopuszczeni do korzystania z owoców, które są dostępne ludziom dobrze się mającym. Potrzebni są do ciężkiej, marnie opłacanej pracy, której nie chcą wykonywać miejscowi. To się może udawać, ale tylko do czasu. Bo stopniowo dzieci pariasów zaczną kończyć studia i już nie zechcą być pariasami. Lepiej też nie myśleć o tych, którzy nie będą niczego kończyć, tylko na skróty wezmą się za poprawę własnej sytuacji. Myślę, że nie ma sposobu na zażegnanie tego niebezpieczeństwa, które rośnie z każdym mijającym dniem.

A jednak jest jakaś „rezerwa mądrości”, napisał Faggioli, w Watykanie, co czytać należy – jak sądzę – że również w Kościele. Jakaś rezerwa istnieje. Ziemia chyba nigdy nie stanie się rajem, jednak może ludzie pod ciśnieniem zachodzących zmian, w wyczerpanym świecie, przestaną wreszcie wzajemnie się zabijać. Kto wie, może nawet zaczną się naprawdę dzielić tym, co mają. Zmiany klimatu – i inne – sprawią, że po prostu będą mieli mało. Nie wiem i nawet nie próbuję zgadywać, co nastąpi. Może Stolica Apostolska poza ludzkimi mocami ma jakieś nadprzyrodzone – i one nas uratują? Tak czy inaczej, nie należy tracić nadziei. Może władza wpadnie w dobre ręce, może egoiści nie będą mieli nic do gadania czy też może – kto wie – rozwalimy nasz glob całkiem i pójdziemy wszyscy... No, gdzie? To się okaże. Bo nie sądzę, byśmy wszyscy trafili do nieba. ©℗

GRAŻYNA MAKARA

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem.

TP W NASTĘPNYCH NUMERACH „TYGODNIKA”

JACEK K. SOKOŁOWSKI
Jakim prezydentem był Andrzej Duda? Czy w polskim modelu ustrojowym możliwa jest głowa państwa niezależna od woli partyjnego przywódcy?

MARCIN ŻYŁA
Dlaczego znów kochamy pociągi? Bo zmieniły się jak nasz styl życia. Polska kolej chce przewozić pół miliarda pasażerów rocznie.

MARTYNA WASIUTA
Czechexit – czy to czeka Czechy, jeśli do władzy wróci Andrej Babiš? Czy w Pradze nastanie kolejny rząd eurosceptyczny, może nawet prorosyjski?

Stoik powie, że to, co nas straszy, smuci albo cieszy, to nie rzeczy jako takie, tylko nasze wyobrażenia na ich temat. Prof. Marcin Napiórkowski ujmie to w sposób łatwiejszy to uchwycenia, bo odwołujący się do codziennej praktyki: decyzji nie podejmujemy na podstawie faktów, ale na bazie opowieści. Myśl tego badacza kultury współczesnej pojawia się w rozmowie zamykającej nowy numer „Tygodnika". **ANNA KRAWCZAK**, przepytywana przez Przemysława Wilczyńskiego, broni rodzicielstwa przed narracją, w której przeważają negatywy, skupione wokół takich haseł jak zmęczenie, wyrzeczenie, życiowa rewolucja, wreszcie: wypalenie. Świadomie wybiera inną opowieść: o szczęściu i wzroście.

To rozmowa o pięknie rodzicielstwa, ale bez „malowania trawy na zielono". Krawczak szuka pozytywów w tym, co trudne, np. w – mówiąc eufemistycznie – informacji zwrotnej od dziecka, która bywa szczera, przykra i bezlitosna. „Od dzieci dostaniesz za darmo wgląd w siebie, w swoje reakcje, relacje – nikt ci tego nie da w takiej skali jak one". Albo w tym, że czasem trzeba pozwolić sforsować dziecku własne granice. Np. w takiej sytuacji: „O 22.00 mój syn – gdy ja szykuję się do snu – przychodzi i oczekuje kolejnej głębokiej rozmowy np. o tym, czym jest krytyczna metoda poznawcza. Wiem, ile to mojemu dziecku daje, i ile ja z tego dostanę".

W tym numerze jest więcej zaskakujących opowieści. Jak ta **MAŁGORZATY JACKO,** prezeski parafialnego klubu sportowego z Krakowa, o tym, że trening piłkarski może służyć ewangelizacji. Albo **MARKA RABIJA**, który studiując raporty GUS-u, szkicuje, minuta po minucie, „budżet" czasu współczesnego Polaka. Ile pracujemy, ile odpoczywamy, ile scrollujemy, i co to wszystko o nas mówi? Sprawdźcie w „Temacie Tygodnika".

Ale największy *crossover* czeka Państwa w dziale „Z oddechem". **MONIKA OCHĘDOWSKA**, obserwując angielską napastniczkę Michelle Agyemang atakującą bramkę przeciwniczek, przegląda eseje filozoficzne Byung-Chul Hana. Rodzi się z tego zapadająca w pamięć refleksja o nadziei, która „sadowi się zawsze poza biegiem zdarzeń". ©℗

MACIEJ MÜLLER
REDAKTOR PROWADZĄCY

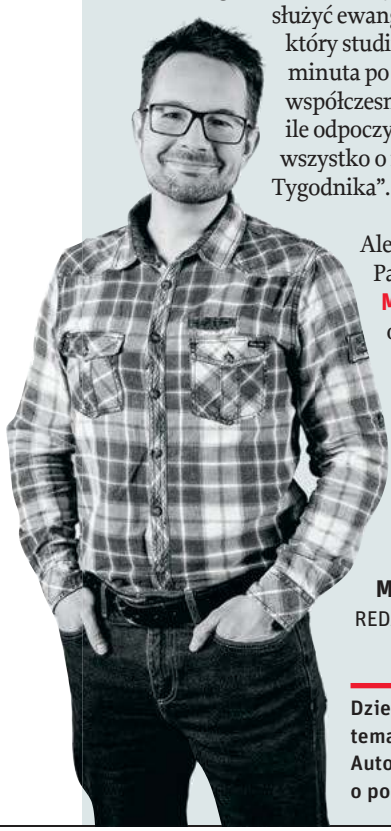

Dziennikarz działu Wiara, piszący również na tematy historyczne oraz dotyczące zdrowia. Autor kilku książek, m.in. „Żywych pochodni" o początkach chrześcijaństwa.

34 Strażacy z Konstachy
ANTONINA PALARCZYK
Blok rozpruła eksplozja, ziemię wkoło pokrywają rzeczy wyrzucone z mieszkań. Twarze strażaków, gdy wybiegają z zadymionej klatki schodowej, pokrywają krople potu.

60 Spojrzenie matki
ROZMOWA Z MAŁGORZATĄ ARLET, PRYMATOLOŻKĄ
Makaki czepkowe nieco obawiają się ludzi i raczej starają się ich unikać. Ale dla lodów na patyku zrobią wszystko.

64 Dobra książka
DOROTA MALINA
Po publikacji książki Camille Kouchner inne ofiary kazirodztwa zaczęły ujawniać swoje historie. Boję się jednak, że w Polsce zostanie odczytana jako kolejny dowód na francuską perwersję.

GRAŻYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH / TP // JONASZ CHLEBOWSKI // MAŁGORZATA ARLET / ARCHIWUM PRYWATNE // BÉNÉDICTE ROSCOT / MATERIAŁY PRASOWE WYDAWNICTWA CZARNE

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Mała książka, wielki sens
MONIKA OCHĘDOWSKA

7-9 Komentarze

10-11 Informacje

■ ■ KRAJ

18 Zagadka Pałacu
PIOTR ŚMIŁOWICZ: *Prezydentura Karola Nawrockiego wstrząśnie polską polityką*

22 Migracyjny ping-pong
PAWEŁ MUSIAŁEK *o skutkach wprowadzenia kontroli na zachodniej granicy*

25 Żądam wyjaśnień
MAŁGORZATA NOCUŃ *o relacjach nauczycieli z rodzicami uczniów*

■ ■ Z ODDECHEM

30 Nadzieja i działanie
MONIKA OCHĘDOWSKA: *Nie wszystkie superbohaterki rodzą się na wzgórzach Hollywood*

■ ■ ŚWIAT

34 Strażacy z Konstachy
ANTONINA PALARCZYK

38 Sewilla, której nie widzą turyści
AGNIESZKA ZIELIŃSKA: *Dzieci rzadko kończą tu szkołę, a marzenie o lepszym życiu ściera się z rzeczywistością nielegalnych upraw marihuany*

41 Wolność medyczna i jej cena
MARTA ZDZIEBORSKA: *Robert F. Kennedy Junior obiecuje uczynić Amerykę znów zdrową*

■ ■ WIARA

46 Więcej niż wynik
ROZMOWA Z MAŁGORZATĄ JACKO *o tym, czy da się ewangelizować na boisku*

49 Niewidzialna krzywda
MONIKA BIAŁKOWSKA: *Zakonnice coraz odważniej pytają, co sprawia, że zakon zamiast chronić, staje się tak łatwo miejscem niebezpiecznym*

TEMAT TYGODNIKA

KASIA KOZAKIEWICZ DLA „TP"

12 Od czasu do czasu
MAREK RABIJ
W świecie, który prawie na wszystko nakleja metkę z ceną, zadziwiająco łatwo zrezygnowaliśmy z ochrony najcenniejszego zasobu, jakim jest nasz własny czas.

■ FELIETONY ■

11 BARTOSZ MINKIEWICZ
28 ZUZANNA RADZIK
76 PAWEŁ BRAVO
82 TOMASZ STAWISZYŃSKI

ILUSTRACJA NA OKŁADCE:
KASIA KOZAKIEWICZ DLA „TP"

52 Watykan śni o Helsinkach
MASSIMO FAGGIOLI *o watykańskiej dyplomacji*

55 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ HISTORIA

56 Samotność nad Warszawą
PATRYCJA BUKALSKA: *Ze zrzutami dla powstańców w sierpniu i wrześniu 1944 roku latali Polacy, Brytyjczycy, Kanadyjczycy, Australijczycy, Amerykanie i obywatele Południowej Afryki*

■ ■ NAUKA

60 Spojrzenie matki
ROZMOWA Z MAŁGORZATĄ ARLET, PRYMATOLOŻKĄ

■ ■ KULTURA

64 Dobra książka
DOROTA MALINA

68 Karki i biodra
JAN BŁASZCZAK: *Sukces zespołu Queens of the Stone Age wynika z myślenia o muzyce jako o dzikiej, pierwotnej sile*

70 Wyczerpanie wyczerpania
MACIEJ MIŁKOWSKI *o pisarstwie Johna Bartha*

73 Polecamy
KSIĄŻKA, ALBUM, KOMIKS

74 Za duże na bajki
Anita Piotrowska o filmie „Bird" Andrei Arnold

75 Inna granica
LEKTOR *o książce Mikołaja Grynberga „Rok, w którym nie umarłem"*

■ ■ PSYCHE

78 Zróbmy sobie sens
ROZMOWA Z ANNĄ KRAWCZAK, BADACZKĄ DZIECIŃSTWA: *Odrzucam popularną ostatnio opowieść o rodzicielstwie jako udręce i lęku przed przyszłością*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

„TYGODNIK" JUŻ CZEKA NA CIEBIE...
TO JEST MOŻLIWE – POZNAJ OFERTĘ NA STRONIE 44

Zapisz się na newsletter
POWSZECH.NET/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
POWSZECH.NET/PODKAST

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

MAŁA KSIĄŻKA, WIELKI SENS

Do polskich rodziców w ramach jednej z promocyjnych akcji trafiło sześć milionów czytelniczych wyprawek. Raczej się nie zmarnują: aż troje na czworo matek i ojców znad Wisły deklaruje, że czyta dzieciom.

MONIKA OCHĘDOWSKA

Wtedy jeszcze nie potrafiłam czytać, przygodą była sama wyprawa do osiedlowej księgarni – w określone dni, których obie z mamą wyczekiwałyśmy. Ponieważ zaglądałyśmy tam dość często, księgarka pamiętała, które tytuły mamy już w domu i odkładała dla nas nowości ukazujące się w ramach popularnej w latach 80. serii „Poczytaj mi, mamo".

Założę się, że nie tylko posiadające dziś własne dzieci pokolenie milenialsów ciepło wspomina tamte wydania w formacie 15 na 15 cm, z charakterystyczną grafiką autorstwa malarki i ilustratorki Krystyny Michałowskiej. Lekkie zeszyty w miękkiej okładce pasowały do dziecięcych rączek i były dość tanie. Teksty wyłonione w konkursach wydawnictwa Nasza Księgarnia ilustrowali najlepsi ówcześni graficy, malarze i plakaciści: Bohdan Butenko, Hanna Czajkowska, Edward Lutczyn, Krystyna Witkowska i inni.

POWYŻEJ:
Święto Wolnej Książki na Wyspie Młyńskiej w Bydgoszczy, czerwiec 2022 r.

Dziś książki dla najmłodszych stanowią pokaźną część rynku księgarskiego. Są pięknie wydane, świetnie zilustrowane, zdobywają nagrody na międzynarodowych targach i rozgłos na świecie, jak w przypadku Aleksandry i Daniela Mizielińskich. Jednak – jak pokazuje badanie przeprowadzone właśnie na zamówienie Instytutu Książki przez Agencję Badania Rynku SESTA – czasu na czytanie mamy jakby mniej. A może, jak przekonają się Państwo po lekturze Tematu Tygodnika, staramy się go lepiej organizować.

Pierwszy kontakt z książką jest niezwykle ważny: nie tylko wykształca nawyk sięgania po lektury, sprzyja też rozwijaniu relacji, prowokuje do rozmów, pobudza wyobraźnię, poszerza słownictwo. Z tego powodu wiele krajów na świecie od lat prowadzi tzw. programy bookstartowe, wręczając rodzinom czytelnicze wyprawki już na oddziałach położniczych. Także w Polsce,

w ramach prowadzonego przez Instytut Książki projektu „Mała książka – wielki człowiek” do dzieci trafiło ponad 6 mln wyprawek, niektóre otrzymały je zaraz po narodzinach, inne w przedszkolach oraz za sprawą publicznych bibliotek. Ponieważ część obdarowanych odpowiedziała na pytania dotyczące czytania dzieciom, z ogłoszonego w zeszłym tygodniu raportu na ten temat możemy się dowiedzieć wielu ciekawych rzeczy.

Przede wszystkim: to nie brak funduszy decyduje, czy zaglądamy do księgarni. Największa liczba książek nie znajduje się dziś wcale w domach najlepiej sytuowanych rodzin. Jeśli sami czytamy, chętniej dzielimy się tą pasją z dziećmi. 75 proc. ankietowanych deklaruje, że raz w tygodniu czytała dziecku. Nawet jeśli w interpretację podobnych wyników wpisana jest wstrzemięźliwość (na takie pytania po prostu „wypada” odpowiadać twierdząco, zwłaszcza gdy dostało się podarunek), akcja musiała przynieść efekt. Aż 80 proc. rodziców przyznaje, że wyprawka zmotywowała ich do zakupu kolejnych tytułów. Dorośli, którzy sami dużo czytają (min. raz w tygodniu), częściej dzielili się też otrzymanymi książeczkami z innymi rodzinami, przyjaciółmi i bliskimi.

To sprawia, że nasze dzieci często dostają książki w prezencie, głównie od dziadków. Z kolei wypożyczający dla dzieci z bibliotek, po otrzymaniu od Instytutu Książki wyprawek chętniej powracali do wypożyczalni. Istotnie częściej byli to mężczyźni, którzy – jak pokazują ostatnie dane GUS – rzeczywiście ochoczo zaglądają w ostatnich latach do publicznych bibliotek, głównie w poszukiwaniu tytułów dla maluchów.

Częściej czytamy też dzieciom najmłodszym niż tym w wieku szkolnym. Kiedy dziecko nauczy się czytać, prawie 30 proc. rodziców powoli rezygnuje z tej formy wspólnego spędzania czasu. Sami najbardziej lubimy w wolnym czasie oglądać filmy i seriale (47 proc. ankietowanych) albo gotować (42 proc.). Co ciekawe, ponad 30 proc. rodziców jako zainteresowanie wymienia media społecznościowe oraz zakupy. Ponad 20 proc. rodziców lubi spędzać swój wolny czas, grając w gry komputerowe.

Z raportu można też pośrednio wyczytać jedną z odpowiedzi na pytanie, kiedy decydujemy się na posiadanie dzieci. Z przebadanej grupy trzydziesto- i czterdziestolatków (mieszkających zarówno w dużych, jak i małych miastach, oraz na wsi) aż 70 proc. ma umowę o pracę w pełnym wymiarze godzin, a tylko ok. 10 proc. prowadzi własną działalność. Sytuację finansową rodzice określili jako zadowalającą, stabilną albo bardzo dobrą. Dzieci pojawiają się dziś w naszym życiu, kiedy czujemy się bezpieczni. A czytamy, gdy ktoś przekona nas, że może być to po prostu przyjemne. ©℗

ROMAN BOSIACKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Samobójczy ruch Zełenskiego

WOJCIECH KONOŃCZUK

Prezydent Ukrainy i jego obóz polityczny postanowili zlikwidować niezależność instytucji antykorupcyjnych – tych, których powstanie było jednym z największych osiągnięć reformatorskich po rewolucji godności z 2014 r. Nie docenili jednak własnego społeczeństwa.

Wcześniej władze w Kijowie starannie przygotowały się do działania. W ostatnich tygodniach podległa ośrodkowi prezydenckiemu prokuratura wszczęła postępowanie przeciw Witalijowi Szabuninowi, jednemu z głównych aktywistów antykorupcyjnych. Natomiast prorządowe media zaczęły kampanię dyskredytacji Inny Wedernikowej, znanej dziennikarki śledczej.

Następnie, 22 lipca, parlament w ekspresowym tempie przyjął zmianę prawa, likwidując *de facto* niezależność instytucji kluczowych dla walki z korupcją: Narodowego Biura Antykorupcyjnego (NABU) i Specjalnej Prokuratury Antykorupcyjnej (SAP). Na dzień przed tym głosowaniem Służba Bezpieczeństwa Ukrainy (narzędzie w rękach władz) dokonała najazdu na wybranych pracowników NABU i SAP, zarzucając im rzekome powiązania z Rosją.

Przyjęte zmiany nadały Prokuraturze Generalnej – tradycyjnemu instrumentowi walki politycznej każdej ukraińskiej władzy – możliwość dostępu do śledztw NABU i SAP, a także do wydawania poleceń ich pracownikom. Zmiany te przegłosowano, co warto podkreślić, nie tylko głosami prezydenckiej partii Sługa Narodu, ale też części opozycji. Potwierdza to, że ogromna część ukraińskiej klasy politycznej jest zjednoczona w oporze przeciw agencjom walczącym z korupcją wśród polityków i urzędników.

Już wcześniej – właściwie od chwili, gdy w 2015 r. utworzono NABU i SAP – kolejne ekipy rządzące próbowały ograniczyć ich niezależność. Za każdym razem okazywało się to nieskuteczne ze względu na opór społeczny i krytyczną postawę USA i UE. Także teraz nie ma wątpliwości, że za te działania odpowiada bezpośrednio Wołodymyr Zełenski (już na początku prezydentury podjął próbę ograniczenia niezależności NABU i SAP).

Dlaczego zdecydował się na to teraz? Zapewne uznał, że wszczęte ostatnio przez biura antykorupcyjne śledztwa przeciw członkom rządu, a także – jak twierdzą media – sprawy przygotowywane wobec innych współpracowników prezydenta to zagrożenie dla jego obozu. Być może sądził też, że jeśli nawet będą protesty, cała sprawa ujdzie mu na sucho.

Jednak się przeliczył. Po głosowaniu z 22 lipca w wielu miastach zaczęły się wielotysięczne demonstracje, a organizacje obywatelskie wyrażały oburzenie. Krytyczne głosy pojawiły się ze strony UE i państw unijnych. W efekcie już dzień później prezydent ogłosił, że składa do parlamentu kolejny projekt ustawy, która ma przywrócić niezależność NABU i SAP.

Niezależnie od dalszego rozwoju wydarzeń, skończył się pewien rozdział w relacjach między prezydentem a społeczeństwem ukraińskim. Zaczął się spór, którego prowadząca egzystencjalną wojnę Ukraina nie potrzebuje, i który będzie szkodzić jej interesom. Ręce może zacierać Rosja, bo Kijów strzelił sobie widowiskowego samobója. Jego skutki dla stabilności kraju i dla procesu jego integracji europejskiej są oczywiste. ©

Autor jest dyrektorem Ośrodka Studiów Wschodnich, stale współpracuje z „TP”.

KILKADZIESIĄT MIAST

na całej Ukrainie stało się po 22 lipca miejscem protestów przeciw likwidacji niezależności NABU i SAP. Protestowano od Użhorodu, Lwowa i Łucka na zachodzie po Charków, Sumy i Zaporoże na wschodzie, gdzie zasadniczo obowiązuje zakaz zgromadzeń z powodu ciągłego zagrożenia atakami bombowymi. Na ulice wyszli głównie ludzie młodzi, wielu z własnoręcznie wykonanymi plakatami, a także wielu weteranów.

Co dalej z kulturą

PIOTR KOSIEWSKI

Ministrą kultury, zgodnie z nowym podziałem resortów wśród koalicjantów w rządzie Donalda Tuska, została Marta Cienkowska, związana z Polską 2050 politolożka i producentka teatralna. Jej nominacja była zaskoczeniem – dzień wcześniej mówiono o innej osobie na tym stanowisku.

Można odnieść wrażenie, że MKiDN, za rządów Zjednoczonej Prawicy jeden z najważniejszych resortów, jest obecnie traktowane jako jedno z podrzędnych i obsadzane „z łapanki". Jednak Marta Cienkowska nie jest nową osobą w tym ministerstwie – od grudnia 2023 r. była w nim wiceministrą. To może być jej poważnym atutem – zna resort i prace w nim już prowadzone.

Przed kilkoma dniami MKiDN zakończyło konsultacje publiczne i uzgodnienia międzyresortowe projektu ustawy o zabezpieczeniu socjalnym osób wykonujących zawód artystyczny. Nowe prawo miałoby obowiązywać od 2026 r. Po raz pierwszy od 1989 r., o co od lat zabiegały środowiska twórcze, państwo zadbałoby o minimalne zabezpieczenie bytowe osób, które tworzą polską kulturę. Zakończyło się także zbieranie uwag do ustawy o organizowaniu i prowadzeniu działalności kulturalnej – dotychczasowa, z 1991 r., już dawno nie przystaje do obecnej rzeczywistości. A ta ustawa jest swoistą „konstytucją" dla kultury, określa bowiem zasady funkcjonowania instytucji jej poświęconych.

Wreszcie zaczęto zbierać uwagi do ustawy dotyczącej finansowego wspierania produkcji audiowizualnej.

To tylko kilka przykładów zmian prawnych, nad jakimi w ostatnim czasie pracowało ministerstwo. Lista koniecznych zmian jest zresztą długa – wciąż nie ma chociażby ustaw dotyczących mediów publicznych czy rynku książki. Hanna Wróblewska wprowadziła zasadę organizacji konkursów na dyrektorów instytucji kultury podległych ministerstwu. Po raz pierwszy odbyły się one w wielu instytucjach, w których do tej pory to minister kultury samodzielnie wyznaczał ich szefów. I wymagała ich przeprowadzania w instytucjach podległych samorządom. Ograniczyła również wpływ ministerstwa na wyniki w programach dotacyjnych, likwidując tzw. ocenę strategiczną. O tym, kto dostaje wsparcie, decydowali odtąd wyłącznie eksperci. Owszem, wydzielono dodatkową pulę środków do wyłącznej decyzji szefa MKiDN, a niektóre z dotacji w ten sposób przyznanych wywołały kontrowersje.

Jest pytanie o los tych wszystkich działań pod nowym kierownictwem. Co i jak będzie kontynuowane oraz – nie mniej ważne – jakie inne kwestie zostaną podjęte. ©

Trump i „sprawa Epsteina"

MARTA ZDZIEBORSKA

Krążące po sieci filmiki z płonącymi protrumpowskimi bejsbolówkami to dziś symbol gniewu na prezydenta USA. Jego fani nie mogą pogodzić się z tym, że Departament Sprawiedliwości i FBI odmówiły ujawnienia kolejnych akt dotyczących Jeffreya Epsteina. To zmarły w 2019 r. finansista i przestępca seksualny, oskarżany o handel nieletnimi kobietami. To także bohater teorii spiskowych podsycanych przez prawicowych influencerów, którzy od lat twierdzą, że Trump to wybranek namaszczony do zwalczania sekretnej siatki pedofilów.

Dlatego w ruchu „Make America Great Again" (MAGA) zawrzało, gdy władze potwierdziły wcześniejsze ustalenia, że Epstein zmarł w celi śmiercią samobójczą (a nie na skutek spisku), i że nie prowadził listy prominentnych klientów, których mógłby szantażować. Departament Sprawiedliwości twierdzi teraz, że „lista Epsteina" nie istnieje, choć szefowa resortu Pam Bondi wcześniej chwaliła się, że lista już czeka na jej biurku. Sam Trump w trakcie kampanii obiecywał, że ujawni akta tej sprawy, co – w myśl teorii spiskowych – miało obnażyć mroczne sekrety elit pociągających za sznurki w USA. Teraz, gdy nazywa całą sprawę „nudną", MAGA spekuluje, czy prezydent nie ma czegoś do ukrycia.

Trumpowi nie pomagają doniesienia mediów. „Wall Street Journal" twierdzi, że w 2003 r. napisał urodzinowy liścik do Epsteina, a także, że już w maju dostał ostrzeżenie, iż jego nazwisko figuruje w aktach Epsteina. Obaj znali się dobrze: w 1993 r. Trump zaprosił go na ślub ze swoją drugą żoną; zdarzało mu się też latać samolotem Epsteina i zapraszać go na imprezy w swojej rezydencji na Florydzie.

Zapewne dla odwrócenia uwagi zaczęto więc serwować tematy zastępcze: upubliczniono akta w sprawie znienawidzonej przez prawicę Hillary Clinton i dotyczące zabójstwa Martina Luthera Kinga w 1968 r. (wokół tej śmierci do dziś krążą różne teorie). Ale „podrzucanie kawałków czerwonego mięsa nie wystarczy. Ludzie chcą pełnej kolacji ze stekiem" – kwituje te działania radykalna republikańska kongresmenka Marjorie Taylor Greene. Do ujawnienia akt „sprawy Epsteina" nawołują też inni Republikanie.

W tej całej sprawie trudno nie zgodzić się z Taylor Greene: nie można karmić ludzi teoriami o „głębokim państwie", skradzionych wyborach i intrygach elit, a potem chować głowę w piasek. Trump wpadł we własne sidła i po raz pierwszy poczuł, że nie jest wobec ruchu MAGA nietykalny. ©

STEPHANIE KEITH / GETTY IMAGES

Protestujący z portretami Jeffreya Epsteina i Donalda Trumpa przed budynkiem sądu federalnego w Nowym Jorku, 8 lipca 2019 r.

NA PUNKTY

MARSZAŁEK
„Zamachu stanu się ze mną nie zrobi” – oznajmił zuchowato w Polsat News Szymon Hołownia, dodając, że przeprowadzenie tej operacji wielokrotnie mu proponowali ludzie, którym „nie podobał się wynik wyborów prezydenckich”. Po burzy, którą wywołał, i pytaniu, czemu nie zgłosił się do prokuratury, marszałek wytłumaczył, że frazy nie użył w znaczeniu prawnym, tylko politycznym.

PREMIER
Burzę po posianiu słów kwestionujących wyniki wyborów zbierał również Donald Tusk na spotkaniu z własnym elektoratem w Pabianicach. „Naprawdę chcecie żyć w kraju, w którym policja będzie liczyła głosy, a następnie ogłaszała wyniki wyborów?” – pytał wzburzony, dodając, że ma wrażenie oglądania „niestety w okolicy, czy w środku koalicji rządzącej takiego dość upiornego wyścigu idiotów albo zdrajców”.

NIŻ
W związku z rzeczywistymi deszczami i burzami nad Polską władze zwołały sztab kryzysowy oraz wydały liczne alerty RCB. ©℗

Czytajmy siebie ze zrozumieniem

ARTUR SPORNIAK

Mówić, że Abraham przyjął gości, dlatego mamy przyjąć wszystkich migrantów? Przecież to jest takie naciągane!” – to komentarz udzielającego się w internecie księdza biblisty, odwołujący się – choć nie wprost – do listu kard. Grzegorza Rysia (na zdj.), który miał być odczytany w niedzielę 20 lipca. Biblista upomina, by nie zawłaszczać Ewangelii dla własnych poglądów. Inny popularny w mediach społecznościowych ksiądz wcale nie krył, czyj list krytykuje. To „szantaż” upokarzający dla myślącego katolika, a „naginanie Biblii do tez migracji w UE jest rodzajem grzechu”. Duchowny cieszył się, że nie musiał czytać listu łódzkiego metropolity, gdyż jest z innej diecezji. Ale w archidiecezji łódzkiej też zdarzali się księża, którzy nie odczytali listu albo go ocenzurowali o część poświęconą migracji.

JAN GRACZYŃSKI / EAST NEWS

Nie uważam, że księża nie mogą krytykować biskupów, przeciwnie – „komu wiele dano, od tego wiele wymagać się będzie”. Wymagajmy więc i od biskupów, co nie zwalnia nas jednak z obowiązku czytania ich ze zrozumieniem. Cytowani powyżej duchowni najwyraźniej nie dostrzegli wagi przesłania. Kard. Ryś nigdzie nie mówi, że mamy przyjmować wszystkich migrantów (to politycy chcą, byśmy sobie nawzajem wmawiali skrajne poglądy!). Mówi o „czynach”, które – „nierzadko powołując się na chrześcijańskie motywacje” – godzą w inicjatywy ewangeliczne, jak prowadzone przez Caritas centra pomocy uchodźcom. Wspomina o hejcie i podsycaniu nienawiści. Prosi o „nawrócenie języka”.

List reagował na groźne wydarzenia. W Wałbrzychu z powodu fałszywej plotki omal nie zlinczowano obcokrajowca i tylko dzięki interwencji policji nie podpalono mieszkania z cudzoziemcami. Skrajni nacjonaliści zapowiedzieli marsze przeciwko migrantom w całym kraju. Można było odnieść wrażenie, że narasta atmosfera przedpogromowa. Na takie sytuacje trzeba szybko reagować. Należałoby sobie życzyć, żeby jak najwięcej biskupów i księży to rozumiało. ©℗

Minister na czas przesilenia

MAREK KĘSKRAWIEC

Nominacja Waldemara Żurka na ministra sprawiedliwości oznacza, że Donald Tusk się nie poddał, a na kluczowe stanowisko powołał człowieka, który nie przestraszy się wojny, a wręcz sam ją rozpęta. Jeśli koalicja ma utrzymać władzę w 2027 r. (choć pewnie w innej niż dziś konfiguracji), musi przejąć inicjatywę. To zaś oznacza ostre starcie z opozycją w Sejmie i z prezydentem Karolem Nawrockim na najważniejszym polu konfliktu: wokół afer z epoki PiS i sytuacji neosędziów w KRS i Sądzie Najwyższym. Tu musi wreszcie dojść do przesilenia, a jeśli Żurkowi uda się przekonać społeczeństwo, że walczy z ludźmi, którzy nie likwidowali żadnej kasty w sądach, tylko tworzyli własną, mającą zapewnić im bezkarność – ma szansę przywrócić życie rządowi.

Żurek zderzy się jednak z całą machiną PiS, ze straszącymi go więzieniem politykami prowadzącymi nieustanną aktywność w internecie, z agresywnymi mediami prawicowymi, z obstrukcją ze strony prezydenta, który nie podpisze żadnej ustawy odblokowującej system, skoro dotychczas okazywał się on tak skuteczny w paraliżowaniu rządu.

Powyższe wyzwania przygniotły Adama Bodnara, którego zespół niechętnie chodził na skróty, a gdy sondaże koalicji zaczęły spadać, to zarówno w ministerstwie, jak i w sądach i prokuraturach malała ochota do zmian; dało się wręcz odczuć obstrukcję. Mając w perspektywie powrót armii Kaczyńskiego do władzy, podwładni Bodnara niechętnie angażowali się w działania, które mogłyby złamać im karierę. W przypadku szykanowanego latami przez PiS Żurka, który spalił za sobą mosty, rezygnując z zawodu i immunitetu sędziego, oraz ogromnych pieniędzy dziś i w stanie spoczynku – mamy gwarancję, że stworzy on (o ile już tego nie zrobił) zespół, który pójdzie na wojnę, choćby z neosędziami zainstalowanymi w KRS.

Jeśli więc Nawrocki nie podpisze ustaw odwracających „deformy”, możemy się spodziewać, że Żurek po prostu sparaliżuje KRS. A wybory za dwa lata staną się kolejnym plebiscytem w wojennej oprawie. ©℗

GRAŻYNA MAKARA

KS. JACEK PRUSAK SJ, PSYCHOTERAPEUTA:

Księża potrafią długo tłumić agresję i świetnie maskować problemy emocjonalno-psychologiczne.

EDWARD AUGUSTYN: Ksiądz dopuszcza się brutalnego morderstwa. Czy kandydaci do kapłaństwa badani są pod kątem agresji?
KS. JACEK PRUSAK SJ: Nie ma takiej potrzeby. Księża przechodzą diagnostykę przesiewową na początku formacji, więc zakłada się, że ewentualne tendencje agresywne zostaną wtedy wykryte. Zresztą gdyby istniały, werbalne czy fizyczne, ujawniłyby się na tym etapie, kiedy kleryk jest stale w otoczeniu innych, pod wpływem narzuconych reguł i w zamkniętym środowisku, co czasem generuje silną frustrację czy lęk. Osoba o ukonstytuowanych cechach agresywnych jest wtedy usuwana z seminarium lub zakonu.

A potem przychodzi samotność, celibat, presja społeczna.
To mogą być czynniki ryzyka, ale nie bezpośrednie przyczyny przemocy.

Co więc nimi było w przypadku proboszcza z Przypek pod Warszawą?
Jeśli agresja nie jest spowodowana zaburzeniem somatycznym lub psychicznym, ma zwykle charakter kontekstualny.

Motywem miał być spór o sprawy materialne.
To motyw deklarowany. Ale czynnik patogenny mógł być ukryty. Sprawca i ofiara znali się od ponad dwudziestu lat, co wskazuje na istnienie między nimi jakiejś więzi. Zabity powierzył swój los na starość w ręce księdza, traktował go jak przyjaciela. Może w tej relacji coś narastało przez długi czas i eskalowało w tym wydarzeniu, powodując działanie w afekcie? Sprawca nie był pod wpływem środków psychotropowych, od razu przyznał się do winy, dokładnie opisał zdarzenie.

Czy taką tłumioną agresję da się wcześniej zauważyć?
Księża potrafią świetnie maskować problemy. Po wyjściu z seminarium jest zasada „radź sobie sam”.
W Polsce mamy tylko jeden ośrodek pomocy psychologicznej dla duchownych. Tylko tam księża mogą uzyskać pomoc w przypadku problemów emocjonalno-psychicznych, z powodu wypalenia, przepracowania, samotności czy społecznej niechęci. Takich miejsc powinno być więcej, co najmniej tyle, ile jest ośrodków leczących z uzależnień. Księżom w kryzysie psychicznym nikt nie pomaga, a oni sami boją się prosić o pomoc. Wsparcia instytucjonalnego w Kościele nie znajdą, jeśli ich problemy będą tajemnicą, a przełożeni nie będą umieli zareagować i zamiast pomóc, będą ich stygmatyzować.

Ostatnia tragedia może coś zmienić?
Nie sądzę. Prawdopodobnie zostanie uznana za kolejną anomalię. Można też się spodziewać demonizacji wydarzenia, mówienia, że ksiądz „przestał wierzyć w Boga”.

Może niektórzy biskupi zaczną zachęcać księży do zgłaszania problemów i szukania pomocy. Jednak nie sądzę, by pojawiła się jakaś strukturalna odpowiedź.

Abp Adrian Galbas szybko zareagował na wydarzenia. To w polskim Kościele rzadkość.
Szybka reakcja na zgorszenie i traumę oraz troska o rodzinę ofiary były słuszne. Ale stwierdzenie arcybiskupa, że czuje się moralnie odpowiedzialny za wszystkie decyzje księży, była jednak nadmiarowa.

Z punktu widzenia psychologicznego nie jest też dobrym pomysłem natychmiastowa laicyzacja sprawcy. Ksiądz powinien zostać suspendowany, być może dożywotnio. Resztę życia pewnie spędzi w więzieniu. Wydalenie go do stanu świeckiego to pozbycie się problemu. ©℗

Pływając w danych

STATYSTYKA ▪ Polska zajęła pierwsze miejsce, spośród 197 krajów świata, w opublikowanym właśnie globalnym rankingu ODIN, mierzącym dostępność danych publikowanych przez krajowe urzędy statystyczne. W poprzedniej edycji (2022/2023) zajęliśmy drugie miejsce po Singapurze, a w bieżącej (2024/2025) przegoniliśmy go.

Za co ta nagroda i czemu powinniśmy się cieszyć? Open Data Watch (ODW), organizacja publikująca ranking ODIN, sprawdza, na ile otwarcie poszczególne państwa dzielą się danymi, które gromadzą. Mowa o informacjach takich jak: liczba mieszkańców, częstość występowania chorób, przyczyny śmierci, liczba i charakter przestępstw, ceny mieszkań i żywności, użytkowanie gruntów i zasobów, produkcja energii, zanieczyszczenie powietrza... Na wysoką pozycję w rankingu zasługuje instytucja, która dane takie nie tylko regularnie publikuje, ale ponadto w formie dogodnej zarówno dla ludzi, jak i dla komputerów. ODW mierzy bowiem, czy dane są „AI-friendly” – na cóż nam moc AI i superkomputerów, jeśli kluczowe dane znajdują się w setkach przypadkowo sformatowanych plików?

Informacja to zaś główna siła napędowa układu nerwowego cywilizacji. Dzięki otwartym danym medycznym możliwa jest globalna koordynacja reakcji na zagrożenia zdrowotne. Dzięki jawności danych o zanieczyszczeniu powietrza i emisji dwutlenku węgla możemy przynajmniej próbować myśleć o rozwiązaniach globalnych problemów ekologicznych. Otwarta publikacja danych to znak, że aspirujemy do globalnego klubu państw działających w przejrzysty, zorganizowany sposób.

Wiedza może się też przydać każdemu z nas. Polski Geoportal udostępnia w czasie rzeczywistym dane o stanie wód w każdej polskiej stacji hydrologicznej, albo dane o powierzchni, ukształtowaniu terenu i jakości gleby każdej polskiej działki – dlaczego by więc nie zajrzeć przed zakupem gruntu? Jakże pouczającym narzędziem jest też Krajowa Mapa Zagrożeń Bezpieczeństwa, na której można zidentyfikować w swojej okolicy dzikie wysypiska śmieci, miejsca nielegalnych wyścigów lub drogi, na których wałęsają się bezpańskie psy.

Dzięki danym GUS-u możemy też zaspokoić zwykłą ciekawość. Z ostatniego Spisu Powszechnego dowiemy się choćby, że 2312 Polaków deklaruje jako swoje wyznanie pastafarianizm (przynależność do Kościoła Latającego Potwora Spaghetti), a 1360 osób w Polsce zgłasza, że mówi do siebie w domu po islandzku. GUS twierdzi też, że statystyczny Polak spędza dziennie 8 godzin i 35 minut śpiąc, 19 minut czytając, zaś 5 minut remontując i naprawiając. Tylko co teraz z tą wiedzą zrobić? © ŁUKASZ LAMŻA

Nieporadny Książę Ciemności

MUZYKA ▪ John Michael Osbourne urodził się w 1948 r. nieopodal Birmingham. W wieku 11 lat padł ofiarą molestowania ze strony rówieśników, miał za sobą próby samobójcze. Już w szkole przylgnęło do niego przezwisko Ozzy.

Jako czternastolatek po raz pierwszy usłyszał Beatlesów i zamarzył, aby pójść w ich ślady. Rok później rzucił szkołę, podejmując prace hydraulika, stroiciela klaksonów i budowlańca. Sprawdził się dopiero w rzeźni. Mając 17 lat, został przyłapany na kradzieży i trafił na trzy miesiące za kraty. Jako wokalista wystąpił po raz pierwszy w 1967 r. wraz z grającym wówczas na gitarze Terencem „Geezerem" Butlerem. Po serii wzlotów i upadków dołączyli do nich perkusista Bill Ward oraz gitarzysta Tony Iommi, który stwierdził, w sierpniu 1969 r., że skoro ludzie wydają pieniądze, by bać się w kinie, może będą chcieć wydawać je na mroczną muzykę. Tak powstał Black Sabbath, a wraz z nim heavy metal.

Horrorowa stylistyka stała się strzałem w dziesiątkę, a kariera zespołu szybko nabrała rozpędu. Z Ozzym na wokalu zespół nagrał osiem płyt, tworząc metalowe szlagiery, takie jak „Paranoid", „Iron Man", „Sabbath, Bloody Sabbath" czy „Sweat Leaf". W grupie zaczęły jednak narastać konflikty związane z alkoholowo-narkotykowymi ekscesami Ozzy'ego, które doprowadziły do usunięcia go z zespołu w 1979 r.

Rok później wydał pierwszą solową płytę „Blizzard of Ozz". Choć nigdy nie zerwał z heavy metalem, udało mu się wypracować styl znacznie różniący się od Black Sabbath, z wirtuozerskimi popisami gitarowymi, melodyjnymi utworami i wpadającymi w ucho refrenami.

MICK HUTSON / REDFERNS / GETTY IMAGES

OZZY OSBOURNE wraz z kolegami z Black Sabbath stworzył heavy metal. Szokował na scenie i poza nią. Jako pierwszy gwiazdor muzyki otworzył swój dom przed kamerami reality show. Zmarł zaledwie dwa tygodnie po koncercie kończącym karierę.

Na zdjęciu w 2010 r.

Solowa kariera Osbourne'a naznaczona była nałogami i skandalami. W 1989 r. próbował udusić żonę, Sharon Arden, co skończyło się kilkumiesięcznym odwykiem w klinice psychiatrycznej. Małżeństwo przetrwało. W latach 2002-2005 MTV emitowała reality show z udziałem rodziny Osbourne'ów, kręcony w ich domu w Beverly Hills. Ozzy, który z pewnością nie był typowym mężem i ojcem, dał się tam poznać nie jako Książę Ciemności, ale człowiek tyleż zabawny, co nieporadny i troskliwy.

W 2003 r. zaobserwowano u niego pierwsze symptomy choroby Parkinsona. Nie przeszkodziło mu to nagrać jeszcze wielu płyt solowych, nowego albumu Black Sabbath, reaktywowanego w trzech czwartych oryginalnego składu, oraz objechać cały świat z koncertami.

W ostatnich latach stan zdrowia Ozzy'ego pogorszył się, zdecydował się więc zakończyć karierę, co miało się dokonać w trakcie heavymetalowego show wszech czasów. Koncert „Back to the Beginning", podczas którego Black Sabbath wystąpił w pełnym oryginalnym składzie, odbył się 5 lipca w Birmingham. Siedzący na mrocznym tronie i wyraźnie wzruszony Ozzy zaśpiewał pięć swoich największych solowych hitów. Mało kto wtedy myślał, że Ozzy zaledwie dwa tygodnie później odejdzie. Zmarł 22 lipca 2025 r. © MATEUSZ HOHOL

BARTOSZ MINKIEWICZ

Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

TEMAT TYGODNIKA

OD CZASU DO CZASU

W świecie, który prawie na wszystko nakleja metkę z ceną, zadziwiająco łatwo zrezygnowaliśmy z ochrony najcenniejszego zasobu, jakim jest nasz własny czas. Czy da się jeszcze zawrócić z tej drogi?

TEKST: MAREK RABIJ | ILUSTRACJE: KASIA KOZAKIEWICZ DLA „TP"

Gdy studiowałem historię na Uniwersytecie Jagiellońskim, a było to z górą lat temu trzydzieści, jeden z emerytowanych wykładowców, prof. Józef Wolski, lubił opowiadać nam o swoim mistrzu, a prywatnie i teściu, profesorze Ludwiku Piotrowiczu. Ta sama, lekko nużąca powiastka, osadzona w realiach międzywojennego Krakowa, za każdym razem miała na celu to samo: unaocznić żakom skalę zmian, które na przestrzeni lat zaszły w społecznym odbiorze spauperyzowanej obecnie figury wykładowcy akademickiego.

Mnie w tych wspomnieniach zawsze uderzało jednak coś zgoła innego. Profesor Piotrowicz, jak z pietyzmem podkreślał jego zięć, nawet do pracy w domowym zaciszu wkładał garnitur, nienagannie wyprasowaną koszulę, krawat i wyglancowane na błysk buty. Czas, który poświęcał swej profesji, był dlań świętością wykluczającą choćby symboliczne koncesje na rzecz wygody. Nie pozwalał nawet, aby skupienie rujnowały mu wizyty szczebiocących wnuczek.

Piszę to, rozparty teraz w fotelu, w krótkich spodenkach, a zza krawędzi monitora laptopa wystają moje bose stopy. W zasadzie to wróciłem do pisania po dłuższej przerwie, którą w środku dnia pracy zrobiłem sobie na partię szachów z synem. Mamy w końcu lato i wakacje, ale *ignavis semper feriae*, leniwi zawsze mają wolne, jak by pewnie powiedział na ten widok zgorszony profesor.

I błądząc w myślach między zakończoną właśnie partyjką, w której w głupi sposób straciłem królową, a czekającymi na mnie obowiązkami służbowymi, zastanawiam się, który z nas lepiej gospodarował czasem. Ludwik Piotrowicz, który swoją dobę z precyzją zegarmistrza dzielił na odseparowane od siebie etapy i nie dopuszczał, by praca upodabniała mu się do czasu wolnego – i na odwrót? A może jednak ja, gdy usiłuję – jak miliony współczesnych Polaków – wyszarpnąć z nawału obowiązków choćby chwilę dla siebie i bliskich?

Rabunkowe gospodarowanie czasem

Do tych rozważań uruchomił mnie Główny Urząd Statystyczny, który pod koniec czerwca opublikował raport pod nieco mylącym tytułem „Budżet czasu ludności". Mylącym, bo w rzeczywistości chodzi po prostu o to, jak tym czasem gospodarujemy. W tym gigantycznym badaniu, powtarzanym co dekadę, wzięło udział blisko 55 tysięcy mieszkańców Polski w wieku od 15 lat, którzy – wyjąwszy oczywiście godziny snu – przez całą dobę, co dziesięć minut raportowali za pomocą stosownej aplikacji, czym się w tej chwili zajmują i gdzie przebywają. Tych, którzy z nowymi technologiami są na opak, uzbrojono w dzienniczki.

Badanie odbyło się w roku 2023, ale dopiero teraz udało się opracować zebrane w nim dane. Wyniki pokazują, w jaki sposób na przestrzeni dekady, która upłynęła od poprzedniej edycji z roku 2013, zmieniły się nasze życiowe priorytety i samo podejście do czasu. Rzeczywistość bez wątpienia zdążyła nam w tym czasie wykonać kilka spektakularnych fikołków i wymusić zmianę, albo i porzucenie niejednego nawyku. Pandemia i lockdown. Kryzys kosztów życia wyznaczany kolejnymi rekordami inflacji. Wreszcie – wojna w Ukrainie i dla wielu z nas pierwsze w życiu doświadczenie obawy o siebie i bliskich w tym najgłębszym, egzystencjalnym wymiarze.

Starczyłoby tego na całe pokolenie, nie na jedną zaledwie dekadę. I na niejeden sygnał od wszechświata, że czas wcisnąć hamulec. Albo dodać gazu, tyle że już gdzie indziej.

Tymczasem w streszczeniu wyników autorzy badania piszą, że w 2023 r. przeciętny Polak w wieku 15 lat lub więcej pracował zawodowo dłużej niż w 2013 r. Więcej czasu poświęcał także na prace domowe, a mniej czasu na odpoczynek i relacje towarzyskie. Wygląda więc na to, że wspomniany wyżej „budżet czasu" Polaków nadal podlega iście rabunkowej eksploatacji. Pędzimy do przodu bez oglądania się na konsekwencje, z dumą pokazując innym miano „jednego z najciężej pracujących narodów świata". Nawoływania socjologów i psychologów społecznych o zachowanie większej higieny codzienności albo spotykają się z niezrozumieniem, albo zderzają z bolesnymi realiami polskiej codzienności, która nadal nie pozwala na głębszy oddech.

Tylko jak pogodzić to z wynikami innej ankiety, przeprowadzonej w dodatku niemal w tym samym czasie? Gdy w 2022 r. CBOS zapytał Polaków, czy są zadowoleni ze swojego życia, aż 77 proc. ankietowanych odpowiedziało twierdząco (w tym 22 proc. zadeklarowało, że nie wyobraża sobie, by mogła mieć lepiej). *Tertium non datur*. Albo więc nauczyliśmy się czuć jak pączek w maśle w przyspieszającym kieracie codzienności, albo w dane opublikowane właśnie przez GUS trzeba się wczytać dokładniej.

Aby kolejny raz nie podpaść we własnych wyobrażeniach śp. profesorowi Piotrowiczowi, zasiadłem więc w skupieniu do lektury 269 stron danych i wykresów GUS. I powiem Wam, że nie jest z nami tak źle, jak się początkowo wydawało.

Kolejność potrzeb

Gdyby współczesną polską dobę wyobrazić sobie w kształcie piramidy Maslowa, otrzymalibyśmy figurę, której podstawę stanowią czynności związane z zaspokajaniem szeroko rozumianych „potrzeb fizjologicznych". Statystycy ewidentnie nie mają ucha do języka, bo powrzucali ↦

Rzeczpospolita samodzielnych

Ile naprawdę robimy w domu? Na to pytanie po raz pierwszy w historii Polski mamy precyzyjną odpowiedź. Statystycy GUS w ramach badania czasu ludności pokusili się bowiem także o dokładne obliczenie wartości pracy wykonywanej w domu, zarówno tej o przeznaczeniu rynkowym (na przykład uprawa warzyw na sprzedaż), jak i tej, której owoce konsumują nieodpłatnie członkowie rodziny, znajomi lub sąsiedzi.

O ile tę pierwszą częściowo ujmowały wcześniejsze obliczenia rachunków gospodarki narodowej, o tyle wartość nieodpłatnej nierynkowej pracy polskich gospodarstw domowych pozostawała zagadką. GUS oszacował ją w najprostszy możliwy sposób: sprawdzając, ile pieniędzy musiałyby wydać polskie rodziny, gdyby chciały na wolnym rynku zaopatrzyć się w ekwiwalent tego, co wytwarzają i robią dla siebie same.
W ten sposób statystycy otrzymali szokująco wysoką kwotę 2,605 bln zł rocznie, z czego aż 1,8 bln zł stanowiła praca czysto nierynkowa: opieka nad dziećmi, sprzątanie domu, przygotowanie posiłków dla rodziny itd. Gdyby z tej kwoty odliczyć produkcję rolną na własne potrzeby oraz drobne naprawy, nadal otrzymalibyśmy blisko 1,4 bln zł rocznie. A w przeliczeniu na osobę – ok. 3,9 tys. zł miesięcznie, czyli około 53,9 proc. ówczesnego przeciętnego wynagrodzenia brutto.

Można więc powiedzieć, że statystycznie każdy z nas ma, poza głównym zajęciem zarobkowym, dodatkowe niepłatne pół etatu w domu. Wartość pracy domowej w stosunku do przeciętnego wynagrodzenia wzrosła zresztą na przestrzeni omawianej dekady aż o 8,7 punktu procentowego – z 45,2 proc. Także dlatego, że w tym czasie znacząco wzrosły godzinowe stawki wynagrodzenia w relatywnie niskopłatnych profesjach odpowiadających pracom domowym. Produkt krajowy brutto Polski, czyli w uproszczeniu wartość wszystkich produktów, usług i pensji w gospodarce, wyniósł w 2023 r. 3,41 bln zł. Łączna wartość polskiej pracy nierynkowej, wykonywanej na potrzeby własne i najbliższych, sięgnęła zatem aż 53 proc. PKB. To zestawienie pokazuje, jak ważną rolę w polskim życiu społecznym pełni rodzina, która nadal porządkuje nam rzeczywistość i zabezpiecza znaczną część potrzeb bytowych. Pomimo tej samej otoczki cywilizacyjno-technologicznej, wiele elementów codzienności, które w krajach Europy Zachodniej dawno już stały się towarem kupowanym na rynku (wyżywienie, sprzątanie, naprawy domowe, w pewnym stopniu także opieka nad dziećmi), w Polsce pozostaje domeną gospodarstwa domowego.
©℗ MR

↦ jak leci do tego pojęcia i czynności *stricte* fizjologiczne, jak sen czy jedzenie, i zabiegi pielęgnacyjne – jak prysznic, fryzjer czy wizyta u lekarza lub wypad do kosmetyczki. Statystycznie w skali całego roku, a więc także z uwzględnieniem dni wolnych od pracy, z każdej doby schodzi nam na te cele aż jedenaście i pół godziny, z czego osiem godzin i 33 minuty przypada na sen.

Pięterko wyżej mamy pracę zawodową oraz inne obowiązki, w tym także domowe i podejmowane dobrowolnie, które łącznie, a więc także z uwzględnieniem dni wolnych, pochłaniają nam przeciętnie ponad siedem godzin. Do tej kategorii zaliczono także praktyki religijne oraz działalność charytatywną. Dalej docieramy już na szczyt piramidy dobowych polskich potrzeb, na której sytuuje się pragnienie odpoczynku, realizowane w średnim wymiarze czterech godzin i dziesięciu minut na dobę w skali roku. Mieści się tu konsumpcja mediów i dóbr kultury, życie towarzyskie, hobby, a nawet sport, i marnotrawienie czasu z telefonem w dłoni. Gdybyśmy chcieli być ultraprecyzyjni, na czubeczku powinniśmy umieścić jeszcze „inne nieokreślone zajęcia", głównie dojazdy do pracy i powrót do domu, które z każdej doby zabierają nam mniej więcej godzinę.

Słowem – nic sensacyjnego i liczby te warto przywołać jedynie z kronikarskiego obowiązku. Ciekawie robi się dopiero po zajrzeniu w głąb danych i po porównaniu ich z wynikami badania z roku 2013, zwłaszcza w rozbiciu na płcie. Okazuje się bowiem, że w podejściu do obowiązków i pracy kobiety i mężczyźni podążyli w tym czasie w przeciwnych kierunkach.

Statystyczna Polka wydłużyła czas pracy zawodowej o 21 minut na dobę w skali roku, podczas gdy Polak dołożył zaledwie dziesięć minut. Panowie rzucili się za to w wir obowiązków domowych. W 2023 r. polski mężczyzna każdego dnia opiekował się dzieckiem średnio o dwie minuty dłużej niż w 2013 r. Na zakupach spędzał cztery minuty dłużej niż przed dekadą i aż dziewięć minut więcej przeznaczał na przygotowanie żywności dla najbliższych. Ich partnerki mogły dzięki temu o dwie minuty skrócić średni dobowy czas spędzany w kuchni.

Na zakupach i przy opiece nad dziećmi obie płcie chętnie spędzały za to czas

wspólnie, bo panie nie zmniejszyły tu zaangażowania pomimo większej aktywności partnerów. Nie mogły na nią liczyć jedynie przy porządkach domowych. Przeciętny polski facet sprząta dziś średnio o dwie minuty krócej dziennie niż w 2013 r., a na usprawiedliwienie ma jedynie to, że i wśród pań średnie dobowe zaangażowanie w taką aktywność spadło w tym czasie o jedną minutę.

Niewykluczone, że za tymi liczbami kryją się po prostu kolejne zmywarki i roboty sprzątające trafiające pod polskie strzechy. Ale możliwe też, że odbija się w nich coś o wiele ważniejszego. Poczucie, że w domu możemy się wreszcie czuć... jak w domu.

Kwadrans dla rodziny

Choć słowo „rodzina" Polska odmienia przez wszystkie przypadki od lat, to po pandemii dom stał się dla nas centrum życia nie tylko w przenośni. Trudno zgadnąć, czy sprawił to sam lockdown, czy przymusowa izolacja w domu w połączeniu z zagrożeniem czyhającym na zewnątrz – rezultat jest ten sam. Na przestrzeni dekady dzielącej dwa ostatnie pomiary polskiej doby czas poświęcony pracy wydłużyliśmy o 11 minut, ale – jak podkreślają sami autorzy badania – za wspomnianym wzrostem kryje się także znaczny skok aktywności zawodowej Polaków, obserwowany od drugiej połowy zeszłej dekady. Dodatkowy kwadrans, o który wydłużyliśmy w tym czasie dobowe aktywności związane z domem i rodziną, nie ma za to żadnego drugiego dna. To pochodna coraz powszechniejszego przekonania, że właśnie w tę sferę warto inwestować czas.

O czym marzy dziś statystyczny polski mężczyzna, gdy spytać go o jego dobę? Odpowiedź może zaskoczyć. Aż 40,1 proc. chciałoby spędzać więcej czasu z dzieckiem (w przypadku pań odsetek takich odpowiedzi ledwie przekracza 27 proc.). Panom zauważalnie rzadziej niż paniom chodzi także po głowie myśl o skróceniu czasu przeznaczanego przez nich na obowiązki domowe (chciałoby tego 22 proc. kobiet i tylko 13 proc. mężczyzn) i iście obrazoburcze w polskich realiach społecznych pragnienie, by rzadziej zajmować się dziećmi (6,7 proc. pań i zaledwie 2,5 proc. panów). Rzecz jasna, mamy w tym przypadku do czynienia z klasycznym przypadkiem żarliwości debiutanta.

O czym marzy dziś statystyczny polski mężczyzna, gdy spytać go o jego dobę? Aż 40,1 proc. chciałoby spędzać więcej czasu z dzieckiem.

Polacy relatywnie od niedawna poczuwają się do czegoś więcej niż kurtuazyjnej „pomocy w wychowywaniu", którą ich partnerki będą mogły się pochwalić na niwie towarzyskiej. Skala różnic w deklaracjach w tych właśnie sprawach, niewidoczna nigdzie indziej (co do czasu na naukę, karierę, praktyki religijne, aktywność fizyczną obie płcie są niemal zgodne), każe jednak przypuszczać, że polski model męskości postanowił zakorzenić się głębiej w domowych pieleszach. To kobiety (43,6 proc.), a nie faceci (40,5 proc.), częściej marzą dziś o intensyfikacji kontaktów towarzyskich.

Lubimy być w domu, nawet szukamy ku temu okazji i pretekstów. Tegoroczne badania Horeca Trends pokazują, że aż 60 proc. klientów lokali gastronomicznych woli zamówić jedzenie na wynos, zwykle z dostawą do domu, niż jeść na miejscu. Po załamaniu w okresie pandemii widownia w polskich kinach zaczęła wprawdzie rosnąć, ale od dwóch lat oscyluje na poziomie 50 mln widzów rocznie – przy wyraźnie szybszych wzrostach zasięgu i samej liczby dostępnych w Polsce platform streamingowych.

Życie rodzinne dla wielu z nas stanowi dziś w pełni satysfakcjonujący zamiennik dla relacji towarzyskich, które redukujemy do minimum. W latach 2013-2023 średni dobowy czas takich interakcji skurczył się nam aż o 12 minut. Są i tacy, którym za całe towarzystwo starcza partnerka lub partner. Pandemia pozamykała nas w domach, inflacja wypłukała kieszenie, a wojna tuż przy granicy uświadomiła, że koszmar, którego prawie sto lat temu doświadczyli nasi przodkowie, może względnie łatwo stać się także naszym udziałem. Mamy rodziny, własny dom i chcemy się nim cieszyć, póki jeszcze jest czym. Nawet jeśli sprzątamy w nim nieco rzadziej niż przed dekadą.

Dość pracy

„Przez dziesięć ostatnich lat mieliśmy do czynienia z kulturą obrzydzania etosu pracy. (...) Skrajna, aktywistyczna lewica pławi się w tym, że jesteśmy głupkami i uprawiamy kulturę zapierdolu" – wypalił niedawno w głośnym wywiadzie Rafał Brzoska. Wypowiedź prezesa InPostu wkurzyła tych, których wkurzyć miała, i zbudowała tych, którzy od dawna czekali, aż ktoś to wreszcie powie głośno. Przywołuję ją w tym miejscu jedynie dlatego, że słowa Brzoski wydają mi się nie do obrony także w kontekście raportu opublikowanego właśnie przez GUS, a zakreślona przez niego cezura przypadkowo pokrywa się z zakresem czasowym cytowanego tu wielokrotnie badania.

Nie, nasz etos pracy ma się świetnie. Aktywność zawodowa Polaków od dwóch lat utrzymuje się na rekordowo wysokim poziomie 58,2 proc. Różnica w danych o bezrobotnych rejestrowanych w pośredniakach i tych, których w swoich bazach uwzględnia Eurostat (jedynie osoby bez pracy, które jej aktywnie poszukują), nie przekracza trzech punktów procentowych, co pokazuje, że odsetek niebieskich ptaków w społeczeństwie oscyluje na granicy błędu statystycznego. To, na co tak sarka Rafał Brzoska, to zmiana społecznego postrzegania pracy, która faktycznie przestaje być osnową naszego życia. Jej miejsce zajmuje rodzina, my sami i nasze potrzeby.

↦

W odpowiedzi na pytanie o sfery aktywności, na które chcielibyśmy przeznaczać więcej czasu, praca pojawia się dziś na szarym końcu. Życzyłoby sobie tego zaledwie 3,9 proc. mężczyzn i 3,7 proc. kobiet. Znaczącej rozpiętości w takiej odpowiedzi na to pytanie nie widać także w grupach o różnym wykształceniu. Pracować więcej chciałoby 3 proc. Polaków z wykształceniem zawodowym, 4,5 proc. posiadaczy matur i 3,3 proc. osób z wykształceniem wyższym. Identycznie rzecz ma się pod względem rozpiętości wiekowej. Wśród Polaków w wieku powyżej 25 lat, a więc tych, którzy mają choćby szczątkowe doświadczenia z rynkiem pracy, odsetek zainteresowanych wydłużeniem dobowej aktywności zawodowej waha się w przedziale 3,4-4,4 proc. Miejsce zamieszkania? Podobnie: za jest 4,1 proc. mieszkańców miast i 3,2 proc. mieszkańców wsi. Pod tym względem mamy więc niemal front jedności narodowej.

Ale czy to dziwne w społeczeństwie, które średnio pracuje przez 40,4 godziny w tygodniu, o dwie godziny i 45 minut dłużej od średniej europejskiej i aż sześć godzin i 12 minut ponad średnią dla całego globu?

Kultura kalkulacji

O skróceniu czasu, który zarabianie pieniędzy zabiera nam z życia, marzy obecnie 31,4 proc. Polaków i 30,8 proc. Polek. Żadna inna cegiełka w murze naszych dobowych aktywności nie budzi tak dużego zniechęcenia, nawet porządki domowe, które w swoim dobowym reżimie chciałoby skrócić 13 proc. mężczyzn i 22 proc. kobiet. Nie chodzi nam przy tym o samą dotkliwość pracy. Jako nieprzyjemne swoje obowiązki zawodowe opisuje zaledwie 7,6 proc. Polaków. Dla reszty są one neutralne (54,1 proc.) lub wprost przyjemne (38,3 proc.). Dyskomfort częściej wywołują u nas nawet takie aktywności jak nauka, zdecydowanie nieprzyjemna dla 14,9 proc. badanych, i obowiązki domowe, które za dotkliwe uważa 14,6 proc. Polaków.

O co zatem chodzi? Wszystko wskazuje na to, że po z górą trzech dekadach ciężkiej pracy i umownego „ścigania zachodu" przekalkulowaliśmy sobie, czy opłaca się nadal zwiększać tempo tego pościgu. I większości z nas wyszła po prostu odpowiedź negatywna. Prezesi dużych firm, których ambasadorem jest tu Rafał Brzoska, widzą w tym oczywiście zagrożenie dla modelu rozwojowego Polski, która braki kompetencyjne na światowych rynkach rekompensowała sobie dotychczas niższymi kosztami pracy i jej efektywnością. W rzeczywistości zagrożone są jednak przede wszystkim ich interesy.

Raport o budżecie czasu ludności Polski Anno Domini 2023 pokazuje bowiem, że w 36. roku wolnorynkowej przygody mówimy głośne „nie" modelowi rozwojowemu kraju, w którym bogaci spijają coraz więcej śmietanki z kotła, w którym mieszamy wspólnym wysiłkiem. Z jeszcze ciepłych, opublikowanych na początku lipca danych GUS wynika, że mediana polskich zarobków w styczniu br. wynosiła 6882,80 zł brutto. Połowa z nas zarabiała więc mniej, a połowa więcej. Tymczasem średnia płaca brutto, ciągnięta w górę przez zarobki najlepiej wynagradzanych, była wyższa aż o 26,7 proc. od mediany i wyniosła 8717,18 zł. Jeszcze rok temu różnica między medianą a średnią wynosiła w Polsce 19,2 proc., a to oznacza jedno: płace najlepiej zarabiających szybko oddalają się od zarobków reszty. Dlatego reszta nie zamierza zwiększać tempa, pracować dłużej ani ciężej. Miejsce „kultury zapierdolu" zajmuje kalkulacja, która podpowiada, by swój najcenniejszy zasób, jakim jest czas, inwestować w coś, czego nikt nie pozbawi nas nagłym wypowiedzeniem albo nie podważy wartości, kupując tańszy zamiennik gdzieś na Dalekim Wschodzie.

Nasz plan na siebie samych, sądząc po danych z raportu GUS, to przede wszystkim więcej czasu na życie rodzinne i towarzyskie (marzy o tym 42,05 proc. ankietowanych), a dalej więcej ruchu w czasie wolnym (38,3 proc.), więcej czasu z dziećmi (33,7 proc.) i więcej nauki oraz samodoskonalenia (27,7 proc.). Poruszając się w sferze życzeń, możemy oczywiście lekceważyć szereg zagrożeń, na czele z rozwojem AI, która może ponownie wzniecić w Polsce pożar bezrobocia, czy wojną, którą nadal toczy się kilkaset kilometrów od naszych granic.

Jesteśmy optymistami. Niemal co trzeci Polak (31 proc.) w ogóle nie odczuwa presji czasu – zarówno tej związanej z obowiązkami czy osobistymi ambicjami, jak i tej związanej z jego nieuchronnym upływem. Nieśmiertelni są wśród nas. ©℗ MAREK RABIJ

Pomoc jest (dojrzałą) kobietą

Jeśli awersem polskiej dobroczynności nazwać doroczny styczniowy zryw i setki milionów złotych zebranych przez Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy, to na rewersie tej charytatywnej monety ujrzymy już coś znacznie mniej imponującego. W bezpłatną pomoc osobom spoza swojego gospodarstwa domowego angażuje się dziś ledwie 9,5 proc. Polaków w wieku powyżej 15 lat. W tej grupie aż dwie trzecie stanowią w dodatku kobiety.

Najczęstszą formą bezpłatnego wsparcia jest pomoc starszym lub chorym (32,7 proc. wskazań) i opieka nad dziećmi (27,7 proc.). Angażujący się w wolontariat na rzecz organizacji charytatywnych za każdym razem przeznaczali na ten cel średnio dwie godziny i 57 minut. W przypadku opieki nad małymi dziećmi gotowi byliśmy pomagać nieodpłatnie średnio przez cztery godziny i 16 minut. Trzy godziny z ogonkiem oddawaliśmy chorym i seniorom wymagającym wsparcia.

Uderza jeszcze jedno: odsetek gotowych pomagać bezpłatnie przekracza 10 proc. jedynie w grupach wiekowych powyżej 45. roku życia (wśród osób w wieku 55-64 poszybował do rekordowego poziomu 12,9 proc.). Wśród młodych przed dwudziestką chętnych do bezinteresownej pomocy jest dwa razy mniej. To pokazuje, że nawet w działaniu wspólnotowym trudno nam wyjść poza reguły rynku. Łatwiej sięgnąć po portfel, niż zaoferować swój czas. ©℗ MR

TYGODNIK POWSZECHNY

Pomóż nam tworzyć lepszy „Tygodnik”

Zeskanuj kod, wypełnij ankietę i odbierz trzy cyfrowe Wydania Specjalne „Tygodnika” w prezencie, prosto na maila. Twoje odpowiedzi pomogą nam rozwijać „Tygodnik Powszechny” – redakcyjnie, technologicznie i organizacyjnie. Chcemy tworzyć pismo jeszcze bardziej odpowiadające na wyzwania współczesności, ale wciąż bliskie Wam w tonie, treści i formie.

W podziękowaniu za wypełnienie ankiety prześlemy bezpłatny dostęp online do trzech naszych wydań specjalnych: „Terapia dla Polski”, „Sztuczna inteligencja” oraz „Szerokiej drogi”.

ZESKANUJ I WYPEŁNIJ

TygodnikPowszechny.pl/ankieta

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektorka ds. rozwoju: Monika Lech
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Edward Augustyn (kierownik), Monika Białkowska, Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak
Kraj: Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Michał Okoński, Marek Rabij, Piotr Śmiłowicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Wojciech Brzeziński, Agata Kaźmierska, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Monika Ochędowska, Anita Piotrowska
Fotoedycja: Grażyna Makara (kierowniczka), Katarzyna Bułtowicz, Jacek Taran
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (kierowniczka), Oliwia Świątek, Maciej Müller, Monika Ochędowska, Katarzyna Rutkowska
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Promocja: Michał Sowiński (kierownik),
Marketing i sprzedaż: Marek Bednarz, Sławomir Bieniek, Mateusz Gawron, Anna Jagłowska (kierowniczka), Lech Krupa, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyński
Dyrektor ds. Technologii: Bartłomiej Swojak
Dział IT: Łukasz Bieńkowski, Paweł Maliszewski, Piotr Muszyński
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus, Łukasz Grajewski, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Bartosz Kabała, Eliza Kącka, Marcin Kędzierski, Bartek Kieżun, Piotr Kłodkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Rafał Matyja, Paweł Musiałek, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Piotr Oleksy, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Zbigniew Parafianowicz, Piotr Paziński, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Marcin Tusiński, Michał Walkiewicz, Piotr Wójcik, Marta Zdzieborska, Marcin Żyła

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Edyta Płachta
Asystentka zarządu ds. prawnych: Sylwia Ligierska
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

KRAJ

ZAGADKA PAŁACU

Prezydentura Karola Nawrockiego wstrząśnie polską polityką. Nie jest jednak powiedziane, że zmiany pójdą w kierunku, którego spodziewa się dziś sam prezydent, premier oraz liderzy partii, marzący o przejęciu władzy za dwa lata.

PIOTR ŚMIŁOWICZ

Tempo rozwoju technologicznego jest dziś tak zawrotne, że więzień wychodzący po 10 latach na wolność trafia do całkiem innego świata niż ten, który opuszczał. Trudno oczywiście porównywać dwie kadencje Andrzeja Dudy do długiego pobytu za kratami, jednak prezydent do pewnego stopnia był w tym czasie więźniem Pałacu i teraz nie będzie mu łatwo znaleźć nowe miejsce na scenie politycznej. Obecna sytuacja, mimo wielu pozorów, jest zupełnie inna niż w 2015 r. Wtedy nasza rzeczywistość była zdominowana przez rywalizację PO i PiS, dziś jednak duopol ten zdaje się powoli przechodzić do historii.

Byli prezydenci mają generalnie problem „na emeryturze". Dotąd nie powstała żadna formuła, w ramach której mogliby sprawnie funkcjonować i przysłużyć się krajowi, na którego czele stali. Poza komentowaniem życia politycznego w mediach, udziałem w międzynarodowych konferencjach i odcinaniem kuponów od przeszłej kariery dzięki dobrze płatnym odczytom – niewiele mają do roboty. To poważny problem, bo są zazwyczaj młodzi i ciężko im się pogodzić z ciszą, która zapada po latach politycznego hałasu. Każdy z nich próbuje więc szukać dla siebie atrakcyjnej niszy oraz brać udział w życiu politycznym – nie do końca jednak wiadomo, co mogą, a czego nie.

Najlepiej to było widać na przykładzie Aleksandra Kwaśniewskiego, który prezydentem został w wieku 41 lat, a urząd opuszczał dziesięć lat później. Mimo że wydawało się, iż ma potencjał, by stać się jednym z głównych rozgrywających w polskiej polityce, nigdy nie wyszedł poza rolę chętnie słuchanego eksperta i recenzenta. Fakt, usiłował pomagać lewicy w wyborach – m.in. w kampanii w 2007 r., gdy brał udział w debatach z Jarosławem Kaczyńskim i Donaldem Tuskiem – ale sam nigdy nie kandydował na ważne stanowisko, nikt mu też nie zaproponował istotnej funkcji w strukturach państwa.

Dobrze sobie pomarzyć

Andrzej Duda jest w podobnej sytuacji. Ma 53 lata, więc jak na polityka jest wciąż młody. Kłopot w tym, że trudno byłoby dla niego znaleźć jakieś sensowne miejsce na scenie – w czasie dwóch kadencji w Pałacu nie zdołał stworzyć autonomicznego środowiska politycznego, natomiast partie, do których blisko mu ideowo, nie szukają nowych liderów. Potwierdzają to nerwowe wypowiedzi w ostatnich dniach urzędowania, którymi Duda zdradza, jak bardzo niepokoi go własna przyszłość. Ostre słowa o wieszaniu zdrajców (podczas dyskusji o polskich sędziach); umizgi do skrajnej prawicy, czego wyrazem było ułaskawienie Roberta Bąkiewicza; wysyłanie sygnałów, że mógłby stanąć na czele przyszłego rządu prawicy; sugerowanie powrotu podczas pożegnalnego spotkania z dyplomatami – to wszystko są chaotyczne i dość rozpaczliwe, jak na głowę państwa, działania.

Od niektórych polityków PiS można usłyszeć, że jakieś stanowisko w strukturach międzynarodowych miał Dudzie obiecać Donald Trump, ale ostatnio okazało się to mirażem. Ucichły też plotki na temat innej nieoficjalnej oferty – pracy w Międzynarodowym Komitecie Olimpijskim. Stąd być może ostatnie nerwowe poszukiwania – Duda chciałby pozostać aktywny w życiu publicznym, ale odzewu brak. Co prawda w kampanii szereg jego ruchów interpretowano jako gesty przyjazne wobec Konfederacji, ale z naszych rozmów z politykami tej partii wynika, że nic mu nie przyniosły. W ich oczach Dudę dyskwalifikuje manifestacyjna proukraińskość, która dopiero w ostatnich czasach zelżała, a poza tym Konfederacja ma już i tak problem z faktem, że o przywództwo konkurują Sławomir Mentzen z Krzysztofem Bosakiem. Z kolei dla PiS odchodzący prezydent jest osobą politycznie niewiarygodną i chwiejną, na dodatek nielubianą i nieszanowaną przez samego prezesa Kaczyńskiego. Przede wszystkim jednak nie ma on politycznego zaplecza, więc jest nieatrakcyjny – a zarazem niegroźny.

Jaka więc przyszłość czeka Dudę? Na razie planuje udać się na długi urlop, potem ma szansę być zapraszany na jakieś amerykańskie uniwersytety, gdzie zapewne opowie szereg anegdot o wojnie rosyjsko-ukraińskiej. Do czynnej polityki na razie nie ma powrotu, choć niektórzy politycy PiS nie wykluczają, iż kiedyś polski Sejm za Andrzejem Dudą zatęskni. Przywołują przykład Jerzego Buzka, który w 2001 r. odchodził w niesławie z funkcji premiera, a trzy lata później osiągnął ogromny sukces w wyborach do Parlamentu Europejskiego.

W przypadku Dudy także jest możliwy scenariusz, w którym jedno z ugrupowań prawicowych umieści go na swych listach wyborczych. Nie ma jednak szansy, by stanął on na czele gabinetu koalicji PiS oraz Konfederacji. Nikt go tu nie potrzebuje, a poza tym nie wiadomo w ogóle, czy taki sojusz kiedykolwiek powstanie.

Co zrobi Konfederacja

Trudno dziś przewidzieć, jakie będą w 2027 r. notowania obu tych partii, na razie widać wyraźnie, że korzystają z fatalnych ocen, wystawianych w ostatnich miesiącach rządowi Donalda Tuska. W sondażach PiS przeskoczyło ponownie KO, ale musi się oglądać na Konfederację, która ma stabilne poparcie z tendencją do wzrostu. Nie jest więc wykluczone, że za dwa lata potencjał obu partii będzie podobny, a to utrudni zawarcie koalicji. Nawet gdyby w tym duecie Konfederacja pozostała mniejszym ugrupowaniem, to przy niedużej różnicy w wynikach wyborów formacja Mentzena i Bosaka może zażądać od PiS fotela premiera. Argumentując zupełnie otwarcie, że w innym przypadku zostanie wchłonięta, niczym Samoobrona i LPR w 2007 r.

Czy na takie rozwiązanie zgodzi się PiS i Kaczyński? Wątpliwe. To zaś może niespodziewanie postawić Konfederację przed innym wyborem – perspektywą koalicji z KO. Wspominali już o niej publicznie przedstawiciele rządu, m.in. Radosław Sikorski, ale również Przemysław Wipler, ważny polityk Konfederacji.

Nawet jeśli dziś taki sojusz wydaje się mocno egzotyczny, to w przyszłości może być realny. Zwykle bowiem koalicje ugrupowań oddalonych od siebie ideowo są bardziej udane, bo sojusznicy nie prowadzą bratobójczej wojny o ten sam elektorat, więc nie chcą się wzajemnie zdominować. Przed 2005 r. nikt nie dopuszczał na przykład, by PO mogła zawrzeć sojusz z PSL – ugrupowania te wydawały się znajdować na politycznych antypodach.

Czy partia Tuska mogłaby się zgodzić na rezygnację z fotela premiera? Wobec perspektywy powrotu PiS do władzy i brutalnego rewanżu na obecnej ekipie rządzącej, to scenariusz prawdopodobny, ↦

Spotkanie Andrzeja Dudy z Karolem Nawrockim w Pałacu Prezydenckim. Warszawa, 3 czerwca 2025 r.

ANDRZEJ IWAŃCZUK / REPORTER

↦ zwłaszcza gdy przypomnimy sobie, jak w kampanii prezydenckiej sztab Rafała Trzaskowskiego próbował obłaskawiać konfederacki elektorat. Rok wcześniej podobne posunięcia uznano by za zdradę ideałów i samych wyborców.

Spokój Kaczyńskiego

Perspektywa układu KO-Konfederacja nie jest korzystna dla PiS, ale – jak przekonują politycy partii Kaczyńskiego – nagłaśnianie tej sprawy ich cieszy, bo jednocześnie zniechęca do Konfederacji tradycyjny prawicowy elektorat, reagujący alergicznie na Tuska i PO. Próbkę tego można było dostrzec w końcówce kampanii prezydenckiej, gdy wyborcy Mentzena negatywnie zareagowali na jego słynne piwo z Trzaskowskim i Sikorskim.

Na razie w PiS nie widać więc żadnej nerwowości. Tym bardziej że Konfederacja ma jeszcze inny problem – Grzegorza Brauna. Czyli poważnej siły, która zaczyna obchodzić tę formację z prawej strony. Wzrost znaczenia Brauna może być nawet zagrożeniem dla spoistości Konfederacji, składającej się z dwóch skrzydeł – Ruchu Narodowego Krzysztofa Bosaka i wolnościowców, skupionych w Nowej Nadziei Sławomira Mentzena. Jeśli temat imigracji nadal będzie gorący, dla narodowców sojusz z Braunem może być bardziej atrakcyjny niż ten z mentzenowcami (wśród których są biznesmeni dopuszczający migrację zarobkową z biednych krajów). Zwolennicy Bosaka raczej nie zrozumieliby też wolty w stronę Tuska.

Politolog prof. Rafał Chwedoruk przyznaje, że elektorat Konfederacji jest bardzo eklektyczny. Są tam wyborcy libertariańscy, dla których wolny rynek jest najważniejszy, i dla nich PiS może być groźniejszy niż Platforma. W tym samym środowisku są też jednak liczni wyborcy, dla których ultraprawicowa symbolika pozostaje ważna. Łatwo ich zniechęcić nieprzemyślanymi działaniami.

Nawrocki buduje (swój) Pałac

PiS również nie ma komfortowej sytuacji; wciąż pewną niewiadomą pozostaje dla niego Karol Nawrocki. W ugrupowaniu tym prezydent elekt już zdążył wywołać irytację – nie nominował, jak chciał Kaczyński, Przemysława Czarnka na szefa Kancelarii Prezydenta, gdy ten nie chciał zrzec się funkcji wiceprezesa PiS. Nawrocki uznał najwidoczniej, iż nie chce mieć u swego boku „kontrolera" w osobie jednej z głównych postaci partii Kaczyńskiego. Fakt, nowy prezydent wziął na najważniejsze stanowiska w swoim otoczeniu polityków z PiS, jak Paweł Szefernaker (szef gabinetu) czy Zbigniew Bogucki (szef kancelarii), ale już w drugim szeregu są jego współpracownicy z IPN. Zastępcą szefa kancelarii będzie bowiem Jarosław Dębowski, Polonią ma zajmować się Agnieszka Jędrzak, a rzecznikiem głowy państwa zostanie Rafał Leśkiewicz. Wśród ludzi Kaczyńskiego już zrodziła się obawa, że gdy tylko ci z IPN nabiorą trochę doświadczenia, wytną z otoczenia Nawrockiego pisowców. To zaś oznacza, że prezydent może rzeczywiście balansować między PiS a Konfederacją. W jego interesie ma być utrzymywanie w miarę równego potencjału obu ugrupowań.

Sojusz KO i Konfederacji wydaje się egzotyczny, ale może być realny.
Zwykle koalicje partii dalekich ideowo są bardziej udane, bo sojusznicy nie prowadzą wojny o ten sam elektorat.

Na razie relacje z PiS są poprawne. Ostatnie wyjazdowe spotkanie Karola Nawrockiego z klubem partii przebiegło w dużo lepszej atmosferze niż wspólny wiec w Pułtusku. Prezydent elekt miał zapewniać, że wie, iż swój sukces zawdzięcza PiS oraz zaangażowaniu jego posłów w kampanię. Stąd też w formacji Kaczyńskiego pojawiła się nadzieja, że mimo iż formalnie Nawrocki był „kandydatem obywatelskim", to w mniejszym stopniu będzie się odcinał od własnych korzeni niż mniej sformatowany ideologicznie Duda. Pojawiła się zresztą koncepcja, by w porozumieniu z PiS w ośrodku prezydenckim rozpoczęto prace nad nową konstytucją. Wspólna praca nad najważniejszym dla Kaczyńskiego projektem ma być gwarancją, że Nawrockiemu nie uda się skutecznie rozgrywać PiS i Konfederacji.

Prof. Chwedoruk również uważa, że prezydent pozostanie politykiem w pełni uzależnionym od PiS. – W Polsce prezydent musi mieć za sobą poparcie jednej z dwóch głównych sił politycznych. Nic nie wskazuje, że to się szybko zmieni – uważa.

PiS – jak przekonują politycy tego ugrupowania – nie będzie na razie podejrzliwy wobec Pałacu; będzie robił swoje. Nie ma też zamiaru atakować Konfederacji; temat został zamknięty podczas wspomnianego posiedzenia klubu krytyką prezesa Kaczyńskiego, skierowaną do tych posłów, którzy zbytnio bratają się z Konfederacją lub umawiają na piwo ze Sławomirem Mentzenem. To wyraźna aluzja do Mateusza Morawieckiego i Michała Dworczyka.

Sojusz trzech stron

Gdy te słowa padały, na sali nie było już prezydenta elekta. Nie znamy więc jego reakcji. Zresztą, działacze PiS uważają, że nie należy wyciągać wniosków z każdej wypowiedzi czy aluzji. Ważniejsze jest to, czy Nawrocki będzie dążył do przedterminowych wyborów parlamentarnych, czy raczej spokojnie czekał na elekcję w 2027 r. To pierwsze rozwiązanie może być korzystniejsze dla PiS, jako partii wciąż dominującej na prawicy, drugie – dla Konfederacji, która dopiero rośnie w siłę i nigdy nie rządziła. To zaś może być dodatkowym wabikiem dla wyborców.

Prof. Chwedoruk uważa, że to trudna do udowodnienia teza. Partia Kaczyńskiego nie ma dziś szans na samodzielną większość, wciąż wątpliwy jest też sojusz z Konfederacją – wcześniejsze wybory oznaczają więc spore ryzyko. Konfederacji upływ czasu też wcale nie musi pomóc, ma ona wielu wyborców „sytuacyjnych", których sympatie są nietrwałe, łatwo może nastąpić coś, co spowoduje spadek notowań. Wystarczy np., by skończyła się wojna w Ukrainie, a wówczas osłabieniu ulegną lęki, które dziś napędzają elektorat Bosaka i Mentzena (oraz Brauna). Zmniejszy się groźba wciągnięcia Polski do konfliktu, czego obawiają się zwłaszcza młodzi mężczyźni; osłab-

JACEK DOMIŃSKI / REPORTER

Sławomir Mentzen i Krzysztof Bosak, finał trasy objazdowej liderów Konfederacji przed wyborami parlamentarnymi. Warszawa, 7 października 2023 r.

nie presja gospodarcza ze strony Ukrainy, groźna dla polskich rolników; do Ukrainy wróci też zapewne większość uchodźców, co zmieni sytuację na rynku pracy.

Poza tym do przedterminowych wyborów trudno jest ustrojowo doprowadzić, bo albo samorozwiązanie Sejmu musiałyby zgodnie poprzeć PiS i PO, albo parlament musiałby zostać rozwiązany na skutek nieuchwalenia budżetu, co też jest wątpliwe. – Nie sądzę, by wcześniejsze wybory były realną stawką w grze. Sama wola prezydenta w tej materii niewiele zmieni – przypomina prof. Chwedoruk.

Jego zdaniem Nawrocki, jeśli miałby grać na rywalizację PiS z Konfederacją, to nie po to, by stanąć po którejś ze stron. Raczej będzie chciał się prezentować jako gwarant porozumienia obu ugrupowań, i na nim może najwięcej zyskać. Dla PiS taki sojusz może się okazać nieunikniony, jeśli do władzy miałaby wrócić partia, która dziś nie ma zdolności koalicyjnych mimo prowadzenia w sondażach. Wobec możliwych oporów Konfederacji przed taką koalicją i choćby taktycznego zerkania w kierunku PO – prezydent Nawrocki może stać się kimś, kto zagwarantuje względną równowagę obu partii. To zaś da mu siłę, nawet jeśli dowody niezależności od wierchuszki PiS byłyby bardziej teatrem niż realnym działaniem.

Również politolog prof. Olgierd Annusewicz uważa, że najbardziej prawdopodobne jest wciąż porozumienie trójstronne prezydenta z PiS i Konfederacją, w którym to Nawrocki byłby spoiwem; w końcu wygrał głosami elektoratu obu ugrupowań. – W relacjach partyjnych będzie jednak utrzymywał silne więzi z PiS, nawet zaryzykowałbym tezę, że może pomóc odzyskać wyborców, których partia ta utraciła na rzecz Konfederacji – mówi politolog.

Na wojnie z premierem

Jest jeszcze jedna ważna kwestia. Jak prezydent Nawrocki zachowa się wobec spodziewanej, konfrontacyjnej linii rządu Donalda Tuska? Jest niemal pewne, że po rekonstrukcji, na przykład w osobie nowego ministra sprawiedliwości Waldemara Żurka, będzie on prezentował radykalną linię w kwestii reformy wymiaru sprawiedliwości. Nie wiadomo, czy Nawrocki będzie chciał być tu niezależnym podmiotem, czy pójdzie śladem PiS.

Trudno też przewidzieć relacje prezydenta z szefem MSZ Radosławem Sikorskim, właśnie awansowanym na wicepremiera. W wywiadach po wyborach Nawrocki wyrażał wolę współpracy przy obsadzie placówek dyplomatycznych, zapowiadając jednocześnie weto wobec takich kandydatów na ambasadorów jak Bogdan Klich czy Ryszard Schnepf. Znając też ministra Sikorskiego, nie należy spodziewać się pokojowej koegzystencji w tym obszarze.

Prof. Chwedoruk uważa, że nowy lokator w Pałacu niewiele zmieni w dotychczasowych relacjach rząd–prezydent, nawet jeśli uznamy, że istnieje różnica między Karolem Nawrockim a Andrzejem Dudą, bo ten pierwszy jest bardziej radykalny, a drugi – umiarkowany.

– Nie było takiej kohabitacji w Polsce, której nie towarzyszyłyby napięcia. Tak samo będzie teraz. Jeśli forma tego konfliktu miałaby się okazać bardziej spektakularna, to dlatego, że rząd Donalda Tuska nie ma wysokich notowań, więc łatwo go będzie atakować. Z drugiej strony Karol Nawrocki, który nie zaczyna z tak czystą kartą jak Andrzej Duda, też będzie dla rządzących wygodnym przedmiotem krytyki – sądzi prof. Chwedoruk.

Wśród polityków koalicji rządowej można usłyszeć pogląd, że o ile wobec Dudy stosowano czasem taryfę ulgową, bo kończył kadencję i oczekiwano zastąpienia go Trzaskowskim, o tyle wobec Nawrockiego strategia musi być bardziej zdecydowana i konfrontacyjna. Tylko w taki sposób rząd będzie mógł pokazać swą sprawczość i zachowa szansę na wygraną w 2027 r.

Otoczenia Nawrockiego i PiS taka perspektywa nie martwi. Panuje tam przekonanie, że Polacy są do tego stopnia zmęczeni nabrzmiałym konfliktem politycznym, że jeśli rząd Tuska będzie go dodatkowo podsycał, tylko na tym straci. Inna sprawa, że premier nie ma innego wyjścia niż zaryzykować.

Zdaniem prof. Annusewicza, długofalowy konflikt rządu z prezydentem jest naturalny i nieuchronny. Nawrocki jako kandydat PiS nie może pomagać „wrogiemu" rządowi i musi budować swój wizerunek pod kątem drugiej kadencji, zgodnie z obowiązującą w Polsce „plemiennością". Politolog zakłada jednak, że Nawrocki równocześnie będzie chciał pokazać, iż nie jest destruktorem i nie przeszkadza we wszystkim. By takiego wrażenia nie było, musi występować z inicjatywami legislacyjnymi, które staną się potem przedmiotem poufnego „handlu" z rządem, według zasady: „ja wam podpiszę to, jeśli wy mi uchwalicie tamto".

Nie można więc wykluczyć, że unikniemy konfliktu totalnego, bo w koalicji rządowej także dojdą do wniosku, iż bardziej się opłaca pokazać zdolność do współpracy, niż sprowokować reakcję wyborców w rodzaju: „niech już rządzi PiS, bo przynajmniej nie będzie ciągłej wojny z prezydentem". Do takiej konkluzji wciąż jednak droga daleka. Na razie szykujmy się na wojnę. ©℗ PIOTR ŚMIŁOWICZ

Migracyjny ping-pong

PAWEŁ MUSIAŁEK

POLITYKA | Wprowadzenie kontroli na naszej zachodniej granicy może się okazać nie tyle końcem problemu, co pierwszym etapem eskalacji w relacjach polsko-niemieckich. Sytuację ma szansę rozwiązać dopiero zaostrzenie prawa azylowego w całej UE.

Po długim okresie zwlekania rząd Donalda Tuska uległ opinii publicznej i postanowił wprowadzić wyrywkowe kontrole graniczne. Okazał się tym samym bezradny wobec narracji o podrzucaniu Polsce tysięcy nielegalnych migrantów, choć miała ona niewiele wspólnego z rzeczywistością. Wygląda raczej na to, że przypadki podsyłania nam ludzi, którzy trafili do Niemiec poprzez inne niż Polska państwa, były co najwyżej incydentalne.

Istnieje kilka argumentów na rzecz tej tezy. Po pierwsze, jest rzeczą naturalną, że skoro migranci są łapani na pograniczu polsko-niemieckim, to z dużym prawdopodobieństwem dotarli do Niemiec poprzez nasz kraj. Berlin wprowadził kontrole na wszystkich swoich przejściach, więc nie ma żadnego rozsądnego powodu, by tamtejsze służby prowadziły skomplikowaną operację logistyczną, łapiąc migrantów np. przy swej granicy z Czechami, a potem odsyłając ich na naszą. Nawet spiskowa teoria powinna mieć swoją wewnętrzną logikę.

Polska krajem tranzytowym

Pamiętajmy też, że przez Polskę przebiega ważny szlak migracyjny, stworzony w 2021 r. na potrzeby wojny hybrydowej, prowadzonej z Polską przez reżimy Łukaszenki i Putina. Od tamtej pory tysiące migrantów próbują przedostać się przez granicę polsko-białoruską, a ich celem są nasi zachodni sąsiedzi. Potwierdzają to dane zarówno niemieckiej, jak i polskiej policji.

Nasze władze niespecjalnie były więc zmartwione, jeśli komuś udawało się przekroczyć graniczną barierę na Podlasiu. Kurierzy transportowali takie osoby prosto do Niemiec, aby tam mogły złożyć wniosek o azyl – w ten sposób pozbywaliśmy się kłopotu. Gdy rząd niemiecki decydował w październiku 2023 r. o wprowadzeniu kontroli na własnych przejściach, podkreślał, że jedynym powodem są nieszczelne granice zewnętrzne Unii Europejskiej. O ile więc ostatnie działania Warszawy uniemożliwiają wjazd do Polski nielegalnych imigrantów, gdyby ktoś chciał nam ich przekierować „z głębi" Niemiec, to nie zablokują zawracanych przez niemiecką straż ludzi, którzy do RFN dotarli, przedostając się wcześniej przez naszą granicę z Białorusią. Tym samym, wbrew powszechnej opinii, wprowadzenie kontroli na polskiej granicy z Niemcami nie będzie oznaczać, że przestaniemy odbierać nielegalnych migrantów od strony zachodniej. Nadal musimy to robić. Obowiązkiem Polski pozostanie też odbieranie od służb niemieckich osób, które złożyły wniosek azylowy w Polsce, ale nie czekając na decyzję naszych władz, zdecydowały się wyjechać do Niemiec. Takie sytuacje reguluje tzw. procedura dublińska, w ramach której w 2024 r. odesłano do Polski kilkaset osób, a wobec wielu innych toczą się postępowania.

Naturalnie ludzie, którzy marzą o życiu w Niemczech, w zdecydowanej większości nie trafią do zamkniętych ośrodków po polskiej stronie. Zostaną wypuszczeni po rejestracji i zapewne powtórzą swe próby. Na to wskazuje dotychczasowa praktyka, w tym relacje mieszkańców przygranicznych miejscowości, którzy obserwują wciąż te same osoby, do skutku starające się przedostać do Niemiec. Spora ich grupa może jednak zostać na dłużej w Polsce, co będzie rodzić coraz większe wyzwania. Jeśli nie otrzymają

u nas azylu lub innej ochrony międzynarodowej, to w przypadku wielu z nich rozpocznie się procedura deportacji. Problem w tym, że Polska nie ma podpisanych umów o readmisji z wieloma państwami, skąd pochodzą migranci, lub są one trudne do realizacji z przyczyn organizacyjnych.

Proceduralna żonglerka

Co to wszystko oznacza? Mimo wprowadzenia kontroli przez nasz rząd, widok migrantów z egzotycznych dla Polski państw, przebywających w przygranicznych polskich miasteczkach, może stać się normą. Dopiero wtedy wielu Polaków uświadomi sobie, że naprawdę jesteśmy państwem granicznym UE, przez które przebiega ważny szlak przemytu ludzi – i ma to swoje poważne konsekwencje.

Konieczność odbioru osób, które do Niemiec dotarły przez Polskę, może oznaczać wzrost napięcia pomiędzy polską i niemiecką strażą graniczną, zwłaszcza jeśli miałaby do nas trafić osoba zatrzymana poza przejściem granicznym. W takim przypadku zastosowanie ma procedura readmisji; zgodnie z nią osoba, która wcześniej przebywała na terytorium Polski, musi do nas wrócić. Odbywa się to bez zbędnych formalności, wystarczy powiadomienie o zamiarze przekazania takiej osoby. Polska ma na to odpowiedzieć w ciągu 24 godzin; do 48 godzin powinno nastąpić samo przekazanie.

Kłopot w tym, że niemiecka straż graniczna zaczęła w pewnym momencie stosować inną taktykę. Nawet jeśli łapała migrantów już na terenie pasa przygranicznego Niemiec, traktowała ich tak, jakby do zdarzenia doszło bezpośrednio na przejściu granicznym. Dlaczego? Bo w przeciwieństwie do procedury odmowy wjazdu readmisja wymaga dowodów, że dana osoba rzeczywiście przebywała na terenie Polski. Konieczna jest też obecność polskich służb, co bywało naruszane przez stronę niemiecką, podrzucającą nocami migrantów na przystanki autobusowe na terenie Polski.

Wprowadzenie przez nasze władze kontroli granicznych oznacza, iż niemiecka straż coraz częściej napotyka na polskich funkcjonariuszy – ci zaś mają wytyczne, by nie przymykać oka na „żonglowanie" procedurami.

Kluczową kwestią jest ocena tego, co można uznać za dowód pobytu w Polsce. Dotychczas do tej roli służyły Niemcom jakiekolwiek „ślady" obecności migrantów w naszym kraju, w tym paragony z polskich sklepów czy też nieimienne bilety PKP. Polska straż zasadniczo akceptowała te wyjaśnienia, bo faktycznie prawdopodobieństwo, iż w niemieckim pasie granicznym, nawet rozumianym szeroko, znajdują się nielegalni migranci, którzy przybyli z innych państw niż Polska – jest niskie. Poza tym nasi funkcjonariusze zakładali dotychczas dobrą wolę niemieckich strażników; skoro po polskiej stronie nie było kontroli, to straż funkcjonowała w rzeczywistości Strefy Schengen, gdzie naczelną zasadą jest swoboda przepływu ludzi.

Koniec z zaufaniem

Wprowadzenie obopólnych kontroli jest instytucjonalnym obniżeniem zaufania i bez wątpienia wpłynie na praktykę. Nie po to angażuje się dużą liczbę strażników granicznych, aby potem dawać wiarę w każdy „roboczy" dokument pokazany przez niemiecką straż, choćby anonimowy rachunek ze sklepu. Można raczej założyć, że działania polskich służb będą restrykcyjne, szczególnie że po niemieckiej stronie mamy do czynienia z konsekwentnie ostrym kursem, którego nie zmienił nawet wyrok sądu administracyjnego w Berlinie, uznający odsyłanie ludzi do Polski bez rozpatrzenia wniosku azylowego za nielegalną praktykę. W tej sytuacji zapewne nasi pogranicznicy nie pozostaną dłużni i będą teraz skrupulatnie weryfikować wszystkie dowody i poszlaki, zanim przyjmą zawróconego migranta. To zaś oznacza spory i coraz bardziej napiętą sytuację na granicy. A sytuacje z Osinowa Dolnego czy Gubina, gdzie w nocy niemieckie służby bez kontaktu z polską strażą próbowały „przepchnąć" przez most migranta, będą się zapewne powtarzać.

Z dużym prawdopodobieństwem czeka nas więc migracyjny ping-pong, gdzie w roli piłeczki wystąpią migranci, a paletek – służby graniczne. W efekcie na pasie między przejściami obu krajów już niedługo mogą pojawić się grupy ludzi, których status prawny będzie niejasny, a żadna ze stron nie będzie chciała ich wziąć do siebie. Zwłaszcza że oba państwa skutecznie ograniczyły możliwość składania wniosków azylowych.

Rządy Polski i Niemiec są skazane na migracyjną konfrontację. Można wręcz zakładać, że już niedługo obrazki, które oglądaliśmy w 2021 r. na naszej wschodniej granicy – zobaczymy na zachodniej, choć pewnie nie w aż tak skrajnej wersji. Oba państwa nie będą chętne do ustępstw, bo zdają sobie sprawę z tego, że prawicowa opozycja zarówno w Niemczech, jak i w Polsce buduje swój polityczny kapitał właśnie na temacie lęku przed imigracją.

Perspektywy rozwiązania problemu poprzez bilateralne rozmowy są nikłe. Bardziej prawdopodobne są scenariusze pesymistyczne, w tym dalsze pogłębianie erozji Strefy Schengen. Już dziś przecież kilkanaście państw stosuje tymczasowe kontrole, które są (nielegalnie) przedłużane.

Miliony u bram Europy

Napięcia w relacjach polsko-niemieckich są naturalną konsekwencją znacznie szerszego problemu, jakim jest polityka azylowa Unii. W sytuacji, w której u bram Europy zjawiają się co roku tłumy ↦

ADAM CZERNIEŃKO / EAST NEWS

Na polsko-niemieckim przejściu granicznym Słubice-Frankfurt, 7 lipca 2025 r.

↦ niechcianych przez poszczególne kraje osób, a granice państw wewnątrz UE są zniesione, naturalną konsekwencją jest przerzucanie się migrantami niczym „gorącymi kartoflami". Może to czasem łagodzić objawy, ale nie zwalczy przyczyn problemu.

Kwestii nadmiaru nielegalnych migrantów nie da się systemowo rozwiązać bez zaostrzenia polityki Unii Europejskiej. Liczba wniosków o azyl oscyluje co roku w UE w okolicach miliona (w 2024 r. było ich 912 tys.), z czego ochronę uzyskuje około połowa migrantów. Oznacza to, że co roku setki tysięcy ludzi osiedla się w poszczególnych państwach Unii – i już te liczby robią wrażenie.

Głównym problemem są jednak osoby, które azylu nie dostały. Zgodnie z prawem powinny opuścić teren UE, ale często tego nie robią. Na dodatek skuteczność przymusowych deportacji wynosi jedynie ok. 20 proc. To zaś rodzi poważne koszty społeczne i polityczne.

Co istotne, w przypadku wielu migrantów odmowa nadania im statusu uchodźcy jest niemal oczywista, bo pochodzą one z tzw. bezpiecznych państw. Dlaczego więc w ogóle składają wnioski? Ponieważ jest to atrakcyjny sposób „urządzenia się" w państwach Unii. Rozpoczęcie procedury azylowej pozwala na choćby czasową legalizację pobytu oraz opiekę poszczególnych państw. O ile bowiem kraje członkowskie UE mają swobodę decyzyjną dotyczącą migrantów ekonomicznych, o tyle w przypadku uchodźców prawo unijne nakłada na nie konkretne ograniczenia. Kluczowym obowiązkiem jest rozpatrzenie wniosku azylowego, który składa dana osoba, oraz opieka nad nią w czasie trwania procedury. Co więcej, korzystać z tego prawa mogą również osoby, którym udało się przekroczyć granicę z UE zupełnie nielegalnie.

Taki system wręcz zachęca do migracji. Nie trzeba przedzierać się pontonem przez Morze Śródziemne czy mokradła na Bugu, żeby dostać się na teren UE. Można w legalny sposób złożyć wniosek azylowy na granicy UE (choć akurat Polska czasowo to uniemożliwiła), a kraj graniczny powinien zgodnie z prawem zaopiekować się migrantem, choćby czasowo.

Co ważne, wielu przybyszy składa wnioski nie w pierwszym państwie, jak przewiduje prawo UE, ale w tym, które migrant uznaje za najbardziej atrakcyjne do życia. To właśnie z powodu migracji „wtórnych" krajem, który co roku przyjmuje najwięcej wniosków, są Niemcy, choć nie leżą na obrzeżach UE, ale w jej centrum. Gdy w końcu Berlin zaostrzył swą politykę migracyjną, jej skutki odczuła boleśnie Polska.

> Można zakładać, że już niedługo obrazki, które oglądaliśmy w 2021 r. na naszej wschodniej granicy **– zobaczymy również na zachodniej, choć pewnie nie w aż tak skrajnej wersji.**

Zbyt hojny system

Gdy do miliona osób wnioskujących rocznie o azyl dodamy co najmniej drugie tyle migrantów ekonomicznych, uzyskamy skalę przypływu, która budzi niepokój w wielu państwach i społeczeństwach Unii, bo oznacza gigantyczne wyzwania w kwestii bezpieczeństwa i tożsamości Europy. Rozwiązaniem tego problemu może być zaostrzenie prawa azylowego, zbyt „hojnego" w obliczu aktualnej, gigantycznej presji migracyjnej. To jednak wymaga zawężenia interpretacji Europejskiej Konwencji Praw Człowieka, a przede wszystkim oznacza konieczność stworzenia nowego systemu składania wniosków o azyl – poza terenem UE.

Jednym z dyskutowanych pomysłów na eksternalizację polityki azylowej jest stworzenie specjalnych ośrodków unijnych w państwach trzecich, które otrzymywałyby fundusze za budowę i utrzymanie takich miejsc, a także dodatkowe wynagrodzenie, aby miały motywację do przyjmowania migrantów i robiły to na zasadach niekolidującym z etyką.

Taką politykę od lat prowadzi Australia, która przenosi osoby przybywające nielegalnie łodziami do ośrodków detencyjnych w Republice Nauru i na wyspie Manus (Papua-Nowa Gwinea). Wnioski azylowe są więc rozpatrywane poza Australią, a osoby uznane za uchodźców niekoniecznie otrzymują prawo pobytu w Australii, lecz są kierowane do krajów trzecich, posiadających umowy z Canberrą.

W UE również próbowano eksternalizacji polityki azylowej. Pierwowzorem była umowa z 2016 r., na mocy której migrantów z greckiej wyspy Lesbos przesyłano nie w głąb UE, ale do Turcji, w zamian płacąc Ankarze za utrzymanie obozów dla uchodźców. W ten sposób udało się radykalnie ograniczyć szlak migracyjny przez Turcję.

Innym punktem odniesienia jest umowa Włoch z Albanią z 2023 r. Choć stworzone tam dwa ośrodki stoją na razie puste (z uwagi na wyroki włoskiego sądu kwestionującego legalność takiego „outsourcingu"), to umowa stanowi pole doświadczalne dla umieszczenia poza Unią procedur azylowych.

Klimat dla takich rozwiązań jest sprzyjający. Prezydencję w UE przejęła z rąk Polski Dania, która ma dobre doświadczenia z zaostrzaniem polityki migracyjnej, i to samo chce zaproponować całej Wspólnocie. Już w 2021 r. kraj ten podpisał umowę z Rwandą, na mocy której będą tam mogły powstać ośrodki recepcyjne. I choć podobnie jak w przypadku umowy Włoch z Albanią, ta również napotyka na problemy prawne, to duński rząd jest zdeterminowany, by eksternalizację procedur azylowych uczynić głównym unijnym tematem swej prezydencji.

Podejście Danii jest popierane przez kanclerza Niemiec Friedricha Merza, ale duńskiej premier Matte Fredriksen (co ciekawe, reprezentującej socjaldemokrację) kibicuje coraz większa grupa państw UE. Z drugiej strony faktem jest również, że obecny lewicowy rząd Wielkiej Brytanii wstrzymał (podobną do duńskiej) umowę z Rwandą, zanim jeszcze weszła w życie. Negocjował ją jednak poprzedni, konserwatywny rząd brytyjski.

Polska strategia migracyjna przyjęta w 2024 r. jest przychylna rozwiązaniom preferowanym przez Danię. O ile więc na granicy polsko-niemieckiej toczyć się będzie tygodniami typowo polsko-polski spór o zastępcze tematy, to postulatem ponad podziałami powinno być wsparcie unijnej reformy. Od jej powodzenia zależy już nie tylko komfort odległych państw Morza Śródziemnego, ale też przyszłość Strefy Schengen i relacje polsko-niemieckie. © PAWEŁ MUSIAŁEK

PAWEŁ WODZYŃSKI / EAST NEWS

Rozpoczęcie roku szkolnego. Warszawa, 2 września 2024 r.

Żądam wyjaśnień

MAŁGORZATA NOCUŃ

SZKOŁA | Wakacje to dla nauczycieli nie tylko czas odpoczynku od uczniów. Coraz więcej pedagogów bardziej sobie ceni brak kontaktu z ich rodzicami. Przez kilka tygodni nikt ich wreszcie nie nęka, nie wyszydza i nie prześladuje.

Marek Pleśniar, dyrektor biura Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Kadry Kierowniczej Oświaty zaznacza, że rozmawiamy o wciąż niewielkim odsetku matek i ojców. Są to jednak ludzie wyjątkowo uciążliwi – swoim zachowaniem potrafią zdezorganizować pracę szkoły. Dyrekcja i nauczyciele zamiast skoncentrować się na uczniach, zajmują się nimi.

– Cechuje ich nieufność wobec szkoły i pieniactwo. Potrafią zasypywać pedagogów skargami, zażaleniami, „żądaniami pisemnego wyjaśnienia", protestami. Straszą: „Jeśli mój problem nie zostanie natychmiast rozwiązany, zwrócę się do kuratorium", albo „Pójdę z tym do prokuratury", czy „Nie dam wam spokoju" – relacjonuje Pleśniar. – Uważają, że „jako podatnicy" są pracodawcami nauczycieli, więc mamy „uzgadniać z nimi wszystkie kwestie dotyczące edukacji ich dzieci". Nie stronią też od inwektyw. Te łagodniejsze brzmią: „Czy potrafi pani czytać ze zrozumieniem?", lub „Czy wystarczy pani inteligencji, by to załatwić?". Niekiedy nauczyciele słyszą jednak gorsze słowa: „Jest pan idiotą", „Jest pan po prostu głupi".

„No, już mi lepiej"

Pleśniar wspomina sytuację, gdy do jego gabinetu – jak huragan – wpadła matka jednego z uczniów. Dobrze ją znał, ponieważ często zgłaszała różnorakie pretensje. Od progu krzyczała, żywiołowo gestykulowała. Po chwili usiadła i powiedziała: „No, już mi lepiej!". Pleśniar zaznacza: – Uciążliwi rodzice nie są w oświacie nowym problemem. Kilka dekad temu zachowania nacechowane przemocą stanowiły jednak niechlubny wyjątek. Jako urzędnicy państwowi, pedagodzy cieszyli się większym szacunkiem społecznym niż obecnie. Jeśli rodzice nie zgadzali się z ich zdaniem, nie mówili tego raczej swoim dzieciom. Dziś autorytet nauczycieli coraz częściej kwestionują na głos.

Pan Andrzej, dyrektor szkoły podstawowej na Górnym Śląsku, mówi, że praktycznie w każdej klasie są matki i ojcowie, którzy próbują do przesady skrócić dystans z nauczycielem. Do jego gabinetu lub do pokoju nauczycielskiego wchodzą nie zapukawszy. W rozmowie nie używają słów grzecznościowych. W Librusie (portalu służącym do komunikacji między nauczycielami i rodzicami) piszą: „żądam", „domagam się", „wnioskuję". Kiedy ich dziecko otrzyma niesatysfakcjonującą ocenę bądź uwagę dotyczącą zachowania, natychmiast wysyłają nauczycielowi (a niekiedy i dyrekcji) wiadomość. Nieustannie skarżą się na liczbę prac domowych, choć zakaz ich zadawania dotyczy wyłącznie klas 1-3 podstawówek (w klasach 4-8 wolno je stosować, ale są nieobowiązkowe).

Pani Magda, polonistka, otwierając Librusa, czuje ścisk w żołądku. Wie, że najprawdopodobniej znajdzie w nim wiadomość od pani Anny, mamy ucznia z klasy, której jest wychowawczynią. – Ona wprost zasypuje mnie pytaniami, najczęściej dotyczą kwestii błahych, ↦

↦ ale jest ich bardzo dużo. Bywa, że w tygodniu otrzymuję kilka, a nawet kilkanaście wiadomości – opowiada pani Magda.

Jej gnębicielka korzysta z Chata GPT. Wiadomości, które wysyła nauczycielce, są więc długie, nie zawsze spójne, każda zawiera kilka cytatów z paragrafów prawnych. Przykładowo: pani Anna „żąda wyjaśnienia", dlaczego jej syn dostał tylko ocenę dobrą z wypracowania; chce wiedzieć, dlaczego nauczycielka go na lekcji przesadziła i z jakiego powodu – podczas omawiania wyników sprawdzianu – poprosiła, by podszedł do jej biurka jako ostatni, przecież to „jawna dyskryminacja". Kilka dni temu zażądała, by pedagożka „wytłumaczyła się" z oceny z zachowania, którą otrzymał jej syn. Matka wie bowiem, że jej dziecko zachowuje się lepiej niż inne.

Nauczyciel – zgodnie z prawem – ma dwa tygodnie na udzielenie rodzicowi odpowiedzi. Pani Magda stara się jednak odpisywać jeszcze tego samego dnia, najpóźniej nazajutrz. Jeśli tego nie uczyni, pani Anna zacznie wydzwaniać do dyrekcji szkoły albo zjawi się w placówce. Do pokoju nauczycielskiego wejdzie nie powiedziawszy „dzień dobry", a od progu jej głos się uniesie. Cały korytarz (w tym dyrekcja) dowie się, że jej dziecko zostało niesprawiedliwie ocenione, a nauczycielka nie nadaje się do tej pracy. Rozmowa zamieni się w monolog, bo matka zawsze przerywa nauczycielce w połowie zdania; ta zaś będzie musiała zachować spokój, choć wewnątrz cała się trzęsie.

„Talentu zabrakło"

Pleśniar uważa, że „pieniacze" są przekonani, iż poprzez swoje awantury realizują misję polegającą na walce o dobro szkolnej społeczności. Choć nie mają pedagogicznego wykształcenia (a wielu też matury), wiedzą, jak placówka powinna funkcjonować. Kwestionują szkolny program nauczania, chcą decydować o lekturach, które czytają dzieci, oraz o miejscach, do których udają się w ramach klasowych wycieczek. Nie przychodzi im do głowy, że ludzie zatrudnieni w szkołach wiedzą, co robią. Spora część karmi się też konfliktem; kiedy tylko udaje się wyjaśnić jakiś problem lub rozwiązać spór, od razu inicjują kolejny.

Największym nieszczęściem pozostaje jednak fakt, że „pieniacze" starają się angażować w te spory innych rodziców. Zawsze znajdą czas, by do znudzenia przekonywać ich do swoich racji. Z pomocą przychodzi im wówczas technologia: rodzice korzystają z komunikatorów internetowych, które pozwalają im zrzeszać się w grupach. Tu zaś można toczyć regularne wojny. Wystarczy zadać pytanie: „Czy nie uważacie, że nauczyciel jest zbyt wymagający" albo „Nie sądzicie, że z tymi pracami domowymi to przegięcie?".

Taka sytuacja wydarzyła się w szkole córki pani Mai, która uczęszcza do siódmej klasy. Uczyła ją młoda matematyczka. Była pełna chęci do pracy z dziećmi, chciała, by zajęcia nie polegały jedynie na rozwiązywaniu zadań z podręcznika, zabierała uczniów do centrów nauki. Zorganizowała nawet lekcję pokazową z uniwersyteckim profesorem.

Była jednak wymagająca: zadawała zadania domowe, systematycznie egzekwowała zdobytą wiedzę, odpytując uczniów i zapowiadając kartkówki. Do dnia, aż jeden z rodziców napisał na komunikatorze internetowym: „A co sądzicie o tej od majcy?". Odzew matek i ojców był pozytywny, ale wystarczył jeden mniej pochlebny komentarz, by inicjator dyskusji dał upust swej frustracji: „Chyba chciała zostać na uniwerku, ale talentu zabrakło". Potem było tylko gorzej. Podważał kompetencje pedagożki, twierdził, że dzieci otrzymują zadania do domu, bo „kobieta jest słaba" i „zwala swoją pracę na innych".

Większość rodziców nie dała się sprowokować i przez kolejne dni stawała w obronie zdolności pedagogicznych matematyczki. Cieszyli się, że uczy ich dzieci, i mieli nadzieję, że doprowadzi je do egzaminu ósmoklasisty. Jednak po kartkówce, gdy duża część klasy otrzymała oceny niedostateczne i dostateczne, na komunikatorze pojawiło się więcej chętnych do negatywnych komentarzy. „Co ona sobie wyobraża?" – pytali rodzice. „Nie każdy musi być orłem z matematyki"; „Moja Zosia jest humanistką, więc na co jej to wszystko?". Kilku rodziców – pod przewodnictwem konfliktowego ojca – zaczęło składać skargi do dyrekcji szkoły, a ta regularnie wzywała matematyczkę na rozmowy. Po kilku miesiącach nie wytrzymała presji i sama zwolniła się z pracy.

Podobna sytuacja miała miejsce w trzeciej klasie innej z krakowskich podstawówek. Zdaniem kilkorga rodziców nauczycielka języka angielskiego była „zbyt ambitna" i dlatego nie wszystkie dzieci dostawały szóstki i piątki. Po kilku skargach złożonych na ręce dyrekcji pedagożka zwolniła się z pracy. Rodzicom nie przeszkadzał fakt, że przez kilkanaście tygodni ich dzieci zamiast uczyć się angielskiego, nudziły się na zastępstwach.

„Psi obowiązek"

Wielu konfliktowych rodziców czerpie satysfakcję z poniżania nauczycieli. Zjawisko to narasta przez lata wraz z pauperyzacją zawodu i coraz niższym jego statusem społecznym. Pedagodzy, z którymi rozmawiałam, słyszeli m.in.: „Wiem, że źle pani płacą, ale niech się pani cieszy, że nie siedzi pani na kasie w Biedronce"; „Ile jeszcze musi pani zaliczyć wtop, by dyrekcja się panią zajęła?". Niekiedy rodzice wręcz wpajają dzieciom, że wcale nie muszą słuchać nauczycieli: „Pani niczego nie może ci nakazać czy zakazać, od tego są mama i tata", „Jeśli nie chcesz czegoś robić, to nie rób, masz zgodę mamy i taty", „A któż to taki jest, ta pani od pisania literek, byś był jej posłuszny?". Bywa, że uczniowie wprost cytują nauczycielom te słowa.

Katarzyna, polonistka ucząca w krakowskim liceum, zetknęła się z hejtem rodziców po tym, jak na zebraniu ogłosiła, że dzieci nie pojadą na wycieczkę. Nauczycielka podjęła taką decyzję (poparł ją dyrektor placówki), ponieważ uczniowie stali się w ostatnich miesiącach niezdyscyplinowani i konfrontacyjni. Bała się, że podczas wyjazdu nie będzie w stanie zapewnić im bezpieczeństwa.

Katarzyna: – Jeden z ojców, i to na stronie internetowej szkoły napisał, że „powinnam zmienić zawód". Stwierdził, że „robię problemy dzieciom", a jedna z matek skonstatowała: „Jej psim obowiązkiem jest organizować dzieciom wycieczki".

Katarzyna opowiada, że niejeden rodzic straszy ją „konsekwencjami prawnymi" za obniżenie dziecku oceny z zachowania. Według krakowskiej nauczycielki, tacy ludzie nie dopuszczają do siebie, że ich latorośl może postępować niekulturalnie, nie chcą nawet poznać podstawowych faktów. „Spotkamy się w sądzie" – usłyszała niedawno Katarzyna.

Najbardziej konfliktowi rodzice, w razie np. uwagi o złym zachowaniu, od razu zaczynają swoje prywatne śledz-

two. Sprawdzają (rozmawiając ze swoimi dziećmi, ich kolegami i koleżankami, czyli „świadkami zdarzenia”, a także innymi rodzicami), czy istniały jakieś okoliczności łagodzące. Po czym dzwonią do dyrekcji placówki z awanturą. Ostatnie, co przychodzi im do głowy, to refleksja, że może jednak z ich dzieckiem coś niepokojącego się dzieje. Ważniejszy jest jego wizerunek.

„Wasze niedoczekanie”

Wychodząc z gabinetu pana Andrzeja (wspomnianego dyrektora jednej ze śląskich podstawówek), rodzice krzyczą: „Ja tego tak nie zostawię!”. Ich zażalenia, dotyczące obniżonej oceny dziecka z danego przedmiotu czy też „sposobu zachowania nauczyciela”, który uważają za „niedopuszczalny” – trafiają do Śląskiego Kuratorium Oświaty. Bywa także i tak, że rodzice ignorują przyjętą drogę komunikacji i – pomijając szkołę – od razu kierują skargi do wyżej wymienionej instytucji. Kuratorzy, powołani do rozwiązywania naprawdę ważnych problemów, otrzymują więc pisma dotyczące przepychanek między dziećmi na szkolnym korytarzu albo kanapki, którą koleżanka zjadła koleżance.

Najbardziej problemowi rodzice rzadko zmieniają swoją postawę. Pleśniar wspomina matkę, która zasypywała skargami dyrekcję szkoły, a w całym mieście rozpowszechniała złe opinie o placówce. Zmęczona sytuacją dyrektorka poprosiła kobietę na rozmowę. Spokojnie tłumaczyła: „Rozumiem, że nie spełniamy pani oczekiwań, choć ze wszech miar staramy się, by pani dziecko zostało dobrze wykształcone i przebywało w przyjaznej atmosferze. Być może jedynym wyjściem z sytuacji jest przeniesienie pani córki do innej szkoły. Możemy w tym pani pomóc, porozmawiamy z dyrekcją wybranej przez panią placówki”. Na to wzburzona matka wstała i wykrzyczała: „Wasze niedoczekanie!”.

Pleśniar wskazuje na brak mechanizmów prawnych, które pozwoliłyby placówkom oświatowym radzić sobie z kłopotliwymi rodzicami. Dyrektor OSKKO uważa, że problemu nie rozwiąże (obecnie dyskutowane) uczynienie nauczycieli funkcjonariuszami publicznymi. Oprócz większej ochrony prawnej, ta grupa zawodowa podlega też większej odpowiedzialności karnej (do trzech lat więzienia za nierzetelne wykonywanie obowiązków zawodowych). To zaś mogłoby się okazać wodą na młyn kłopotliwych rodziców, którzy zamiast do kuratorium (jak obecnie) ze wszystkim swoimi pretensjami biegliby od razu do sądu. Pleśniar uważa, że w celu zapewnienia ochrony nauczycielom, Ministerstwo Edukacji Narodowej powinno nawiązać współpracę z resortem spraw wewnętrznych. Konieczne jest zwłaszcza uwrażliwienie policji na problemy szkolne, tak by np. wnikliwiej analizować doniesienia nauczycieli na temat nękania ich oraz naruszania dóbr osobistych przez rodziców (obecnie większość spraw jest umarzana z uwagi na rzekomo niską szkodliwość społeczną).

> Niektórzy rodzice są przekonani, **iż poprzez swoje awantury realizują misję dbania o dobro szkoły.** Nawet jeśli nie mają pedagogicznego wykształcenia, wiedzą, jak placówka ma funkcjonować.

„Nie po to studiowałem”

Piotr Otrębski, rzecznik prasowy MEN, zapewnia, że bezpieczeństwo nauczycieli wiąże się z prestiżem zawodu, dlatego resort zaproponował ustanowienie nauczyciela funkcjonariuszem publicznym. – Propozycja ta została negatywnie oceniona przez nauczycielskie związki zawodowe i przedstawicieli kadry kierowniczej oświaty, wobec czego ministerstwo wypracuje w dialogu społecznym inne, zadowalające nauczycieli rozwiązanie – obiecuje Otrębski.

Dziś jednak nauczyciele czują się pozostawieni z problemem sami. Nie rozumieją, dlaczego są zmuszani, by z pokorą wysłuchiwać inwektyw i pretensji, albo odpisywać na niekończące się zażalenia i skargi. Mówią, że nie po to kończyli studia pedagogiczne i nie w tym celu nieustannie się kształcą (kończąc studia podyplomowe i różnego rodzaju kursy dodatkowe), by przełykać rosnące upokorzenia. Chcą pracować z dziećmi i młodzieżą, a nie walczyć z ich matkami i ojcami. Jeśli ministerstwo szybko nie przyjdzie im z pomocą, kolejni wartościowi ludzie odejdą z tego zawodu.

© MAŁGORZATA NOCUŃ

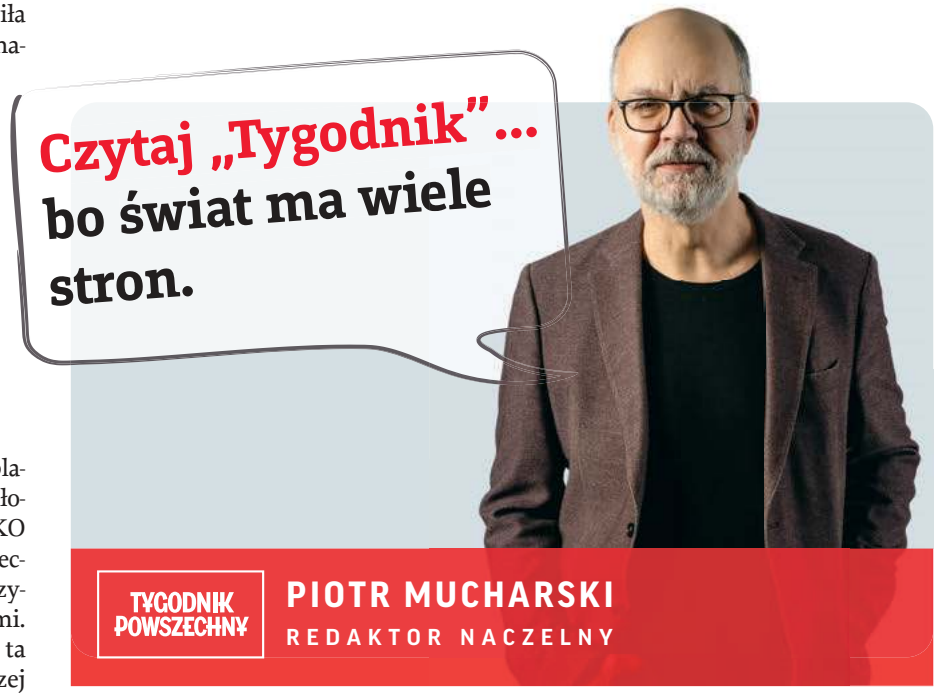

FOT. GRAŻYNA MAKARA, KATARZYNA WŁOCH // OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

ZUZANNA

Radzik:
Baczyński i gaśnica

Zwykle ulicą Solec biegnę. Z przystanku tramwajowego na moście wbiegam w uliczki Powiśla, bo tu przeniosła się moja ulubiona fryzjerka, bo książka do odebrania, bo spotkanie z przyjaciółkami nad Wisłą. Jak każda emigrantka, gdy wracam na chwilę do rodzinnego miasta, biegam po nim, próbując zdążyć ze wszystkim. Na tym Solcu z muralu na kamienicy pod numerem 85 patrzy na mnie Krzysztof Kamil Baczyński. I wywołuje zawstydzające wspomnienie egzaltacji z czasów końca podstawówki, która kazała mi uczyć się jego wierszy na pamięć. Świetnie się zresztą wpisywały w zapotrzebowanie na patriotyczne uniesienia, zarówno w harcerstwie, jak i w podstawówce połowy lat 90. Oraz w duszy mojej polonistki, której łza spływała, gdy wymawiała słowa „złożyli swoje życie na ołtarzu ojczyzny". Dopiero w liceum dowiedziałam się, że pisanie tego zdania w wypracowaniach jest niejakim obciachem.

Więc patrzy na mnie Krzysztof Kamil wzrokiem maturzysty, bo właśnie zdjęcie ze świadectwa przeniesiono na mural w setną rocznicę jego urodzin, a ja widzę siebie czternastoletnią, jak na konkurs recytatorski uczę się wiersza „[Byłeś jak wielkie stare drzewo...]". Można nim było wycisnąć całą gamę patriotycznych wzruszeń. W końcu to Baczyński: przesiąknięty romantyczną poezją i wychowaniem międzywojnia. A wiersz opisuje brutalne niszczenie jego narodu przez cieśli: orzą korzenie wielkiego, starego drzewa, drą i ścinają liście, łupią oczy, kruszą ciało w popiół. Ach, z jaką mocą można to wyrecytować. Łzy polonistek gwarantowane. I ten finał o zmartwychwstaniu „z huraganowym tchem u skroni". I kończący wiersz okrzyk „Ludu mój! Do broni!". Tylko czemu do broni wzywa w kwietniu 1943 r.?

O tym, że Baczyński był z pochodzenia Żydem, oczywiście nam w szkole nie powiedziano. Co nawet nie dziwi, bo nic nam o Żydach nie mówiono. Zresztą nie tylko w szkole, bo wybitny literaturoznawca Kazimierz Wyka w zwrocie Baczyńskiego ku tematyce beznadziei i walki w latach 1942 i 1943 także skłonny był widzieć proroczą wizję powstania warszawskiego niż refleksję nad bliskością Zagłady i innym powstaniem toczącym się w tym czasie w tym samym mieście. Jakby Baczyńscy nie musieli podjąć decyzji, czy zostać w mieszkaniu na Czerniakowskiej, czy przenieść się do getta. Jakby matka Krzysztofa Kamila nie była Żydówką.

Teraz widzę, że na portalu wolnelektury.pl oznaczono początek wiersza tagami: Naród, Cierpienie, Żyd, Powstanie, Walka. Może więc to już nie tajemnica, że pisząc o udręczonym wielkim i starym narodzie i wzywając do broni, Baczyński myśli o Żydach. Zresztą, już Miłosz w „Abecadle" o Baczyńskim pisał: „z pełną świadomością składał z siebie ofiarę ojczyźnie, mając świadomość, że ta ojczyzna go nie chce". Ale tak naprawdę, o tym, jak interpretować te wiersze Baczyńskiego, dowiedziałam się z książki Tomasza Żukowskiego „Pod presją. Co mówią o Zagładzie ci, którym odbieramy głos".

Żukowski jak zwykle czyta przenikliwie i z wielką wiedzą o niuansach polsko-żydowskiej historii, sposobie mówienia o niej i strategii omijania tematu. Czytając Baczyńskiego stwierdza, że poeta, używając metafor mesjanistycznych, zakamuflował, o co mu chodziło. Ale i większościowy czytelnik nie chciał wyczytać nic więcej niż kojarzący się z cierpieniami Polaków romantyzm.

„Nie do pomyślenia w polskiej kulturze większościowej okazywało się zastosowanie romantycznego obrazowania do opisu wydarzeń w getcie. Pomysł taki długo nie przychodził do głowy czytelnikom wierszy Baczyńskiego" – pisze Żukowski wyznając, że sam recytował je w podstawówce na akademii ku czci powstania warszawskiego.

Teraz śladem tekstu Żukowskiego wertuję wiersze Baczyńskiego. Sięgam po „Tren I", napisany w sierpniu 1942, miesiąc po Wielkiej Akcji, czyli wywiezieniu większości mieszkańców warszawskiego getta na śmierć w obozie zagłady w Treblince. Potem po pełny rozpaczy wiersz „Pokolenia", datowany na 22 lipca 1943 r., gdy aresztowano brata jego matki, który uciekł z getta, ale został zadenuncjowany. I ponure „Deszcze" z jesieni 1943. Wracam do „[Byłeś jak wielkie stare drzewo...]" z maja 1943 r., gdy zdławione zostało powstanie w getcie. Czy obraz karczowania drzewa jest tylko o morderczych wysiłkach nazistów, czy też o wyrywaniu narodu żydowskiego z ziemi polskiej, przynależności do polskiej wspólnoty? W końcu pisze to chłopak, który przed wojną w elitarnym gimnazjum Batorego bronił się w bójce z antysemitami. Mówi o cierpieniu swojego ludu, w którym Polak-Żyd, wyobcowany też z polskiego świata, nie uczestniczy.

W marcu 1942 r. pisał w satyrycznym wierszu „Do Pana Józefa w dniu imienin w 1942 roku" o tym, jak będzie po wojnie: „znów się żydzi rozplenią i znów stwierdzą ludzie, że wszystko było przez nich i że żydzi w brudzie, rozsiewają miazmaty, i że trzeba szyby, i sklepy im rozwalić i zęby im wybić". Czyli wiedział, jak może być, składając 4 sierpnia gdzieś przy placu Teatralnym życie na ołtarzu ojczyzny, która go nie chciała.

Takie rocznicowe wspomnienie w czasie, gdy gaśnica – narzędzie antysemickiej akcji – stała się gadżetem kampanii wyborczej kandydata, który zrobił zaskakująco dobry wynik. ©

Zuzanna Radzik jest teolożką i działaczką społeczną zajmującą się dialogiem chrześcijańsko-żydowskim. Autorka „Kościoła kobiet".

GALERIA PORTRETÓW KILKU POETÓW NOWEJ FALI Z AUTOPORTRETEM W TLE

Eseje poświęcone Witowi Jaworskiemu, Jerzemu Kronholdowi, Julianowi Kornhauserowi, Ryszardowi Krynickiemu, Stanisławowi Barańczakowi oraz Adamowi Zagajewskiemu.

Aleksander Fiut pisze o ich dorobku z perspektywy literaturoznawcy, ale i prywatnej; o serdecznych z nim relacjach i pośrednio o nierzadko powikłanych losach tego pokolenia.

WYDAWNICTWO LITERACKIE

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

REKLAMA

co odróżnia nas od maszyn

Potrafimy odczuwać, myśleć, rozumieć – albo tylko tak nam się wydaje. Nowe, specjalne wydanie „Tygodnika Powszechnego" to wyprawa w głąb umysłu. Zastanawiamy się, czym jest świadomość, czy AI naprawdę „coś czuje" i gdzie kończy się człowiek, a zaczyna maszyna. Pytamy o duszę, neurony, emocje. I o to, co czyni nas ludźmi.

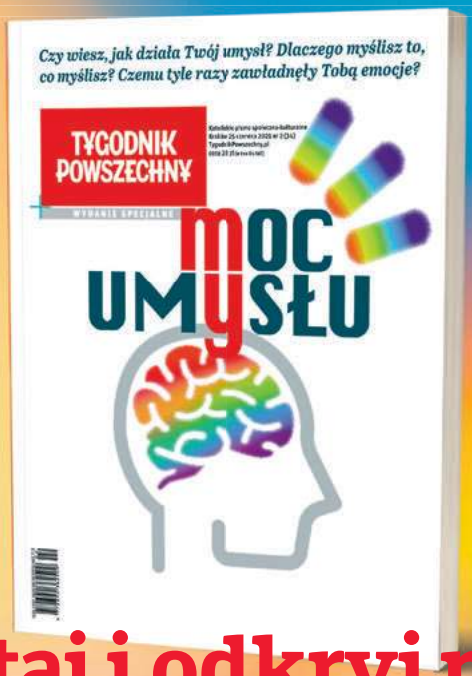

TYGODNIK POWSZECHNY
WYDANIE SPECJALNE
„MOC UMYSŁU"
dostępne
w najlepszych
salonach prasowych
oraz na **sklep.TygodnikPowszechny.pl**

Weź, czytaj i odkryj moc umysłu

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Z ODDECHEM

NADZIEJA I DZIAŁANIE

Nie wszystkie superbohaterki rodzą się na wzgórzach Hollywood. Niektóre objawiają się nam wprost na scenie gry, spowite szczególnego rodzaju światłem.

MONIKA OCHĘDOWSKA

Pamiętacie bitwę o Helmowy Jar z „Dwóch wież" Petera Jacksona? To jeden z najbardziej widowiskowych momentów ekranizacji powieści Tolkiena, przedstawiający obronę Rohanu przed siłami Sarumana. W pewnym momencie, po trwającym dłuższą chwilę starciu, sytuacja wydaje się naprawdę beznadziejna: dziesięciotysięczna armia Uruków szturmuje twierdzę, Rohirrimowie zostają zepchnięci do defensywy, a król Théoden traci nadzieję na zwycięstwo. I właśnie wtedy, na wzgórzu, w promieniach wschodzącego słońca zjawia się Gandalf. Uderza z flanki na armię Sarumana i rozbija ją w pył. Widzowie oddychają z ulgą.

Czarodzieje, wróżki, superbohaterowie posiadający nadprzyrodzone moce – popkultura zna wiele postaci, które pojawiają się w środku beznadziejnych zdarzeń dokładnie w momencie, gdy wszystko wydaje się stracone. Właśnie po to, by obrócić kołem fortuny. Tego rodzaju *happy end* polubiliśmy bardzo dawno, podczas lektury antycznych dramatów. W teatrze greckim używano nawet specjalnej maszynerii (fantastycznie prześmianej w jednej ze sztuk Woody'ego Allena), która umożliwiała nagłe sprowadzenie na scenę wszechmocnej postaci. Jednym gestem załatwiała ona to, z czym nie potrafili sobie poradzić marudni śmiertelnicy.

Ale tacy fantastyczni bohaterowie i bohaterki pojawiają się także poza przestrzenią Olimpu czy obrazami wykreowanymi na wzgórzach Hollywood. Trafiają wprost na scenę boiska, spowici szczególnego rodzaju światłem.

Deus ex machina

Salvadora, wybawicielka – taki przydomek nadała dziewiętnastoletniej piłkarce Michelle Agyemang hiszpańska prasa. Pochodząca z niewielkiego, leżącego na wschód od Londynu miasteczka South Ockendon zawodniczka nie gra w pierwszym składzie. Angielscy dziennikarze lubią podkreślać, że jeszcze cztery lata temu była jedynie dziewczynką podającą piłki na Wembley. Otóż Agyemang wybiega na boisko tuż przed końcem meczu, kiedy nikt nie wierzy już w zwycięstwo Angielek. Kibice prowadzącej drużyny świętują zwycięstwo, a widzowie przed telewizorami dojadają chipsy i wstają z kanap, powoli wracając do swoich codziennych spraw.

Przypomnijmy, jak wyglądał ćwierćfinał zakończonych właśnie w Szwajcarii mistrzostw Europy. W ciągu niespełna dwudziestu pięciu minut Szwedki zdobyły w meczu z Angielkami dwie bramki i na kwadrans przed końcem spotkania wydawało się, że z takim właśnie wynikiem drużyny się pożegnają. Wtedy wydarzyły się dwie rzeczy. Przede wszystkim Lucy Bronze (na co dzień zawodniczka Chelsea) zdobyła kontaktowego gola. A dwie minuty później Agyemang, która dopiero co weszła na boisko (roz-

Drużyna Anglii po wygranej z Hiszpanią w finale Mistrzostw Europy w Piłce Nożnej Kobiet. Bazylea, 27 lipca 2025 r.

grywając swój trzeci mecz w reprezentacji), wyrównała. Ostatecznie podopieczne Sariny Wiegman, przez kibiców nazywane Lwicami (Lionesses), wygrały dzięki karnym.

To nie koniec niespodzianek. W półfinałowym meczu z Włoszkami Angielki również przegrywały. Aż do 85. minuty, gdy na boisko wbiegła Agyemang i, w doliczonym czasie gry, zdobyła wyrównującą bramkę, doprowadzając do dogrywki, w której Lwice – ku rozpaczy Włoszek – znów zwyciężyły. To było jak pojawienie się Gandalfa w bitwie o Helmowy Jar. *Deus ex machina*. Nikt, jak podkreślali komentatorzy, nie dokonał czegoś takiego wcześniej. Żadnej z drużyn przegrywających w zasadzie w ćwierć- i półfinałach żeńskich mistrzostw nie udało się w ten sposób odmienić nagle losów gry.

Szwajcarski turniej ma wiele bohaterek, pokazał też siłę nowego pokolenia piłkarek, urodzonych już w XXI w., takich jak Michelle. Z roku na rok oglądamy coraz mocniejsze i coraz bardziej profesjonalne zawodniczki i drużyny. Z drugiej jednak strony, kobiety nieustannie zmuszane są do walki z dyskryminacją i nienawiścią, zarówno w klubach, jak i w mediach społecznościowych.

Ale zacznijmy od dobrych wiadomości.

Dobre wiadomości

Zakończone właśnie w Szwajcarii mistrzostwa Europy – po raz pierwszy z udziałem młodej reprezentacji Polski – są rekordowe pod względem liczby sponsorów i wysokości nagród (w tym roku wyniosły one 41 mln euro, to wzrost o 156 proc. w porównaniu do 2022 r.). Badania pokazują, że popularność kobiecego futbolu w Europie i na świecie w ostatnich latach niebywale wzrosła. Zawodniczki są silniejsze, szybsze i lepiej wyszkolone technicznie, co sprawia, że gra jest ciekawsza i wzbudza większe zainteresowanie kibiców – zarówno na trybunach (na turniej w Szwajcarii sprzedano ponad 650 tys. biletów), jak i przed telewizorami (same tylko mecze Polek obejrzały w telewizji i internecie 2 mln widzów z naszego kraju).

W sondażu YouGov EuroTrack, przeprowadzonym tuż przed turniejem ↦

ALESSANDRA TARANTINO / ASSOCIATED PRESS / EAST NEWS

Michelle Agyemang z pucharem dla najlepszej młodej zawodniczki mistrzostw Europy, 27 lipca 2025 r.

↦ w kilku europejskich krajach, zainteresowanie kobiecą piłką nożną deklarowało do 20 proc. respondentów, przy czym najwyższe wskaźniki odnotowano w Hiszpanii, Niemczech i Francji (te kraje posiadają również najmocniejsze, nie licząc angielskiej, reprezentacje). Dla porównania ok. 40 proc. ankietowanych deklarowało zainteresowanie „piłką nożną ogólnie". Podsumowując: połowa europejskich fanów interesuje się również kobiecą piłką.

Wedle najnowszych danych angielskiej federacji piłkarskiej (The Football Association, FA) wynagrodzenia zawodniczek wyniosły w tym roku łącznie 52 mln funtów, co oznacza skok o 44 proc. w stosunku do poprzedniego sezonu. W ciągu ostatnich czterech lat FA zanotowała też wzrost liczby kobiet pełniących role trenerek, a także sędziujących i administrujących grą. Ta profesjonalizacja pociągnęła za sobą zainteresowanie, a nawet miłość fanów. Najlepsze angielskie zawodniczki stały się powszechnie znanymi postaciami i wzorami do naśladowania.

Złe wiadomości

Wszystkie te liczby cieszą, choć wciąż jest wiele do nadrobienia. Rozpisana na 6 lat przez UEFA strategia „*Unstoppable*", ogłoszona w październiku 2024 r., to dopiero druga międzynarodowa strategia stworzona specjalnie dla kobiecej piłki nożnej. Pierwszą wprowadzono w roku 2019 (w Polsce podobna obowiązuje dopiero od roku 2022). Jedno z wyzwań to walka o zmianę naszego podejścia do kobiecego futbolu.

Jak notuje w swoich raportach organizacja Women in Football (WIF), media wciąż niechętne relacjonują mecze kobiet (sama wyczekiwałam podsumowań tegorocznych mistrzostw w dużych komercyjnych stacjach telewizyjnych – bez skutku). Aż 88 proc. zawodniczek, trenerek i sędzin uważa, że pracuje ciężej niż mężczyzna na tym samym stanowisku. Co ciekawe, z tą opinią zgadza się 74 proc. panów. Powiedzmy, że to dobrze, bo oznacza, że zawodnicy i trenerzy są świadomi barier, na które trafiają ich koleżanki.

Innym problemem jest seksizm i rasizm, na które kobiety w piłce wciąż narażone są niewyobrażalnie często. Wyniki badania WIF z maja 2024 r. pokazują, że 89 proc. piłkarek doświadczyło dyskryminacji w miejscu pracy. Ponad 60 proc. kobiet, które zgłosiło incydent, przyznaje, że klub, który reprezentują, nie podjął żadnych działań naprawczych. Aż 16 proc. kobiet w ogóle nie chciano wysłuchać. Sprawę, mówiąc wprost, zamieciono pod dywan.

Uczestniczki badania WIF sygnalizują także, że wzrasta nienawiść wobec nich w internecie. Ponad 40 proc. kobiet związanych z piłką uważa, że hejterskich postów w mediach społecznościowych jest więcej. Natomiast 18 proc. ankietowanych znalazła złośliwe i wulgarne wiadomości w swoich skrzynkach i na profilach w sieci.

Pocieszające jest to, że 85 proc. respondentek jest przekonanych o coraz większych możliwościach kobiet w tej dziedzinie sportu. Młodsze zawodniczki rzadziej słyszą, że interesują się czymś, co „nie jest dla dziewczyn" (zob. także rozmowę z trenerką Joanną Kubisiak).

Gwiazda nadziei

Kiedy pisałam o piłkarkach takich jak Michelle Agyemang, nieoczekiwanie spadających wprost na scenę gry i odmieniających jej bieg, wspomniałam, że spowite są szczególnego rodzaju światłem. Aby wyjaśnić, jakiego rodzaju światło mam na myśli, muszę opowiedzieć o jednej ze swoich lektur.

W najnowszym zbiorze esejów koreańsko-niemieckiego filozofa i teoretyka kultury Byung-Chul Hana wiele czytamy o nadziei. Jest ona tutaj formą życia, która przeciwstawia się scenariuszom apokalipsy. Ale bynajmniej nie chodzi w tym przypadku o naiwny, bezkrytyczny optymizm czy nieostrożną bezczynność. Owszem, w czasach, gdy powstawały najdawniejsze greckie tragedie, nadzieję zdecydowanie przeciwstawiano działaniu. Uważano, że człowiek pełen nadziei – niczym kibic wyczekujący upragnionej bramki pięć minut przed ostatnim gwizdkiem – zamyka oczy na rzeczywistość. Czy to rozsądne, pytali starożytni. Nadzieja, przyznawał Albert Camus, naprawdę bliska jest rezygnacji.

Byung-Chul Han postrzega nadzieję zupełnie inaczej, jak najdalej od zniechęcenia czy słabości. Filozof twierdzi, że posiada ona afekt wręcz wojowniczy. Nie tylko z optymizmem wygląda w przyszłość (optymista po prostu jest przekonany, że wszystko będzie dobrze – i czeka), ale „bierze rozbieg do działania". Nadzieja jest pędem, skokiem, pisze Han. Działa nie wbrew, a pomimo niesprzyjającej rzeczywistości. Jest radosnym światłem.

Światłem takiej właśnie nadziei spowita jest Michelle Agyemang, gdy zaczyna poszukiwać nowego kierunku

gry. Jej rozbieg implikuje nieprzewidywalne, niedające się kontrolować zdarzenia.

Co nam to mówi o nas samych? Czy niesie jakąś lekcję codzienności?

Poza zdarzeniami

W odpowiedzi opowiem, jak wyglądał finał kobiecego Euro, rozgrywany w ostatnią niedzielę w Bazylei. Faworytkami od początku były Hiszpanki i rzeczywiście, już po dwudziestu minutach prowadziły jednym golem. Tej drużynie kibicuje się łatwo, jej grę ogląda z przyjemnością – jest jednocześnie swobodna i precyzyjna. Zawodniczki rzadko pozwalają sobie na niecelne podania, dobrze się komunikują, a do tego doskonale odnajdują w ciasnym polu karnym.

Od pierwszego meczu z Portugalią, kiedy La Roja wygrały przewagą pięciu goli, było jasne, że niełatwo będzie je zatrzymać. Zwycięstwo z Belgią 6:2 tylko upewniło wszystkich, jak silną są drużyną. Ich przewagę musiały uznać również gospodynie turnieju.

Niedzielne spotkanie z Angielkami nie było łatwe, zwyciężczynie wyłoniła dopiero seria rzutów karnych. Kamery uchwyciły na moment klęczącą na boisku Agyemang. Podczas gdy koleżanki z zespołu strzelały kolejno do bramki Cataliny Call, dwudziestoczteroletniej zawodniczki Barcelony, Agyemang, w środku drużyny Angielek, ściskając przedramię, klęczała na wprost bramki, nieustannie wpatrując się w jej światło.

Przypomniał mi się wtedy fragment z eseju Hana, w którym filozof pisze, że nadzieja sadowi się zawsze poza biegiem zdarzeń. Jest całkowicie niezależna od tego, jakim rezultatem skończy się to, na co czekamy. Trwa, niezależnie od wyniku. Wewnętrznie nieporuszona, choć w ciągłym pędzie, jak Agyemang.

Tak, Angielki wygrały, a Michelle uznano za najlepszą młodą zawodniczkę mistrzostw. Odbierając puchar, była szczęśliwa i spokojna.

©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

Minęły czasy, gdy uważano, że piłka nożna to nie sport dla dziewczyn

MONIKA OCHĘDOWSKA: Komu kibicowała Pani w finale mistrzostw Europy?

JOANNA KUBISIAK: Hiszpankom, bo grały na tym turnieju po prostu pięknie. Choć trzeba przyznać, że Angielki też są rewelacyjne. Szwajcarskie mistrzostwa udowodniły, że poziom kobiecej piłki jest dzisiaj bardzo wysoki. Dziewczyny zostawiają na boisku serce, są zdeterminowane. Młode pokolenie gra na równi z seniorkami. To daje nadzieję na przyszłość.

Trenuje Pani od kilkunastu lat. Od siedmiu w miejscu, które szkoli wyłącznie dziewczynki.

Na początku było nas mało – zdarzało się, że dziesięciolatka trenowała razem z szesnastolatką, bo nie udawało się zebrać wystarczającej liczby dziewczynek, by podzielić je na zespoły. Z roku na rok zawodniczek jednak przybywało, więc zaczęłyśmy tworzyć drużyny według kategorii wiekowych.

W 2018 r. narodził się pomysł założenia akademii tylko dla dziewcząt. To znaczy takiego miejsca, w którym każda złotówka przeznaczana jest na ich szkolenie, ale też infrastrukturę, opiekę medyczną i psychologa.

Co wpłynęło na wzrost zainteresowania dziewczynek piłką?

Większa otwartość rodziców i dzieci na dyscyplinę, która była kiedyś domeną mężczyzn. Po pierwsze – jest więcej klubów i drużyn kobiecych. Po drugie – młodzieżowe reprezentacje Polski oraz reprezentacja seniorska odnoszą sukcesy, docierają na mistrzostwa Europy. Wreszcie – zmieniło się podejście mediów. Coraz więcej mówi się o kobiecej piłce, trenerki pojawiają się w różnych programach telewizyjnych, komentują mecze, udzielają wywiadów. To pomaga, choć wciąż jest nas za mało. Dlatego na odprawach i prezentacjach w naszej Akademii pokazujemy wzorce kobiece, dając tym samym młodym zawodniczkom nadzieję na osiągnięcie sukcesu.

Ile dziewczynek trenuje w krakowskiej Akademii?

Szkolimy w tym momencie 158 dziewczynek, co roku ich liczba rośnie. Najbardziej cieszy to, że pojawiają się coraz młodsze ochotniczki. Kiedyś rodzice mieli opory – woleli zapisywać córki na siatkówkę, balet albo lekcje tańca. Zawodniczki pojawiały się u nas dopiero jako dziesięcio- czy dwunastolatki, kiedy same mogły decydować, w co chcą grać. Teraz rodzice szukają miejsca do treningu już dla pięcio- i siedmiolatek.

Uczę też w szkole i widzę, że na lekcjach WF-u dziewczyny chętnie grają w piłkę, niezależnie od wieku. Nie ma już wytykania palcami, że to sport „nie dla dziewczyn". Dziewczyny wiedzą też, że mogą się rozwijać, spełniać marzenia, grać w piłkę w Polsce albo za granicą. Kiedyś nosiły koszulki z nazwiskami Messiego czy Lewandowskiego – teraz coraz częściej mają na nich nazwiska piłkarek. Podziwiają Ewą Pajor, Emilię Szymczak i Paulinę Dudek.

Czym różni się szkolenie dziewcząt od szkolenia chłopców?

Największa różnica to sfera mentalna – inny jest sposób prowadzenia zespołu, budowania relacji, reakcji na emocje i potrzeby zawodniczek. Dziewczyny często grają z pasji, ale ich pewność siebie bywa niższa. Trzeba umieć je chwalić, budować ich wiarę w siebie.

Jak ocenia Pani działania PZPN? Robi dla kobiecej piłki wystarczająco dużo?

Powiem tak: dzieje się sporo, ale na pewno potrzebujemy większego wsparcia finansowego i infrastrukturalnego. Często panowie mają pierwszeństwo do boisk, a dziewczyny muszą się dopasować. Nie może tak być.

©℗ Rozmawiała MONIKA OCHĘDOWSKA

ARCHIWUM PRYWATNE

JOANNA KUBISIAK jest trenerką z uprawnieniami UEFA A i prezeską szkolącej młode piłkarki Football Success Academy w Krakowie. Współpracuje z kobiecymi Reprezentacjami Polski U-15 oraz U-17.

STRAŻACY Z KONSTACHY

Gaszą pożary, w ruinach szukają ocalonych. Każdy z ich wozów nosi ślady odłamków. Nasza autorka spotkała się z ludźmi ze służb ratowniczych we wschodniej Ukrainie.

TEKST ANTONINA PALARCZYK Z KONSTANTYNÓWKI (DONBAS)

ZDJĘCIA JONASZ CHLEBOWSKI

To miasteczko kocha się i nienawidzi. Żołnierze stacjonujący w okolicy Konstachy, jak miejscowi nazywają przyfrontową Konstantynówkę, tęsknią za dalekim domem i klną na cały ten Donbas, w którym tkwią kolejny już rok. Natomiast wśród strażaków z Państwowej Służby ds. Sytuacji Nadzwyczajnych (DSNS) – straż pożarna podlega tej instytucji – jest inaczej. Bo tu wszystkie chłopaki są z Konstachy albo z pobliskich miejscowości.

Wzywani są codziennie. Do gaszenia pożarów wywołanych artylerią, dronami, bombami lotniczymi. Czasem do wyciągania znajomych spod gruzów. Dopóki dron nie trafił ich samochodu-cysterny, wozili wodę mieszkańcom z dzielnic, gdzie nie działa wodociąg.

Roma gasił pożar pasieki. W podzięce od właściciela przywiózł na remizę trzylitrowy słój miodu. Był wezwany, gdy rakieta uderzyła w szkołę, do której kiedyś chodził. Żenia Niebieskooki gasił pożar bloku, w którym bomba zabiła matkę jego kolegi z dzieciństwa.

– Patrzysz ludziom w oczy i widzisz, że są bezsilni. I że wyczekują od nas nadziei – mówi Roma, gdy w szumie wentylatora siadamy podczas jego zmiany w remizie. Na zewnątrz upał.

Choć żwawy i uśmiechnięty, trudno od niego oczekiwać, by miał więcej nadziei od cywilów z Konstantynówki. Pochodzi z pobliskiej wsi, która jest już pod rosyjską okupacją. Roma: – Nie ma już mojej Zorii, zabrali ją. A piękna była i blisko do jeziora Kleban-Byk. Dobra ziemia, pracowałem tam na gospodarstwie. Jestem ze wsi, ciężkiej pracy się nie boję. Siałem pszenicę i jęczmień.

Dom

– Ciężko i smutno, co więcej powiedzieć – Żenia Niebieskooki wzrusza ramionami.

Młody, tak jak Roma, jest melancholijny. – Co powiedzieć, kiedy niedługo zostanę bez domu i prawdopodobnie nigdy nie uda mi się do niego wrócić. Rodzice, żona i dziecko wyjechali, mieszkają pod Dnieprem. Widzimy się w trakcie przepustek.

Żenia nigdy nie myślał, by szukać szczęścia poza Donbasem. – Proponowano mi, żebym został w Charkowie, tam się uczyłem. Miasto duże, piękne. Nie zdecydowałem się. Jestem przywiązany do Konstantynówki. Najbardziej lubię nasz dom kultury, tam spędzałem każdego sylwestra, przed nim stała najpiękniejsza choinka.

Do kina jeździł do Kramatorska albo Bachmutu. – Tutaj są najpiękniejsze zachody słońca. Chodzi o to, co wisi w powietrzu. O te pola za oknem. Cały nasz Donbas jest piękny, i z hałdami i łanami pszenicy pomiędzy nimi. ↦

Strażacy w akcji w bloku mieszkalnym. Konstantynówka, 19 lipca 2025 r.

Oficer

↦ Pytany o dzieciństwo, Żenia Niebieskooki ożywia się. Z kumplami włóczył się po miasteczku i pobliskiej wsi Iliniwka, gdzie się urodził. Tam jest staw, nad który chodziło się na ryby.

Czy to było jego marzenie z dzieciństwa, zostać strażakiem? – Zawsze chciałem zostać oficerem. Ale kiedy w 2014 r. zaczęła się wojna, pójście do wojska wydało mi się kiepskim pomysłem. Nie chciałem skończyć na froncie. Tata zaproponował mi wtedy DSNS, wstąpiłem do charkowskiego instytutu.

Trzy haftowane gwiazdki na jego koszulce mówią, że dopiął swego: jest oficerem, tylko w DSNS. Choć doświadczenie ekstremalne go nie ominęło. – Mam w pamięci dzień, gdy wyciągałem spod gruzów ciało dwunastolatka. Myślałem, że nie dam rady następnego dnia pójść do pracy.

Pocisk uderzył w pięciopiętrowy blok. W ruinach najpierw kopała pierwsza zmiana, potem oni. – Znaleźliśmy ciało matki z synem.

– Najstraszniejszy moment był w kwietniu 2022 r. Odwoziłem na dworzec w Kramatorsku rodzinę kolegi i wpadliśmy pod ostrzał – Żenia urywa. 8 kwietnia 2022 r. Rosjanie zrzucili na kramatorski dworzec rakietę Toczka-U z głowicą kasetową, odbierając życie niemal sześćdziesięciu osobom czekającym na pociąg ewakuacyjny.

Ślady odłamków

Roma opowiada: – Zostałem ratownikiem DSNS, bo od dzieciaka chciałem pomagać ludziom. Nie wiedziałem, że przyjdzie wojna. Teraz nie można podejmować kroków wstecz, trzeba się tego trzymać. Składaliśmy przysięgę, że będziemy chronić ludzi i ich własność. Jak wojskowi, tylko my nie mamy broni.

Ich kolega, Stas (zdrobnienie od Stanisława), dodaje: – Jesteśmy tylko od ratowania. Nie możemy używać nawet strzelby w obronie przed dronami. Zostają tylko detektory i zagłuszarki montowane na samochodach.

– Zresztą, gdyby straż pożarna zaczęła zestrzeliwać drony, pewnie te atakowałyby nas częściej – dodaje. – Oczywiście i bez tego dochodzi do ataków, choć nie jesteśmy celem priorytetowym, tak jak wojsko. Kilka wozów w naszej jednostce nosi ślady uderzenia drona, każdy miał choć raz rozbite szyby lub został uszkodzony w inny sposób, od artylerii lub bomby. Tak jak nie ma w Konstantynówce ani jednego domu nienaruszonego choćby odłamkiem.

Koło ich remizy Rosjanie uderzali już pięciokrotnie.

KAB-y

Największe spustoszenie czynią KAB-y, kierowane bomby lotnicze, których zapasy w rosyjskich magazynach zdają się nie mieć końca. Teraz nieco ulepszone o system nawigacji, są bronią bardzo prostą – ich siła to duża zawartość materiału wybuchowego. Nie słyną z celności.

Stas: – Mają wciąż mnóstwo tego sowieckiego dziadostwa, a my musimy sobie radzić ze skutkami. Celują czasem w szkołę lub żłobek, gdzie są głębokie piwnice mogące kryć wojsko i w związku z tym często są celem, ale bomba spada np. 500 metrów dalej, w sektor cywilnych domów.

Stas: – Ostatnio KAB uderzył w blok, trudno powiedzieć, co miałoby być militarnym celem w okolicy. Bomba pogrzebała pod gruzami dwie osoby. Trzeciej nie znaleźliśmy. Może znalazła się tak blisko eksplozji, że rozniosło ją na strzępy, bywa i tak. Czasem roznosi człowieka w promieniu 150 metrów i zostaje z niego tyle, że starcza na zrobienie testu genetycznego z zebranej próbki.

Psychika

Wcześniej Stas pracował w jednostce DSNS w Bachmucie. – Byłem w zespole z Witią, który jak nikt miał intuicję do wyszukiwania miejsc, gdzie pod gruzami są trupy. Od razu, nie po dwóch dniach, gdy wskazówką staje się zapach, zwłaszcza latem. Pamiętam, jak mieliśmy wezwanie do Czasiw Jaru, to między Bachmutem a Konstantynówką. Naraz zginęło tam ponad czterdzieści osób. Nie trzeba było tropiących psów, wystarczyło wpuścić Witię.

Stas uprzedza pytanie. – Oczywiście, pracują z nami psychologowie. Bo jest z czym pracować. Niektórzy z nas dobrze znoszą te warunki. Inni na widok zwłok dziecka wpadają w stupor. Kamienieją. Psychologowie są z nami osobiście, co bardzo mi się podoba. Najczęściej sprowadza się to do rozmowy. Także do pytań, co tam w domu. Może stres związany z pracą nakłada się na jakieś osobiste problemy? A może to już czas, żeby przenieść się do spokojniejszej jednostki?

I dalej: – Wielu z naszych chłopaków wyjechało do Kijowa, gdzieś na zachód. Zostali ci najbardziej odporni. Kiedy teraz jadę na akcję, wiem, że za moimi plecami stoi ktoś, kto się nie wykruszy, z kim zdołamy ugasić pożar i uratować czyjeś życie, jeśli będzie zagrożone.

Więzi

– Jesteśmy na jednostce braćmi, drugą rodziną – mówi Roma. – Z jednej szklanki pijemy, jemy jedną łyżką. Kiedy, nie daj Bóg, coś złego dzieje się u kogoś z nas, pomaga cała grupa, wszyscy się zrzucamy. Jak Rosjanie bombardowali moją wieś, jeszcze zanim ją zajęli, jeden z braci przygarnął mnie do siebie do domu w Konstantynówce.

– Wojna przyniosła tyle śmierci i zniszczenia, ale sprawiła też, że wzmocniły się niektóre więzi. Wiadomo, krzykniesz czasem na kogoś, czasem męczy to, że wokół wciąż te same twarze. Ale potem napijemy się herbaty i znów jest dobrze.

Psychologowie związani z jednostką w Konstantynówce towarzyszą ratownikom. Inni są obecni na miejscach, gdzie w miastach uderzają rakiety lub drony. Są widoczni: noszą kamizelki z napisem „psycholog DSNS". Odpowiadają za udzielenie pierwszej psychologicznej pomocy. Często są pierwszymi świadkami czyjejś straty – towarzyszą ludziom w pierwszych chwilach po tym, jak dowiedzieli się o śmierci członka rodziny. Wówczas ich praca może polegać po prostu na milczeniu i trzymaniu za rękę.

Ilia

Od początku inwazji zginęła ponad setka ratowników DSNS. W tym Ilia, przyjaciel Stasa. Pośmiertnie został uhonorowany tytułem Bohatera Ukrainy (to najwyższe odznaczenie w kraju).

„Idziemy w pożar? Idziemy w pożar" – Stas przywołuje dialogi z Ilią. Można było wchodzić z nim na dach w trakcie ostrzału artyleryjskiego, jeśli trzeba było ratować ludzi. Można było na nim polegać. Ilia zginął w Bachmucie.

Stas: – Byłem przy nim tego dnia. Przyleciało w pięciopiętrowy dom, pod gruzami małżeństwo z dzieckiem. Cały dzień zabrało nam gaszenie pożaru, dopiero następnego zabraliśmy się za kopanie.

Chwila przerwy: – I wtedy zaczął się ponowny ostrzał. Ostrzegawcza komenda: „Powietrze!". Betonowe płyty, na których staliśmy, zaczęły się trząść, a potem przewracać, kaliber 155 mm to poważna

sprawa. Uciekając, każdy skoczył w inną stronę. Ilia zginął, przygnieciony płytą. Osierocił syna, owdowił żonę w ciąży. Urodziła potem dziewczynkę.

Ryzyko

Ponowne uderzenie, gdy na miejscu wcześniejszego „przylotu" pojawiają się służby ratownicze, to taktyka Rosjan.

To nie jedyne zagrożenie dla ratowników DSNS. Zwłaszcza dla zespołów w przyfrontowych miejscowościach, które są w zasięgu dronów kamikadze .

Dziś, gdy drony używane są na niespotykaną wcześniej skalę nie tylko na froncie, ale też na jego zapleczu, strażacy nie wszędzie mogą dojechać. Jedna trzecia Konstachy – wschodnie jej dzielnice – jest w tej chwili poza dostępem DSNS.

– Podczas każdego wyjazdu śledzimy sytuację w powietrzu, aktywność lotnictwa, dronów i rakiet – mówi German, dowódca jednostki. – Jeśli pojawia się ryzyko, to w zależności od sytuacji kończymy pracę lub szukamy ukrycia. Jeśli jest komunikat o bombie lecącej na miasto, a zespół zajmuje się odkopywaniem zwłok, przerywamy pracę. Jeśli jest wezwanie, że płonie pustostan w dzielnicy pod Czasiw Jarem, opanowanej przez drony, nie jedziemy. Ograniczamy niepotrzebne ryzyko.

Skabiej i Masza

Ich dyżur to oczekiwanie, w gotowości. Czas odmierzają kolejne kubki z fusami w kuchennym zlewie i kolejne papierosy palone w przedsionku.

Żenia Niebieskooki i ruiny Konstantynówki, 18 lipca 2025 r.

Uchylone zwykle drzwi remizy są zamykane, gdy w powietrzu słychać warkot drona. Po korytarzu snują się dwa psy, dorodne, o poczciwym spojrzeniu. Skabiej, przywieziony z Bachmutu, szczeka donośnie; imię dostał po Oldze Skabiejewej, naczelnej rosyjskiej propagandystce. Z kolei Masza, uratowana spod gruzów szkoły w Konstantynówce, uwielbia słodkie.

Gdy Masza zaczyna się kulić, oczekuj nieszczęścia, mówi jeden z chłopaków. Są przekonani, że Masza wyczuwa lecące w stronę miasta KAB-aczki (czyli cukinie; oswajając strach, tak mówią o bombach lotniczych).

Dyżur

W kuchni, gdzie okna zasłonięte są workami z piaskiem, zasiadają do gry w domino. – To profesjonalna gra strażaków – mruga Żenia. Na stole, obok patelni pełnej wątróbki z cebulą, ląduje liczydło z drewnianymi koralikami, z telefonu płynie rosyjskie disco w wykonaniu grupy Komissar.

– Suczka krasnaja! – Deńczyk ze śmiechem wali płytką domina w stół. Gdzieś w oddali słychać wybuch. Towarzystwo jest w dobrych humorach.

– Panowie, rąbnęło – do kuchni wchodzi Roma. Jest komunikat, że we wschodniej części miasta dron uderzył w auto ze starszym małżeństwem w środku. Kobieta jest ranna.

Chłopaki nie odrywają się od gry. Nie do nich należy decyzja, czy wyruszą z pomocą. Z tamtej strefy to wojskowi dostarczają rannych do miejskiego szpitala. Samochód nie zapłonął, nie trzeba było też specjalistycznego sprzętu, by wydostać kobietę ze zgniecionego pojazdu.

Dopiero w nocy chłopaki zerwą się z łóżek. Zapłonie trafione dronem mieszkanie w centrum.

Akcja

W piwnicy jednostki, chłodnej i bezpieczniejszej, są piętrowe łóżka. Tu można się zdrzemnąć. Tutaj też zbiegają się wszyscy, gdy jest komunikat o KAB-aczku lecącym na miasto.

Popołudnie. Zmiennicy nie zdążyli poleżeć w przyjemnym chłodzie, komunikat podrywa na nogi całą jednostkę. Wyjeżdżają w ciągu paru minut, na drugi brzeg rzeki Krywyj Toreć. Uderzenie dwóch bomb lotniczych.

Blok rozpruty eksplozją. Ziemia wkoło pokryta przedmiotami wyrzuconymi z mieszkań. Twarze strażaków, gdy wybiegają z klatki schodowej, pokrywają krople potu. W zadymionym korytarzu trudno wytrzymać, zionie z niego duszący żar.

Jest komunikat o czterech dronach kamikadze krążących w okolicy. Lepiej schować się na parterze, za ocalałymi od wybuchu betonowymi płytami. Płonące chwilę temu mieszkanie na czwartym piętrze zalane jest wodą, która spływa po osmalonych ścianach.

Na podwórzu staruszka w podomce próbuje gasić miotełką tlące się zgliszcza. Była poza mieszkaniem, gdy uderzyła bomba. – Wańka, taki chudziutki – wzrusza ramionami, zapytana przez strażaków, kto jeszcze poza nią tutaj mieszkał. – Ale on już umarł. © ANTONINA PALARCZYK

Sewilla, której nie widzą turyści

TEKST I ZDJĘCIA AGNIESZKA ZIELIŃSKA
Z SEWILLI (ANDALUZJA)

HISZPANIA | Blisko turystycznego serca Sewilli jest dzielnica, której nie ma w przewodnikach. Polígono Sur to miejsce, gdzie dzieci rzadko kończą szkołę. Są tu też ludzie, którzy wierzą, że da się to zmienić.

„Chcesz coś zmienić, zacznij od siebie" – napis na szkole w Polígono Sur

Sara pamięta, jak żyje się w cieniu ciągłych awarii prądu i wody. Jak to jest, gdy w całym bloku unosi się uciążliwy zapach marihuany. Pamięta obawy przed wyjściem z domu wieczorem i nad ranem. Wtedy było bardzo niebezpiecznie. Dziś jest bezpieczniej, choć stare problemy pozostały.

Sara, dziś 36-letnia, miała szczęście. Już w podstawówce była prymuską. Wyróżniała się, dlatego jej nauczycielka zawalczyła, by przeniesiono ją do szkoły w sąsiedniej dzielnicy. Dostała szansę na ukończenie liceum i studiów.

Także Cristina, dziś 48-letnia, pamięta swoje dzieciństwo na tym osiedlu. Trafiła na nie w wieku ośmiu lat, gdy jej rodzice dostali komunalne mieszkanie. Wówczas był to nowy punkt na mapie Sewilli, osiedlali się tu ubodzy robotnicy z całego regionu.

Cristina miała mniej szczęścia: przyszło jej spędzić w tym miejscu całe życie. Tu poznała męża, wychowała dwoje dzieci: – Pytasz, czy chciałabym wyjechać? Jasne, że tak. Jak każdy. Chciałabym mieć piękny dom. Ale jest, jak jest.

DZIELNICA | Sara i Cristina wychowały się w czterdziestotysięcznym Polígono Sur – miejscu, które uważane jest za najbiedniejsze i najbardziej konfliktowe osiedle w całej Hiszpanii. Ledwie kilka kilometrów dzieli je od centrum Sewilli – stolicy Andaluzji, jednego z najbardziej popularnych wśród turystów miast Hiszpanii, pełnego zabytków.

Do Polígono Sur turyści jednak nie docierają. Gdyby jakiś tu trafił, przez przypadek, mógłby się zdziwić. Próżno szukać typowych dla Sewilli pomarańczowych drzewek, konnych bryczek, malowanej ceramiki z Plaza de España. Są za to sterty śmieci, plątaniny kabli (nielegalne podłączenia do prądu to norma), stoły i krzesła na nocne biesiady. Bywają i wypalone mieszkania.

Po osiedlu oprowadza mnie Pepe Serrano. Od kilkunastu lat pracuje dla stowarzyszenia Entre Amigos (Między Przyjaciółmi). Wysoki, szczupły, mówi szybko i z energią. Fan klubu FC Cordoba, skąd pochodzi, całe zawodowe życie związał z tym sewilskim osiedlem.

Pepe zabiera mnie na spacer po ulicy Martínez Montañés, jednej z najtrudniejszych. Uprzedza, by nie wyciągać aparatu, bo to może denerwować.

W siedzibie ich stowarzyszenia klimatyzacja zawieszona jest wysoko, a drzwi solidne, metalowe. Na wszelki wypadek. W ciągu 40 lat działalności było kilka prób kradzieży.

AUTOBUS WIDMO | – Częste są awarie prądu, nie ma wind, skrzynek pocztowych. Listonosze nie chcą tu pracować. Trzeba odbierać listy na poczcie – objaśnia Pepe, gdy mijamy budynek pocztowy.

Nieustannie walczy z firmami kurierskimi: – Gdy coś zamawiamy w sklepie online, firma kurierska zwykle nie chce dowieźć zamówienia. Choć płacimy za przesyłkę.

Podobnie jest z dostawą jedzenia: zamówić można, ale bez gwarancji, że dojedzie. Aby odebrać pizzę, najlepiej umawiać się z dostawcą gdzieś na obrzeżu osiedla, np. przy szpitalu.

Spacerujemy po trzynastej, na ulicach sporo ludzi. Znudzone dzieci, które mają wakacje, siedzą przed blokami i gapią się w ekrany smartfonów.

Mijamy przystanki autobusu miejskiego nr 31, ale próżno by na niego czekać. Nie przyjeżdża od miesiąca. Kierowcy się zbuntowali, gdy po raz kolejny paroletnie dzieci obrzuciły ich kamieniami. Negocjacje na temat powrotu autobusów utknęły, kierowcy grozili strajkiem podczas tygodnia lokalnej fiesty, więc miasto nie nalegało.

Pojawił się pomysł, by autobusom towarzyszył patrol policji, ale decyzji wciąż brak.

– Gdyby coś takiego miało miejsce na innym osiedlu Sewilli, to czy też zabrano by połączenie autobusowe? Na pewno

Sara Uceda i Pepe Serrano z organizacji Entre Amigos

nie – irytuje się Pepe. – Tutaj za sprawą kilkorga winnych tysiące ludzi zostały bez autobusu, nie mogą dojechać do lekarza czy pracy.

KOMISARZ OSIEDLA | Aby lepiej zrozumieć historię tego miejsca, odwiedzam lokalne władze. Konkretnie: komisarza osiedla, jedyną taką instytucję w całej Hiszpanii. Sześć lat temu został nim Jaime Bretón Besnier, polityk konserwatywnej Partii Ludowej. W rozmowie wyjaśnia, że jego zadaniem jest „diagnoza i współpraca z innymi służbami Sewilli". On i jego zespół wydają opinię, ostateczne decyzje podejmują władze miasta.

Historia Polígono Sur sięga lat 60. XX w., gdy ówczesne władze zbudowały tu osiedle z mieszkaniami socjalnymi dla robotników, którzy wcześniej gnieździli się w slumsach i ruderach w innych częściach Sewilli.

Osiedle stało się domem dla ubogich mieszkańców. Jednak z upływem lat pojawił się problem narkotyków, nielegalnych upraw marihuany, a potem też przemocy, handlu bronią i starć gangów. Pierwotni mieszkańcy, w miarę poprawy ich sytuacji życiowej, przeprowadzali się do lepszych dzielnic. Tu zaś trafiali ludzie wyrzucani z innych osiedli – głównie Romowie, imigranci, osoby skrajnie ubogie.

Jaime Bretón Besnier pokazuje mi plan osiedla, w tym jedno z – jak mówi – najbardziej zapalnych miejsc. To strefa zwana Las Vegas, gdzie siedzibę ma stowarzyszenie Entre Amigos.

Na całej ulicy widać mnóstwo wiszących kabli z nielegalnych podłączeń. Na 250 mieszkań w okolicy „strefy" za prąd płaci tylko jeden mieszkaniec i stowarzyszenie.

– Ludzie przyzwyczaili się, że wszystko jest gratis. Woda, prąd, czynsz. Że jedzenie dają Caritas i bank żywności – komisarz dodaje, że lokalne władze nieraz próbowały egzekwować płatności, ale okazywało się to bardziej kosztowne niż ich wysokość.

KONKURENCJA DLA PRACY | – Uprawiając nielegalnie marihuanę w swoim domu, można zarobić 3 tysiące euro miesięcznie – wylicza Jaime Bretón Besnier. – To sprawia, że trudno nam przekonać młode osoby do kontynuowania nauki czy podjęcia pracy.

Za uprawianie marihuany Kodeks karny przewiduje łagodne sankcje. – Aby taki hodowca dostał kilka lat więzienia, policja musiałaby udowodnić, że jest on częścią grupy przestępczej. Jeśli tego nie zrobi, a podejrzany nie ma przeszłości kryminalnej, zwykle winny pozostaje na wolności – mówi komisarz.

Jaime Bretón Besnier uważa, że narkotyki są tutaj, jak to określa, „nielojalną konkurencją" dla uczciwych zajęć. Wymienia fundacje i firmy, które zgłaszały się na osiedle i proponowały mieszkańcom kursy z nowych technologii czy sztucznej inteligencji, a po ich zakończeniu stabilną i dobrze płatną pracę. – Amazon rozdawał nawet bony na 100 euro do wydania w ich sklepie, tak na zachętę. Ale i to nie pomogło. Wielu z tych ludzi po prostu nie chce pracować. Jest im dobrze tak, jak jest – uważa komisarz.

Walka z domowymi plantacjami marihuany jest trudna. Choć łatwo je wytypować: mieszkanie, w którym jest uprawiana, zużywa tyle energii co kilkadziesiąt innych mieszkań.

Ale policja, gdy chce je przeszukać, musi mieć pozwolenie sądu. Wniosek o nie trzeba udokumentować, podać nazwisko właściciela lokalu. To zaś nie jest proste. Użytkownicy mieszkań komunalnych często przekazywali je dalej, niezgodnie z prawem, swoim dzieciom, wnukom czy przyjaciołom. Dziś trudno ustalić, kto gdzie mieszka.

MECHANIZM PRZEMOCY | W ślad za narkotykami na osiedlu zagościła przemoc. Mechanizm jest taki: gdy plantacja marihuany staje się dochodowa, pojawia się rywalizacja klanów, a co za tym idzie: użycie broni palnej.

Do jednej z większych strzelanin doszło jesienią 2024 r., prawdopodobnie podczas próby kradzieży narkotyków. Policja określa to skrótem *vuelco* – napad rabunkowy między grupami przestępczymi. Na miejsce wysłano trzystu policjantów. Zatrzymano dziesięć osób. Byli ranni (lekko). Nikt, co typowe dla tej dzielnicy, nie złożył zawiadomienia na policji.

Co martwi władze: analiza łusek zebranych na miejscach strzelanin pokazuje, że używa się już nie tylko strzelb myśliwskich, ale coraz częściej broni automatycznej lub półautomatycznej. To może świadczyć, że gangi się specjalizują, bogacą i rozrastają.

Coraz częściej dochodzi też do szantaży. Członkowie klanów nachodzą starsze osoby z osiedla, grożą, zmuszają do sprzedania mieszkań, aby móc rozszerzyć plantacje.

Stowarzyszenie Entre Amigos przeprowadziło badanie wśród podopiecznych. Wynik: 60 proc. widziało w ostatnich ↦

Martínez Montañés to jedna z najbardziej problemowych ulic dzielnicy

Komisarz Jaime Bretón Besnier przy planie Polígono Sur. Sewilla, lato 2025 r.

↦ miesiącach bójkę lub strzelaninę, a 55 proc. brało w nich udział.

PUŁAPKA ZASIŁKU | Jaime Bretón Besnier uważa, że czynnikiem, który cementuje strukturalne problemy osiedla, jest – obok narkotyków – także tzw. minimalny dochód gwarantowany.

Ten rodzaj zasiłku został wprowadzony przez rząd centralny w Madrycie podczas pandemii. Miał służyć walce ze społecznym wykluczeniem i ubóstwem. W zależności od sytuacji rodzinnej, może on wynosić od pięciuset do tysiąca euro miesięcznie.

– Mieliśmy rodziny, który się szkoliły, by podjąć jakąś pracę, ale potem nie chciały tego kontynuować. Rozumiem, że pomoc tę dostają osoby, które są w bardzo trudnej sytuacji życiowej. Albo 55-latkowie, którzy od kilku lat są bezrobotni, kończy im się zasiłek, a w tym wieku trudno znaleźć pracę. Ale minimalnego dochodu gwarantowanego nie można przyznawać 25-latkom, robimy im tym krzywdę. Oni nigdy nie będą chcieli pracować – mówi komisarz osiedla.

PRAGNIENIE NORMALNOŚCI | „Zatrzymano 10 osób po strzelaninie"; „Rozwiązano imprezę z udziałem 40 osób"; „Policja bada sprawę pożaru": to częste czołówki lokalnych mediów poświęcone osiedlu. Ale Pepe Serrano uważa, że sytuacja jest bardziej złożona, by zmieścić ją w jednym tytule.

– Jest tu wiele problemów, ale to nie strefa wojenna. Wszystko zależy od konkretnego miejsca i ulicy. Większość ludzi chce normalnie żyć. To ci pozostali wpływają na wizerunek całego osiedla – mówi Serrano.

Wśród tych, którzy pragną normalności, jest 48-letnia Cristina. Niska brunetka z ciemną karnacją i długimi prostymi włosami, sympatyczna i otwarta. Na jej delikatnie pomarszczonej twarzy nie ma makijażu, za to maluje się zmęczenie.

Razem z Cristiną, jej mamą i siostrą szukamy odrobiny cienia. Trzydzieści kilka stopni w letni poranek są trudne do wytrzymania. – Dziś piątek, więc przygotowujemy nasz towar. Jutro będziemy go sprzedawać na plażach. Tu w weekend nic już nie sprzedamy, bo całe miasto wyjeżdża nad pobliskie morze – mówi Cristina.

Jest Romką. Jedna piąta mieszkańców osiedla to Romowie (w Andaluzji jest ich 300 tys.). Licznie zamieszkują dwie najbardziej problemowe ulice: Martínez Montañés i Murillo.

Jak wielu Romów w Hiszpanii, Cristina trudni się sprzedażą zwaną *venta ambulante*. To sprzedaż z samochodu, bez jednego stałego miejsca.

Cristina mówi, że czuje się bezpiecznie: – Nigdy nie miałam problemów. Wstajemy rano i każdy idzie w swoją stronę. Dzieci do liceum. Ja z siostrą pomagam mamie. Znam tu wszystkich. Wiem, z kim mogę rozmawiać, a z kim lepiej nie. Ostatnio faktycznie częściej nie ma prądu, ale to pewnie przez upały. Mieszkam tuż koło straży pożarnej i jeśli zdarza się awaria prądu, to najwyżej na dwie godziny.

WAKACJE Z MISJĄ | W Entre Amigos panuje dziś ożywiony ruch. Spieszą się, by zdążyć z przygotowaniami do szkoły letniej dla dzieci z osiedla. Będzie dużo godzin na basenie, nauka segregowania śmieci, zajęcia z muzyki i gotowania. – Są wakacje i chcemy, by dzieci się dobrze bawiły. Ale jesteśmy też po to, by im towarzyszyć, wyłapywać niepokojące sygnały, konflikty w rodzinie – mówi mi Nerea Guzmán z Entre Amigos.

W trakcie roku szkolnego Entre Amigos ma swoich pracowników w każdej z tutejszych szkół. Ich pokoje, usytuowane przy wejściu do budynku, są otwarte także w wakacje. Ludzie z Entre Amigos nadzorują sytuację dzieci, zwłaszcza ich obecność w szkole. Jeszcze 20 lat problem absencji dotyczył 80 proc. dzieci i nastolatków, dziś spadł w okolice 20 procent.

Jednak to wciąż jedna z najgorszych statystyk w kraju. Dane za rok 2023 mó-

wią, że ponad 60 proc. uczniów z tego osiedla nie kończy szkoły.

W szkole C.E.I.P. Andalucía korytarze są pomalowane na żółto, z czym kontrastują niebieskie drzwi. I jest jedna z najbogatszych szkolnych bibliotek w Andaluzji.

Przy wejściu dzieci wraz z rodzicami stworzyli „drzewa życzeń"; większość jest anonimowa. Ktoś marzy o „szkole z czekolady", ktoś inny o „szacunku", „większej bibliotece na parterze", „tolerancji", „miłości" albo o „zakończeniu problemów na osiedlu".

W szkole siedzibę ma też społeczne radio – Radio Abierta, Otwarte Radio. Istotnie otwarte dla wszystkich. Pepe Serrano nazywa je teatrem, wymówką i przestrzenią to stworzenia wspólnoty, do poruszania tematów ważnych dla mieszkańców.

TRZEBA SIAĆ | Budynki osiedla kontrastują z nowoczesną infrastrukturą. Polígono Sur ma najlepszą przychodnię w całej prowincji. Nowoczesna, ma długie jasne korytarze, duże okna i patio z roślinami. Gdy oprowadza mnie po nim komisarz osiedla, świeci pustkami.

W Polígono Sur jest też ośrodek aktywności osób starszych, centrum kultury, centra edukacyjne i boiska sportowe (z boisk korzystają chętni z całej Sewilli). Na ich funkcjonowanie co roku płyną miliony euro ze środków krajowych, z europejskiego funduszu rozwoju regionalnego, od prywatnych dawców.

Jednak, mimo tych nakładów, niewiele się tu zmienia. Przyczyną, zdaniem wielu, pozostają narkotyki.

36-letnia Sara Martinez Uceda wychowała się w Polígono Sur. Skończyła studia, kupiła mieszkanie w innej części Sewilli. Ale wciąż wraca: jest psycholożką w Entre Amigos.

Sara: – To bardzo trudne, patrzeć, jak 14-letnia dziewczyna z aspiracjami i świetnymi ocenami zachodzi w ciążę i przerywa naukę. Towarzyszysz jej rodzinie przez lata, mówisz jej, że może zajść daleko, ale to wszystko na nic. To naprawdę trudne.

– Ale nasza praca ma sens – dodaje. – Powtarzam, że jesteśmy jak rolnicy, tyle że nie zawsze to my zbierzemy plony. Trzeba jednak siać. I czekać.

© AGNIESZKA ZIELIŃSKA

Wolność medyczna i jej cena

MARTA ZDZIEBORSKA

USA | Robert F. Kennedy Junior, sekretarz w administracji Trumpa, obiecuje uczynić Amerykę znów zdrową. Za jego pomysły zapłacą jednak na koniec zwykli Amerykanie – ci, dla których jest on dziś idolem.

Bobby, jak mówią do niego bliscy, nie miał łatwo, by zapewnić sobie posadę w administracji Donalda Trumpa. Przeciw jego nominacji na sekretarza zdrowia opowiedziały się dość powszechnie środowiska medyczne w USA, a także 77 laureatów Nagrody Nobla w dziedzinie medycyny, chemii, fizyki i ekonomii.

Wątpliwości wyrażała nawet jego rodzina. Caroline, córka byłego prezydenta Johna F. Kennedy'ego (Bobby jest jego bratankiem), przekonywała, że kandydat na sekretarza zdrowia nie ma kompetencji do pracy w rządzie, a jego poglądy na temat szczepionek są groźne. „Lekarze, pielęgniarki, badacze, naukowcy i opiekuni medyczni zasługują na kogoś lepszego niż Bobby" – przestrzegała w liście do senatorów.

Mimo tych apeli Senat USA dał mu zielone światło. Zadowolił tym Trumpa, który chciał spłacić polityczny dług: Bobby, mający aspiracje do prezydentury, na niecałe trzy miesiące przed wyborami w 2024 r. zrezygnował z walki o Biały Dom i poparł Trumpa.

Kennedy przekonywał wyborców obietnicą, że można uczynić Amerykę znów zdrową. Stąd kultowe już hasło „*Make America Healthy Again*" (MAHA), które stało się ideą przewodnią dla szerokiego ruchu społecznego.

CZYSTKI BOBBY'EGO | Minęło pół roku od objęcia rządów przez Trumpa. Ameryka cudownie nie ozdrowiała, za to ma sekretarza zdrowia, który rozsadza system od środka.

Najwięcej jak dotąd kontrowersji 71-letni Kennedy wzbudził w czerwcu, gdy zwolnił cały personel rządowego zespołu ds. szczepień – to ruch mający bezpośredni wpływ na życie Amerykanów. Od rekomendacji tego gremium zależy, które szczepienia dla dzieci zarządzą w szkołach władze stanowe, i które preparaty będą refundowane przez firmy ubezpieczeniowe.

Kennedy zarzucił odwołanym urzędnikom, jakoby siedzieli w kieszeni przemysłu farmaceutycznego. Na ich miejsce mianował nowych – część z nich znana jest z propagowania teorii antyszczepionkowych.

Zespół namaszczony przez Bobby'ego wziął się szybko do pracy. Na pierwszym posiedzeniu cofnięto rekomendację dla szczepionek przeciw grypie, które zawierają tiomersal. To środek konserwujący na bazie rtęci, który według środowisk antyszczepionkowych może wywołać u dzieci autyzm (zaprzecza temu środowisko medyczne).

SPÓR O SZCZEPIENIA | Przed tym głosowaniem prezentację na temat tiomersalu wygłosiła Lyn Redwood. To była współpracownica Kennedy'ego – działali razem w założonej przez niego organizacji Children's Health Defense, która podczas pandemii szerzyła dezinformację i domagała się wycofania z rynku preparatów przeciw covidowi. Kennedy zrezygnował z funkcji prezesa, gdy w 2023 r. wystartował do walki o Biały Dom.

To nie wszystko, gdy idzie o szczepionki. Już jako sekretarz zdrowia Bobby ogłosił, że rząd USA przestanie rekomendować szczepienie przeciw covidowi dla dzieci i kobiet w ciąży, choć te według naukowców są bardziej zagrożone ciężkim przebiegiem i poronieniem. Pozew przeciw tej decyzji Kennedy'ego złożyły czołowe organizacje medyczne, twierdząc, że jego polityka podsyca wśród Amerykanów strach przed szczepionkami. ↦

↦ Z drugiej strony, gdy w tym roku w USA odnotowano rekordową liczbę zachorowań na odrę i pierwsze przypadki zgonów wśród dzieci, Kennedy zachęcał do szczepienia się przeciw tej chorobie.

RUCH NA FALI | Chwilowa wolta Kennedy'ego w sprawie odry zraziła wobec niego część środowisk antyszczepionkowych, które w ostatnich latach nabrały w USA rozpędu na fali frustracji związanej z pandemicznymi lockdownami i nakazami szczepień.

Niegdyś marginalny, ruch ten wszedł dziś na konserwatywne salony – czego przykładem alians Kennedy'ego z Trumpem i dobra passa polityków, którzy dzięki antyszczepionkowej agendzie wygrywają wybory do legislatur stanowych.

To prowadzi do poluzowywania przepisów, a nawet do wysuwania takich projektów ustaw jak w Montanie: próbowano tam zakazać szczepionek mRNA, czyli m.in. tych przeciw covidowi; jak dotąd bez powodzenia.

Oliwy do ognia dolewa Trump, który niedługo po objęciu urzędu podpisał dekret wstrzymujący finansowanie federalne dla szkół i uczelni, które wymagają od studentów szczepienia na covid.

WOLNOŚĆ MEDYCZNA | W tej batalii chodzi nie tylko o szczepienia, ale – w szerszym wymiarze – o ideę wolności medycznej, coraz bardziej świętą w konserwatywnych kręgach. Czyli prawo do podejmowania samodzielnych decyzji dotyczących własnego zdrowia. Zwolennicy tego nurtu sprzeciwiają się wszelkim regulacjom w kwestiach medycznych ze strony państwa. Zwykle popierają też tzw. alternatywne metody leczenia.

Dla tych środowisk Kennedy Junior to właściwy człowiek na właściwym miejscu. Jako sekretarz zdrowia nie tylko poparł antyszczepionkową krucjatę (apel w kwestii odry to wyjątek), ale wziął się też za promowanie alternatywnych terapii.

Ostatnio sporo mówi np. o użyciu psychodelików w leczeniu zespołu stresu pourazowego. To daje nadzieje producentom ecstasy, którzy od lat 80. XX w. starają się o dopuszczenie tego specyfiku, dziś traktowanego jak narkotyk, do użytku medycznego. Agencja Associated Press twierdzi, że departament zdrowia miał zatrudnić kilku ekspertów mających powiązania z tymi producentami.

KWESTIA FLUORU | Kennedy Junior ma przy tym nieoczywistą biografię: zanim stał się sztandarową postacią środowisk propagujących tak rozumianą wolność medyczną, był prawnikiem specjalizującym się w sprawach ochrony środowiska.

W latach 80. XX w. zaczął pracować w Hudson River Fishermen's Association – organizacji, która procesowała się z koncernami w sprawie zanieczyszczenia rzek. W 2000 r. współzałożył własną firmę prawniczą, która reprezentowała mieszkańców regionów zatruwanych przez fabryki i chorujących przez to na raka.

Po latach mówił, że to walka z trującymi rtęcią fabrykami sprawiła, iż zainteresował się tematem szczepionek i wspomnianym już tiomersalem. W 2005 r. na łamach pisma „Rolling Stone" i serwisu Salon obwinił tiomersal za wzrost przypadków autyzmu wśród dzieci.

Jego sceptycyzm dotyczy nie tylko szczepionek. Ma on też m.in. swoją teorię na temat dodawania fluoru do wody. Twierdzi, że pierwiastek ten jest rzekomo „przemysłowym odpadem", który wywołuje artretyzm, raka kości i spadek ilorazu inteligencji. Dlatego jako sekretarz zdrowia zlecił prace nad nowymi wytycznymi w sprawie fluoryzacji wody.

Wpisuje się to w kolejny trend w USA: dodawania fluoru jako pierwsze zakazały stany Utah i Floryda, tłumacząc, że władze nie powinny tego robić bez zgody ludzi. To dobrze brzmi dla zwolenników idei wolności medycznej, ale gorzej ze skutkami w codziennym życiu. Dodawanie fluoru w niewielkich ilościach do wody zapobiega bowiem chorobom zębów, a to ważne w Stanach, gdzie koszty ich leczenia są astronomiczne.

WĄTPLIWE BARWNIKI | Nie jest tak, że Kennedy Junior słynie tylko z pomysłów kontrowersyjnych. Jako sekretarz zdrowia wziął się też za walkę z przetworzoną żywnością, nazywaną niekiedy cichym zabójcą Ameryki.

Na pierwszy ogień poszły barwniki wytwarzane z ropy naftowej, a stosowane m.in. w cukierkach M&M's i Skittles, płatkach śniadaniowych czy napojach. Kennedy ogłosił, że chce, by sztuczne barwniki zniknęły z żywności do końca 2026 r. Przemysł zareagował na to obietnicami, co powtarza się za każdym razem, gdy w debacie publicznej wraca ten temat.

W przypadku niektórych barwników producenci będą musieli się jednak ugiąć. Jeszcze pod koniec rządów Bidena Federalna Agencja ds. Żywności i Leków (FDA), odpowiedzialna za regulacje na rynku żywności, cofnęła zgodę na użycie czerwonego barwnika Red No. 3; stało się to ponad 30 lat po opublikowaniu wyników badań, które wykazały, że wywołuje on raka u laboratoryjnych szczurów. Z tego powodu zakazano wtedy używania go w kosmetykach.

NAPOJE I ZAPOMOGI | „Antybarwnikowa" rewolucja rozlewa się dziś na całą Amerykę. Według wyliczeń organizacji Environmental Working Group, projekty ustaw nakładających restrykcje na producentów żywności przygotowano w 20 stanach. I tak, w Teksasie od 2027 r. firmy stosujące wątpliwe dodatki będą musiały zamieszczać etykietę: „Ten produkt zawiera składnik nierekomendowany do spożycia dla ludzi w Australii, Kanadzie, Unii Europejskiej i Wielkiej Brytanii".

Wracając do polityki w Waszyngtonie: Kennedy chce zlikwidować też lukę prawną, która od dekad zezwala na dodawanie nowych składników do żywności, jeśli producenci sami uznają, iż są one bezpieczne dla zdrowia. Tak luźne przepisy łatwo prowadzą do nadużyć.

Kennedy wzywa też władze stanowe, by zakazały Amerykanom kupowania gazowanych napojów za pieniądze z zapomóg żywnościowych. Walka z kolorowymi napojami, kiedyś w USA typowa dla liberałów, nabiera tempa także w Partii Republikańskiej.

RAPORT MAHA | Choć działania te mogą napawać optymizmem, sceptycy alarmują, że to mogą być w dużej mierze ruchy pozorne.

Trumpowskie cięcia w rządzie federalnym objęły także Departament Zdrowia. Zwolniono 10 tys. ludzi, także we wspomnianej Federalnej Agencji ds. Żywności i Leków – już i tak niedofinansowanej. Obcięto również fundusze na badania nad obecnością chemikaliów w rolnictwie. Zrobiono to, choć ze zleconego przez Trumpa raportu na temat przyczyn chorób przewlekłych u dzieci wynika, że fundusze na te badania należy zwiększyć.

Ten opublikowany w maju raport, pod tytułem-hasłem „*Make America Healthy Again*", to osobna historia. Prócz ważnych wniosków dotyczących przetwo-

ANDREW HARNIK / GETTY IMAGES

„Matki murem za MAHA": z takim transparentem zwolenniczki ruchu „Make America Healthy Again" przyszły na konferencję prasową, podczas której Robert F. Kennedy Jr. (po lewej) przedstawił plan wycofania z żywności barwników na bazie ropy. Waszyngton, 22 kwietnia 2025 r.

rzonej żywności (stanowi ona niemal 70 proc. kalorii spożywanych przez dzieci i nastolatki w USA!), w raporcie tym cytowano nieistniejące badania medyczne.

Wzbudziło to podejrzenia, że jego autorzy mogli ułatwić sobie pracę, korzystając ze sztucznej inteligencji (wiadomo, że odpowiadając na zadanie pytania, AI czasem wymyśla nieistniejące prace naukowe).

FRYTKI NA SMALCU | W zdrowotną rewolucję spod znaku MAHA trudno uwierzyć tym, którzy pamiętają, że pierwsza administracja Trumpa poluzowała restrykcje w produkcji żywności i rzadziej niż za poprzednika, Baracka Obamy, interweniowała w sprawie podejrzanych leków i produktów spożywczych.

Również w drugiej kadencji Trump bierze się za deregulację. W marcu ogłoszono plany zniesienia restrykcji środowiskowych – co jest w kontrze z hasłem „*Make America Healthy Again*", jako że idzie tu o jakość wód, powietrza i w związku z tym – żywności.

Na drodze do reform stoi tu zresztą sam Kennedy. Z jednej strony walczy z przetworzoną żywnością, ale z drugiej dezinformuje na temat olejów roślinnych: twierdzi, że „zatruwają Amerykanów" i „są jednym z najbardziej szkodliwych składników w żywności".

W zamian promuje smażenie na smalcu, z którego w latach 90. XX w. zrezygnowały czołowe sieci *fast food*, m.in. z uwagi na wysoką zawartość tłuszczów

TOM WILLIAMS / CQ ROLL CALL / AP

nasyconych. Występując w marcu w konserwatywnej stacji Fox News, Kennedy chwalił popularną sieć Steak'n Shake za to, że zdecydowała się smażyć frytki na smalcu.

Za sekretarzem zdrowia murem stoją konserwatywne influencerki z branży fitness: nagrywają filmy, pokazując, jak wyrabiają własny smalec, przygotowują z jego użyciem czekoladki czy rozsmarowują go sobie na twarzy dla celów kosmetycznych.

CIĄG DALSZY TRWA | Ruch spod znaku MAHA przyciąga dziś ludzi o różnych poglądach politycznych. Łączy ich zwyczajna troska o to, co jedzą ich dzieci. Gdy w maju rozmawiałam z Tomem, znajomym zwolennikiem Trumpa z Pittsburgha, usłyszałam, że to Kennedy uchronił jego rodzinę przed smażeniem na olejach roślinnych. Tom, rzecz jasna, przerzucił się na smalec.

Po latach aktywności jako naczelny antyszczepionkowiec, Kennedy najwyraźniej znów wyczuł nastroje wśród tych Amerykanów, którzy ideę wolności medycznej przedkładają ponad wszystko.

Ruch MAHA jest też na rękę Trumpowi. Prezydent jednego dnia obiecuje, że obniży poziom zachorowalności na raka wśród dzieci, a kilka dni później każe po cichu wycofać pozew przeciw fabryce w przemysłowym rejonie Luizjany, który nazywany jest „aleją raka".

Tymczasem pół roku po objęciu przez Kennedy'ego stanowiska znów słychać głosy jego krytyków. Michael Bloomberg, były burmistrz Nowego Jorku, przekonuje, że najlepsze dla zdrowia obywateli byłoby powstrzymanie jego najbardziej dzikich zapędów lub wprost odsunięcie go od władzy. Bez tego, przekonuje Bloomberg, zachorować lub umrzeć może więcej Amerykanów, a cenę za to zapłacą Republikanie podczas kolejnych wyborów. Akurat tym mogliby się przejąć. © MARTA ZDZIEBORSKA

Autorka jest dziennikarką „Press" i byłą korespondentką w USA. Stale współpracuje z „Tygodnikiem".

TYGODNIK POWSZECHNY

ZAMÓW TYGODNIK, KTÓRY TRAFIA TAM, GDZIE CHCESZ: DO SKRZYNKI, DO PACZKOMATU, DO CIEBIE.

DOSTAWA DO DOMU

Poczta Polska

- Prenumerata kwartalna: 190 zł* ~~210 zł**~~
- Prenumerata półroczna: 367 zł* ~~399 zł**~~
- Prenumerata roczna: 687 zł* ~~749 zł**~~
- Prenumerata roczna z 4 wydaniami specjalnymi: 787 zł* ~~849 zł**~~

Wszystkie numery doręczy Ci listonosz – nie musisz wychodzić z domu.
W prezencie **UNIKALNA TORBA „TYGODNIKA”** – tylko do końca lipca.

* Oferta ważna tylko do końca lipca. ** Najniższa cena z ostatnich 30 dni

dowiedz się więcej!
powszech.net/KupTygodnik | Masz pytania? Zadzwoń! 668 479 075

ODBIÓR PRZEZ PACZKOMAT® INPOST

InPost

- Prenumerata kwartalna: 189 zł
- Prenumerata półroczna: 366 zł
- Prenumerata roczna: 686 zł

Wszystkie numery z darmową dostawą do wybranego paczkomatu, **ZAWSZE W ŚRODĘ** – w dzień premiery. Dodatkowo dostęp online do całego Tygodnika za 1 zł na okres trwania prenumeraty. W prezencie książka **STANISŁAWA MANCEWICZA „KRONIKI DOBREJ ZMIANY”** – tylko do końca lipca.

dowiedz się więcej!
TygodnikPowszechny.pl/ofertaInPost

Ten sam Tygodnik – różne możliwości. Wybierz, jak Ci wygodniej.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOT: JACEK TARAN

Henryk Ross, *Ghetto resident being deported to the Chełmno death camp*, 1940-1944.
Dzięki uprzejmości Archive of Modern Conflict, 2007. © Art Gallery of Ontario. 2007/2063

REKLAMA

SYSTEM MODY

Ubrania w strategiach przemocy i taktykach przetrwania w getcie łódzkim

kuratorzy: Karolina Sulej, Paweł Michna

więcej o wystawie

Centralne Muzeum Włókiennictwa w Łodzi

www.cmwl.pl

WIARA

WIĘCEJ NIŻ WYNIK

MAŁGORZATA JACKO, PREZES PARAFIALNEGO KLUBU SPORTOWEGO JADWIGA W KRAKOWIE:

To nielogiczne, że każdy miałby być najlepszy, najszybszy, najskuteczniejszy. To postawienie świata na głowie. Ilu może być Lewandowskich?

MACIEJ MÜLLER: Czy da się ewangelizować podczas gry w piłkę?

MAŁGORZATA JACKO: Da się, ale nie wprost. Na boisku nie ma miejsca na kaznodziejstwo. Ksiądz Jan Bosco, założyciel zgromadzenia salezjanów, zauważył, że gra w piłkę odciąga od zła chłopaków, którymi opiekował się w parafii w Turynie. Lubił mawiać: „boisko żywe, diabeł martwy, boisko martwe, diabeł żywy". To byli chłopcy z ulicy, z biednych rodzin, którzy kradli i dokonywali innych przestępstw, żeby przeżyć. Nigdy by nie przyszli do kościoła, ale zagrać w piłkę – to co innego. Oczywiście samo boisko nie dokona cudów, potrzebna jest obecność dobrego wychowawcy. Ksiądz Bosco grał z nimi i przy tej okazji ich wychowywał. Sport był dla niego narzędziem.

Obóz piłkarski PKS Jadwiga w Kamienicy, 5 lipca 2025 r.

PKS JADWIGA

Jak to robił?

Na przykład podczas treningu kogoś zaczepiał i pytał, czy był do spowiedzi. I taki chłopak mógł pójść do konfesjonału po prostu z sympatii do księdza. Pedagogika księdza Bosco polegała na budowaniu dobrej relacji. Nie dasz rady nikogo wychować, ewangelizować, nawrócić, zmienić, jeżeli go nie poznasz i się z nim nie zaprzyjaźnisz.

Od trzydziestu lat pracuję na uczelni i zauważyłam, że nigdy nie miałam problemów w relacjach ze studentami. Bo ja ich po prostu z założenia lubię. A ostatnio byłam wychowawczynią na półkoloniach dla dzieci. Opiekowałam się grupą dwunastu chłopaków, którzy mieli etykietkę „niegrzecznych". I też nie miałam z nimi żadnego problemu. Wyczuli, że ich lubię, szanuję, nie oceniam. Siadaliśmy w kole i każdy opowiadał, jakie ma w domu zwierzątko, jakich lubi piłkarzy, kluby, kolory. Dzieci mają masę rzeczy do opowiedzenia. Poznajemy się, tworzy się zaufanie, powoli można wprowadzać wątki wychowawcze czy ewangelizacyjne.

A w klubie sportowym?

Często powtarzam trenerom, że muszą poznać dzieci, wiedzieć, jakie mają kłopoty, radości, jak jest u nich w domu. Dopiero wtedy będą mogli im towarzyszyć. W statucie mamy zapis, że jako cel stawiamy sobie wychowanie poprzez sport w duchu etyki katolickiej.

Co w praktyce z tego wynika?

Z założenia nadrzędnym celem nie jest wynik. We Włoszech w turniejach chłopców w ogóle nie ma miejsc: drużyny grają i nie wiedzą, kto wygrywa. Tymczasem w Polsce wszystko jest uzależnione od wyniku: dofinansowanie, prestiż, nagrody. Więc od szczebla podstawowego po kadrę narodową najważniejsze są tabele, wyniki, pozycje w ligach.

Czasem mojego podejścia nie rozumieją trenerzy: nieraz się złoszczą, że nie interesuje mnie specjalnie, jakie miejsce zajęły ich drużyny, że wygrały z Wisłą albo zremisowały z Cracovią. A ja uważam, że największym sukcesem jest to, kiedy nasi absolwenci idą na studia, zostają lekarzami, inżynierami, prawnikami i przez całe życie czerpią z tego, co tutaj otrzymali. Że pomogliśmy im w tym, by stali się ludźmi kompletnymi. Są i tacy, którzy rozpoczynają profesjonalną karierę sportową i grają w klubach w Polsce czy Holandii. Niemniej w klubie nie skupiamy się na zdobywaniu pucharów.

Jak dobiera Pani trenerów?

Żeby u nas pracować, nie wystarczy umieć korzystać z gwizdka. Najlepsi są studenci Akademii Kultury Fizycznej, którzy np. przeszli formację jakiejś grupy: oazy, wspólnoty lektorów, duszpasterstwa akademickiego, Odnowy w Duchu Świętym, Ruchu Focolari i innych. Trener musi interesować się nie tylko grą, ale przede wszystkim podopiecznymi. Niektórzy żyją życiem tych dzieciaków, wiedzą o nich wszystko; bywa, że dziecko mówi więcej trenerowi niż rodzicom. Oczywiście nie zawsze na treningach są warunki do dłuższych rozmów – od tego są wspólne wyjazdy, półkolonie, obozy.

Dzieci nie siedzą w smartfonach podczas takich wyjazdów?

Dzisiaj widzę sukces w tym, że ktoś odłoży na dwie godziny komórkę i przyjdzie pograć w piłkę. Ostatnio mieliśmy ósmoklasistę, który potrzebował zgromadzić jako wolontariusz dodatkowe punkty do rekrutacji do szkoły średniej. Pomagał podczas półkolonii. Jak każdy nastolatek miał różne problemy. I nagle musiał codziennie, od dziewiątej do szesnastej, bez dostępu do komórki, zajmować się dziećmi. To była terapia szokowa. Później pytał, czy może zostać na następny tydzień. Wyszedł ze swojej strefy komfortu i odkrył, że można żyć inaczej – w grupie, z innymi, dla innych, nawet jeśli to nie są rówieśnicy, tylko młodsze dzieci.

Często to tak wygląda, że rodzic zmusza dziecko: nie siedź przed ekranem, idź na trening. A ono potem odkrywa, że na boisku dzieje się coś ciekawego, jest grupa, jest życie, są emocje.

Dużo jest elementów religijnych podczas treningów?

Trzy razy w roku w kościele św. Jadwigi, w sali teatralnej, mamy spotkania: na rozpoczęcie, z okazji świętego Mikołaja i na zakończenie. Raz na miesiąc, jeśli to możliwe, jest msza święta. Przed grą robimy znak krzyża, na początku turnieju wspólnie się modlimy. Na półkoloniach wprowadziłam modlitwę przed jedzeniem. ↦

Trenerzy wiedzą, że muszą poruszać aspekty gry *fair play*, koleżeństwa, wzajemnej pomocy. W każdej drużynie jeden z zawodników zostaje nominowany do statuetki „Nasi Najlepsi", wręczanej na koniec roku. Nie chodzi o wyróżnienie najskuteczniejszych napastników czy obrońców, ale dzieci najbardziej koleżeńskich, sumiennych, zdyscyplinowanych. Starożytni Grecy mówili o kimś takim *kalos kagathos*: piękny i dobry – chodziło o połączenie w jednym człowieku ideałów piękna ciała, charakteru i ducha.

Jakie konkretne wartości wynikające z chrześcijaństwa można przekazać podczas gry w piłkę?

Wiadomo, że sport kształtuje charakter. Musisz wstać, przyjść, i to punktualnie, czy leje, czy wieje. Ale najważniejsza jest złota reguła: „nie rób drugiemu, co tobie niemiłe". Albo, mówiąc bardziej ewangelicznie: „czyńcie tak, jakbyście chcieli, żeby wam inni czynili". Złota reguła znajduje się właściwie w każdej religii, przyjmują ją także ludzie niewierzący. Na boisku ona oznacza: bądź dobry dla kolegi, solidarny wobec drużyny, graj uczciwie. Zasada *fair play* odnosi się zresztą do biblijnego nauczania o prawdzie i kłamstwie: nie mów fałszywego świadectwa. W sporcie zawodowym kłamstwo polega np. na stosowaniu dopingu.

A takie kwestie jak „faul taktyczny"?

W początkach działalności klubu przystąpiliśmy do rozgrywek organizowanych przez Małopolski Związek Piłki Nożnej.

ARCHIWUM PRYWATNE

DR MAŁGORZATA JACKO jest prezesem Parafialnego Klubu Sportowego Jadwiga w Krakowie. Wykłada na Akademii Kultury Fizycznej, zajmuje się m.in. historią katolickich stowarzyszeń sportowych. Klub powstał w 1992 r. z inicjatywy księży Antoniego Bednarza i Jana Dziaska (proboszcza), ze wsparciem m.in. bp. Tadeusza Pieronka. Duchowni wzorowali się na włoskiej organizacji sportowej Centro Sportivo Italiano, tworzącej ośrodki sportowe przy parafiach.

Powtarzałam trenerom: grajcie *fair*, żadnych faulów. Tymczasem jeden z piłkarzy drużyny przeciwnej zrobił naszemu bramkarzowi „nakładkę" i złamał mu nogę – była czerwona kartka, przyjechała karetka, dramat. Chłopaki przeżyli szok, że tak w ogóle można postąpić podczas gry. Potem trener powiedział mi: słuchaj, ja nie mogę tak dalej prowadzić drużyny. Muszę z nimi ćwiczyć tak, żeby potrafili się obronić. Tak więc dzieci podczas treningów są przygotowywane na to, że po drugiej stronie walka może być nie *fair*; są gotowe na ostrą grę kontaktową. Niemniej w naszym programie wychowawczym nie mieści się uczenie nieczystej gry i nie ćwiczy się faulów taktycznych.

Kolejna ważna rzecz, na którą zwracamy uwagę w klubie, to kultura przegranej. Żeby nie było przekonania, że jedynie ten, kto wygrywa, kto zbiera w sporcie medale, a w szkole szóstki, jest „kimś".

Tylko że św. Paweł pisze w słynnym fragmencie Listu do Koryntian: „Czyż nie wiecie, że zawodnicy na stadionie wszyscy biegną, a tylko jeden zdobywa nagrodę? Tak biegnijcie, abyście ją zdobyli".

Tak, ale istotne jest, za co się dostaje tę nagrodę. Może ona czeka nie tylko na tego pierwszego, ale na wszystkich, którzy ukończą bieg? W innym miejscu św. Paweł pisze: „bieg ukończyłem, wiary ustrzegłem". Ukończyłem – czyli starałem się, nie byłem bierny, poczyniłem wysiłek. Wracając do kultury przegranej, brakuje refleksji pedagogicznej na ten temat. A to przecież takie ważne, bo w wielu sytuacjach w życiu ktoś przegrywa. Tak jest w sporcie: choć np. sędziując podczas półkolonii, starałam się kończyć mecze na remisach, żeby pokazać dzieciom, że najważniejsza jest frajda z gry, a nie zwycięstwo.

Ale to wyjątek. Pytanie więc brzmi: czy jeśli przegrasz, potrafisz przekuć to na pozytyw? Zastanowić się, dlaczego doszło do przegranej, wziąć za to odpowiedzialność? Kiedy Iga Świątek przegra, nie zrzuca winy na wrzaski kibiców albo

Papież, siłownia i Trójca Święta

„JEGO CIAŁO ma doskonały stosunek masy mięśniowej, kostnej i tłuszczowej" – tak scharakteryzował Leona XIV Valerio Masella, 26-letni trener z siłowni znajdującej się w pobliżu Watykanu. Przyszły papież ćwiczył w niej nawet kilka razy w tygodniu, od kiedy zamieszkał w Watykanie w 2023 r. – pod kierunkiem Maselli. Przychodził po cywilnemu, jako „Robert", pracownicy ośrodka sądzili, że jest wykładowcą akademickim. Dopiero kiedy ich klient wyszedł na balkon bazyliki św. Piotra w białych szatach, zorientowali się, kto u nich tak dbał o tężyznę fizyczną. Masella zdradził, że plan treningów Roberta Prevosta „bardziej pasował do mężczyzn w wieku 50-55 lat" (papież ma obecnie 69), skupiał się na układzie krążenia i postawie.

Papież jest wielbicielem sportu, nie tylko go ogląda, ale i uprawia; w maju głośno było o jego spotkaniu z czołowym tenisistą Jannikiem Sinnerem. W połowie czerwca poprowadził w Watykanie Jubileusz Sportu (uczestniczyli w nim członkowie PKS Jadwiga z Krakowa). W homilii Leon XIV powiedział, że skojarzenie Trójcy Świętej i sportu nie jest oczywiste, ale „nie jest też nie na miejscu. Każda dobra działalność człowieka niesie bowiem w sobie odzwierciedlenie piękna Boga, a sport z pewnością należy do takich działań. Bóg nie jest statyczny, jest komunią, żywą relacją pomiędzy Ojcem, Synem i Duchem Świętym, która otwiera się na ludzkość i świat. Teologia nazywa tę rzeczywistość perychorezą, czyli »tańcem«: tańcem wzajemnej miłości". Według papieża w społeczeństwie naznaczonym samotnością, indywidualizmem i lekceważeniem drugiego człowieka sport „uczy wartości współpracy, podążania razem, dzielenia się, które leży w samym centrum życia Boga".

©℗ MAM

dziennikarzy, którzy oślepiali zawodników błyskami fleszy, tylko uznaje wyższość przeciwniczki. Przyjmuje, że to nie był jej dzień. To jedna strona medalu, druga to: jak zachować się wobec przeciwnika, który przegrał.

Jak?

Nie szydzić z niego, tylko potraktować z szacunkiem. Nasza klubowa drużyna grała kiedyś z młodzieżą ze Szwajcarii, która przygotowywała się w Polsce do bierzmowania. To byli amatorzy i „nasi" łatwo zwyciężyli – i jakże byli zdziwieni, kiedy Szwajcarzy dziękowali im za grę i obdarowali wielkimi czekoladami. Tłumaczyłam: widzicie, dla nich najważniejsze było spotkanie z wami, wspólna gra, dobra zabawa.

Następnego dnia grali mecz z pewną dość słabą drużyną, więc pociągnęłam temat: pewnie jutro wygracie. Pomyślcie wtedy, jak czują się ci, którzy przegrywają, jak chcieliby być potraktowani przez zwycięską drużynę. Czy fajniej jest wyśmiać przeciwnika, czy go obdarować, tak jak to zrobili Szwajcarzy? Proszę sobie wyobrazić, że oni wygrali i rozdali tamtym zawodnikom te szwajcarskie czekolady.

Było zaskoczenie?

Tak. Ale było dlatego, że w naszej kulturze kto przegrywa, ten jest nieudacznikiem, nikim. Przegrywem. Warto pracować nad zmianą tego podejścia. Tak, żeby porażka nie zniechęcała do dalszych starań, do pracy nad sobą.

Poza tym to nielogiczne, że każdy miałby być najlepszy, najszybszy, najskuteczniejszy. To postawienie świata na głowie. Ilu może być Lewandowskich? Nie jesteśmy sportową potęgą, niewielu mamy topowych sportowców – może także dlatego, że brakuje „kultury przegranej" i wielu dobrych zawodników po drodze się wykruszyło?

Nie warto myśleć o sporcie w kategoriach wyłącznie zawodowych. Dlatego uważam, że dofinansowanie powinno być przede wszystkim nie dla zespołu odnoszącego zwycięstwa, ale po prostu dla grupy dzieciaków grających w piłkę. Nie jest ważne, czy trening poszedł „dobrze", czy byłeś przy piłce 50 razy i strzeliłeś dziesięć bramek. Ważne, czy była zabawa. Sport ma przynosić radość.

©℗ Rozmawiał MACIEJ MÜLLER

Niewidzialna krzywda

MONIKA BIAŁKOWSKA

ZAKONNICE | Wciąż boją się przyznać do tego, że zostały skrzywdzone. Przemoc seksualna wobec sióstr zakonnych nadal jest tematem tabu w polskim Kościele.

Milczące niegdyś w świecie siostry powoli odzyskują głos. W 1998 r. w USA jedna trzecia badanych zakonnic przyznała, że doświadczyła molestowania seksualnego. Sprawcami w połowie byli księża, w jednej czwartej inne siostry. W Polsce takich badań nigdy nie przeprowadzono. Wprawdzie s. Jolanta Olech sześć lat temu publicznie przyznała, że problem molestowania seksualnego sióstr istnieje również w naszym kraju, ale kiedy z Watykanu na cały świat rozesłano ankietę na ten temat, do Polski kwestionariusz nie dotarł – zaginął w tajemniczych okolicznościach...

Nie zdarza się u nas, jak na Filipinach, że współsiostry w obronie skrzywdzonej protestują, siadając pod kurią biskupią. Nie dotarły do Polski najmniejsze nawet odpryski #NunsToo, inicjatywy, która od 2019 r., na wzór #MeToo, ujawniała przemoc seksualną wobec sióstr zakonnych. Kampania ta miała na celu nie tylko wskazanie sprawców, ale i ujawnienie mechanizmów ich ukrywania i tuszowania przestępstw. Ujawniające przemoc siostry i byłe zakonnice mówiły o trudnościach, jakich doświadczały, próbując dochodzić sprawiedliwości: o ciążach po gwałcie, zmuszaniu do aborcji, o tym, że to one jako ofiary były „za karę" wydalane z zakonów.

Co ujawniły badania

Od lat w świecie prowadzone są badania poświęcone przemocy wobec kobiet żyjących w zakonach. Autorką jednego z nich jest s. Mary Makamatine Lembo ze Zgromadzenia Sióstr św. Katarzyny Aleksandryjskiej z Togo. Lembo jest psychologiem i psychoterapeutką, wykładowczynią Papieskiego Uniwersytetu Gregoriańskiego. W 2019 r. obroniła pracę doktorską, dotyczącą wykorzystywania zakonnic przez księży w Afryce Subsaharyjskiej. W roku 2022 wydała z kolei książkę „Nuns Abused in Africa: Telling the Truth", w której opisuje zmowę milczenia otaczającą gwałty. Jedna i druga praca zostały oparte na badaniu dotyczącym wykorzystywania sióstr zakonnych w latach 2014-2019. Celem Lembo było zrozumienie, jak i dlaczego dochodzi do takich sytuacji.

Badania pokazały, że istnieją czynniki, które zwiększają podatność sióstr na wykorzystanie. Jednym z nich jest fakt, że znajduje się ona z różnych powodów w sytuacji, w której nie może liczyć na niczyją pomoc. Czasem dochodzi do głosu naiwność lub niedoświadczenie kobiety, która, nie mając wcześniej bliskich relacji, nie rozpoznaje, że ktoś zaczyna przekraczać jej granice. Widząc niebezpieczne zachowania, próbuje je uzasadniać np. bliskością lub przyjaźnią. Siostry przyjmują również komplementy czy prezenty, nieświadome, że w ten sposób przyszły oprawca przejmuje nad nimi kontrolę. Nie są w stanie szybko i adekwatnie reagować na przekraczanie ich granic. Są zdezorientowane.

Innym problemem są trudności w ujawnianiu nadużyć: seksualność jest w zakonach tematem tabu, co sprawia, że skrzywdzone nie szukają pomocy dla siebie, a przy okazji nie przerywają krzywdzenia przez sprawcę kolejnych kobiet.

W Afryce przemoc wobec sióstr przybiera różną postać. Badane przez Lembo kobiety mówiły o przemocy fizycznej, w tym o biciu, o nadużyciach władzy czy zaufania, przemocy seksualnej i gwałtach. Skrzywdzone były pozbawione wsparcia finansowego, miały jednocześnie poczucie winy i czuły wstyd: uważały, że z powodu tego, co się wydarzyło, są niegodne, by nadal być zakonnicami. Obawiały się oceny ↦

↦ ze strony innych sióstr, więc milczały – jednocześnie bojąc się o swoje współsiostry i ich bezpieczeństwo.

Jednym z poważnych skutków takiej krzywdy jest zmiana obrazu Boga. Zdaje się On znikać w życiu skrzywdzonej zakonnicy albo staje się daleki – siostry kwestionują własną wiarę, tracą wewnętrzną radość, rezygnują z Eucharystii, odchodzą ze zgromadzeń.

Sposoby osaczania

Lembo przeprowadziła również analizę taktyki duchownych w uwodzeniu zależnych od nich kobiet (nie tylko zakonnic). Pierwszym krokiem jest uśpienie czujności. Sprawca poznaje otoczenie, zaprzyjaźnia się ze wspólnotą lub środowiskiem, często odwiedza przyszłą ofiarę w neutralnych okolicznościach. Jawi się jako dobry człowiek, który nikogo w grupie specjalnie nie wyróżnia, dla wszystkich jest serdeczny i ciepły.

Drugim etapem jest izolacja ofiary w celu jej kontrolowania. Pojawia się dążenie do uzyskania wyłączności w relacji. Duchowny zaczyna odwiedzać jedną tylko siostrę, podróżuje z nią i pełni rolę jej opiekuna. Monitoruje jej relacje z innymi ludźmi, stopniowo ukazując siebie jako wyjątkowego, szczególnego w tym gronie. Sam tworzy coraz więcej okazji do przebywania ze swoją ofiarą.

Kolejnym krokiem jest budowanie zależności ofiary. Dając jej do zrozumienia, że jest kimś wyjątkowym, sprawca sprawia, że czuje się w jego obecności bezpiecznie. Kobiety słyszą więc, że są „ukochanymi córkami" swoich oprawców, przyjmują dziesiątki komplementów w pracy, obdarzane są niezwykłą uwagą, tak że pragną jej więcej. Jednocześnie na tym etapie zostają związane zależnością finansową: przyszły oprawca daje im pieniądze, kupuje prezenty.

Dopiero po takim uwiązaniu emocjonalnym dochodzi do wykorzystania seksualnego. Czasem dotyczy to tylko jednej siostry, czasem całej grupy. Duchowni mogą sprawiać wrażenie, że są naprawdę zakochani i że to motywuje ich do składania propozycji seksualnych. Inni udają chorobę, żeby prosić o odwiedziny. Jednocześnie w zgromadzeniu są szanowani i uważani za dobroczyńców.

Gdy duchowość czyni bezbronnym

Badania prowadzone w Afryce łatwo jest w europejskim świecie zignorować, przekonując, że żyjemy w innym kontekście kulturowym. Jednak i w Europie problemy okazują się podobne. W Niemczech badania na ten temat prowadzi m.in. Barbara Haslbeck z Uniwersytetu w Ratyzbonie. Jej celem jest poznanie warunków umożliwiających nadużycia i opisanie ofiar. Okazuje się, że podatność sióstr zakonnych na wykorzystanie nie jest w Niemczech mniejsza niż w Afryce Subsaharyjskiej.

Jedna z badanych przez Haslbeck mówi: „Socjalizacja w świecie, który ma tendencję do patriarchalnego seksizmu, gdzie kobiety są mniej warte niż mężczyźni i gdzie po prostu nauczyłam się milczeć i podporządkowywać się, zdecydowanie przyczyniła się do mojego wejścia w społeczność zakonną. Wyrastałam w ideale bezinteresowności i postrzegałam go jako dobry, atrakcyjny i pociągający. To zdecydowanie przyczyniło się do tego, że czułam, iż muszę milczeć, jeśli chodzi o te napaści seksualne... I że nie ma innego rozwiązania. I że to, czego chcę, i tak się nie liczy".

Haslbeck wymienia czynniki, które przyczyniają się do tego, że siostry zakonne stają się łatwym celem. Pierwszym i najważniejszym z nich jest przywiązanie emocjonalne i pozytywne uczucia

do sprawców, opisane wcześniej przez Lembo. Za problematyczne jednak uznaje Haslbeck to, co zasadniczo jest wartością w życiu zakonnym – a jednocześnie wystawia siostry na zagrożenie. To ideał poświęcenia się, składania ofiary ze swojego życia, zaufanie wobec osób duchownych, czystość seksualna wiążąca się z brakiem doświadczenia, wreszcie ideał posłuszeństwa, wykorzystywany łatwo przez sprawców. Jakkolwiek brutalnie to zabrzmi, Haslbeck dochodzi do wniosku, że to właśnie głęboka duchowość osłabia kobiety w zakonach i czyni z nich łatwe łupy.

Władza deprawuje

Sprawcami przemocy wobec sióstr zakonnych nie są ludzie przypadkowi. Badania pokazują, że są to zwykle kierownicy duchowi, przełożone nowicjatu, rekolekcjoniści, spowiednicy, współsiostry z autorytetem. Cechą wyróżniającą taką

OGŁOSZENIA

W Sądzie Rejonowym dla m. st. Warszawy w Warszawie, I Wydział Cywilny pod sygnaturą akt I Ns j 1039/22 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Zbigniewie Kowaliku, zmarłym w dniu 10.06.2019 r. w Ciechanowie, nieznane ostatnie miejsce pobytu.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy od daty ogłoszenia zgłosili się i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

W Sądzie Rejonowym dla miasta stołecznego Warszawy w Warszawie pod sygnaturą II Ns 1173/23 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Władysławie Sikorze, synu Józefa i Józefy, urodzonego w dniu 31 marca 1888 r. w Warszawie, zmarłego w dniu 12 grudnia 1963 r. w Warszawie, którego ostatnie miejsce zwykłego pobytu znajdowało się w Warszawie.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy w ciągu trzech miesięcy od dnia ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

ANTOINE MEKARY / ADOBE STOCK

przemoc – łączącą #MeToo z #NunsToo – jest bowiem władza. Ten, kto jest silniejszy, sięga po ciało i duszę słabszego, a słabszy nie czuje, że ma prawo czy obowiązek odmówić. W kontekście kościelnym dochodzi do tego element szczególnego otwarcia się i zaufania. Sprawca ma możliwość swobodnego testowania granic przyszłej ofiary w trakcie spowiedzi czy kierownictwa duchowego. Ma również możliwość wpływania na jej decyzje z rangą boskiego wręcz autorytetu. „Miał do mnie klucz, do mojej duszy. Znał moje doświadczenia z przemocą w rodzinie w najdrobniejszych szczegółach" – mówi jedna z uczestniczek badań Haslbeck.

Jedna z najbardziej wstrząsających części raportu z badań Barbary Haslbeck poświęcona jest manipulacji duchowej, zwykle związanej z wykorzystaniem seksualnym. Sprawcy przedstawiają akt seksualny z ofiarą jako znak miłości Boga. Tłumaczą, że ich działanie w istocie rzeczy jest terapią. Jedna ze skrzywdzonych wyjaśnia: „Powiedział, że Bóg chce dać mi przez to szczególną łaskę. Bóg chce mi pomóc. Że chce mnie uzdrowić. A uzdrowienia można dokonać tylko miłością".

Współżycie może być przedstawiane jako sposób na uleczenie traum z dzieciństwa. Czasem jest wymagane od siostry w imię Chrystusa: skoro duchowny działa *in persona Christi*, to nie można mu niczego odmówić. „Jeśli nie chciałam się temu poddać, powiedział: »Jezus mówił: Kto was słucha, Mnie słucha«. Twierdził, że przez niego mówi Jezus i że nie potrafię uznać władzy Jezusa, że jestem nieposłuszna" – mówi jedna z badanych przez Haslbeck. Sprawcy są więc świadomi swojej władzy i wykorzystują ją bez wahania. Ofiary chcą tylko żyć jak najlepiej swoim powołaniem.

Zgubne śluby

Wierność powołaniu i ślubom może być zgubna, gdy to właśnie śluby okazują się mechanizmem władzy. Na ślub posłuszeństwa powołują się oprawcy. Ślubem posłuszeństwa zmusza się siostry do milczenia o krzywdach. Ślub ten sprawia, że siostra idzie pracować czy wyjeżdża tam, gdzie jej każą, często nie mając możliwości czy odwagi odmowy, bo właśnie o nią prosi misjonarz na dalekiej placówce, gdzie będzie zdana wyłącznie na jego łaskę.

Siostry z Afryki zwracają też uwagę na ślub ubóstwa. Kobiety, które oddają całe swoje wynagrodzenie wspólnocie, bywają pozostawiane bez środków do życia na odległych placówkach. Pracują za darmo, nie mają ubezpieczenia ani emerytury. To, co miało być symbolem solidarności z ubogimi, stało się narzędziem ich kontroli. Siostry opowiadają o odmowie wypłaty wynagrodzeń, czasem przez całe lata, o biedzie sprawiającej, że chodzą głodne, o konieczności utrzymania się za trzy euro miesięcznie, a nawet o klasztornych funduszach sprzeniewierzonych przez biskupa. Nie mają się jak bronić, nie mają głosu: mają być posłuszne i ubogie. Dziś zaczynają pytać, na czym ma polegać prawdziwe posłuszeństwo i ubóstwo, które nie będą kontrolą i władzą.

Zwyrodniały system

Siostry zaczynają również pytać o struktury. Dostrzegają, że to właśnie zgromadzenie, zamiast miejscem ochrony, staje się narzędziem przemocy. Zamiast ocalać, formuje przyszłe ofiary w imię poddania się „woli Bożej", przez każdego używanej do własnych celów. To w zakonie odbijają się od ściany, próbując zgłosić przemoc.

Zaczynają pytać o spowiedników, którzy wciąż w skrzywdzonych budują poczucie winy. Pytają o publiczne zakonne „spowiedzi", czyli wyznawanie drobnych grzeszków i słabości, publiczne upokarzanie się za przypadkowe potrącenie kogoś łokciem – które niszczą poczucie własnej wartości i wystawiają kobiety na łatwy cel „opiekuna".

Zaczynają pytać o system, w którym chroniona jest nie ofiara, ale sprawca: wszystko w imię ocalenia dobrego imienia zgromadzenia i Kościoła.

Jedna z ofiar księdza, siostra Sophia, mówi: „Potrzebujemy ludzi, którzy nie reagują podejrzliwością, ale prawdą: »To, co ci się przydarzyło, było złe«. Uzdrowienie potrzebuje tego rodzaju rezonansu. Jest niemożliwe w izolacji. Kiedy jestem sama, trudno jest wierzyć w Boga, którego obraz został wypaczony przez przemoc. Kiedy Bóg ma twarz krzywdziciela, jest nieobecny – a nawet martwy. A jednak moja relacja z Bogiem jest podstawą mojego życia. Bez niej tracę poczucie sensu. Kiedy moja historia jest podawana w wątpliwość lub odrzucana, czuję się tak, jakby Bóg został mi odebrany. »I nie wiem, gdzie Go położyli«".

To, z czym powoli zaczynamy sobie radzić w przypadku nieletnich ofiar przemocy, pozostaje wielkim i otwartym pytaniem w przypadku dorosłych. Poszerzenie definicji „bezbronnych dorosłych", definicja i opracowanie schematów wykrywania przemocy duchowej, rewizja formacji seminaryjnej i zakonnej, nowe spojrzenie na śluby zakonne, wrażliwość na świadectwo – to wszystko są zadania, które są jeszcze przed nami. Walka o Kościół stojący w prawdzie wciąż trwa.

© MONIKA BIAŁKOWSKA

DIRCK HALSTEAD / GETTY IMAGES

Papież i jego dyplomaci podczas wizyty w Stanach Zjednoczonych. Od lewej: kard. Agostino Casaroli, sekretarz stanu, Jan Paweł II, abp John R. Quinn, biskup San Francisco, abp Pio Laghi, nuncjusz apostolski w USA, i abp Eduardo Martínez Somalo, substytut ds. generalnych Sekretariatu Stanu. Kalifornia, 1987 r.

Watykan śni o Helsinkach

MASSIMO FAGGIOLI Z FILADELFII

DYPLOMACJA | Uchodzi za największe osiągnięcie papieskiej dyplomacji. Była emanacją polityki wschodniej Stolicy Apostolskiej. I choć minęło pół wieku, jej duch wciąż krąży po Watykanie.

Świętowanie tej rocznicy budzi dziś niechęć, a nawet zażenowanie. Zawarte 50 lat temu w Helsinkach, podczas Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie (KBWE) porozumienie dawno już straciło na znaczeniu. W zapisy o nienaruszalności granic, nieużywaniu siły, poszanowaniu praw i wolności człowieka, jak również prawa do samostanowienia narodów mało kto dziś wierzy. Opinia publiczna w krajach zachodnich poznała też narrację, której długo nie była świadoma: że dla mieszkańców Europy Środkowej i Wschodniej porozumienia helsińskie od początku były fikcją, polityczną grą komunistów, czy wręcz pułapką, zastawioną przez Związek Radziecki na Zachód.

Trudno jednak zaprzeczyć, że podpisanie 1 sierpnia 1975 r. przez 35 państw, w tym Stany Zjednoczone i ZSRR, porozumień helsińskich było ważnym momentem w historii dyplomacji – jednym z najważniejszych od początku „zimnej wojny". Jak również, że szczególną rolę odegrał w tym procesie Watykan.

Watykan dla odprężenia

W pierwszych miesiącach po rosyjskiej inwazji na Ukrainę papież Franciszek wielokrotnie odwoływał się do „ducha Helsinek". Z czasem ta inwokacja ustąpiła miejsca innym (żadna zresztą nie pomogła jego inicjatywom mediacji pomiędzy Rosją a Ukrainą), ale interesujące jest, że nawiązywał – on sam, a sporadycznie także jego dyplomacja – do wydarzeń sprzed pół wieku.

Prawdopodobnie dlatego, że konferencja helsińska była pierwszym – przynajmniej od czasu Kongresu Wiedeńskiego – tak ważnym spotkaniem, w którym delegacja Stolicy Apostolskiej uczestniczyła na pełnych prawach. A które odegrało ważną rolę w strategii odprężenia i złagodzenia narastających od końca lat 60. napięć między dwoma wrogimi blokami (ale także, podobnie jak kończący wojny napoleońskie kongres, było wyrazem walki mocarstw o europejską przestrzeń geopolityczną).

Retoryczne apele o „ducha Helsinek" odzwierciedlają zatem fakt, że Stolica Apostolska wciąż jest zadłużona wobec swojej *Ostpolitik* sprzed lat. Sięgającej dalej niż sama historia KBWE.

Od Jana i Pawła do Jana Pawła

Po długim pontyfikacie Piusa XII (1939-1958), a zwłaszcza jego schyłkowej fazie, która zbiegła się z okresem definio-

wanym zwykle jako „powojenny", nadeszły lata sześćdziesiąte – a wraz z nimi nowe otwarcie w polityce międzynarodowej Stolicy Apostolskiej. Jan XXIII (1958-1963) i zwołany przez niego Sobór Watykański II sprawili, że Kościół katolicki został uznany za stały punkt bloku zachodniego. Watykańska polityka wschodnia przestała koncentrować się tylko na tym, czy możliwa jest interwencja Kościoła na rzecz katolików żyjących pod komunistycznymi reżimami. Zaczęła interesować się także wspieraniem i ułatwianiem dialogu pomiędzy Wschodem a Zachodem podzielonego świata.

Paralela między dwiema „politykami wschodnimi" – Watykanu i Niemiec – widoczna była nie tylko w terminologii (*Ostpolitik*). Także w tym, że obie osiągnięte zostały za cenę ostrych starć i nieporozumień, najpierw po stronie dyplomacji niemieckiej, potem Stolicy Apostolskiej. Kontrowersji związanych z polityką kard. Agostina Casarolego było wiele, jedną z najpoważniejszych był spór o uznanie nowej granicy polsko-niemieckiej na Odrze i Nysie. Kontrast pomiędzy stanowiskiem Stolicy Apostolskiej a polityką episkopatu Polski w kwestii relacji z reżimem komunistycznym był widoczny gołym okiem i naznaczył historię dyplomacji watykańskiej na dwie kolejne dekady.

Cierpliwa dyplomacja za pontyfikatu Pawła VI (1963-1978), naznaczona cichym męczeństwem kilku pokoleń chrześcijan za żelazną kurtyną z jednej, a oportunizmem reżimów komunistycznych z drugiej strony, przyczyniła się do uznania Stolicy Apostolskiej za podmiot, któremu warto powierzyć odpowiedzialność za niektóre etapy procesu odprężenia w Europie. Koniec tego okresu zbiegł się z rozpoczęciem nowego etapu w relacjach między polityką a religią na arenie światowej. Kluczowym punktem był wybór na Stolicę Piotrową Jana Pawła II (1978-2005). Można powiedzieć, że był to koniec klasycznego okresu watykańskiej *Ostpolitik*, ale również zmierzch polityki praw człowieka w Stanach Zjednoczonych, której był wierny Jimmy Carter, ewangelik – jej miejsce zajęła antykomunistyczna polityka Ronalda Reagana, prężąca muskuły tak w stronę Europy, jak i Ameryki Łacińskiej.

Duchowość geograficzna

Wszystko to oznaczało zmianę kursu Stolicy Apostolskiej w polityce międzynarodowej, a więc i wschodniej, choć oczywiście nie jej koniec. Zręczność Casarolego okazała się bardzo przydatna dla Jana Pawła II z jego „duchowością geograficzną" i wynikającą z niej międzynarodową aktywnością. Przysłużyła się też watykańskiej geopolityce otwarcia na świat, oczywiście silnie skojarzonej w tym, co się wiązało z odczytaniem sytuacji globalnej i jej kierunków, z polskim pochodzeniem papieża i jego najbliższego otoczenia.

Zbieżność poglądów Jana Pawła II i administracji amerykańskiej z lat 80. na relacje z Europą Wschodnią widoczna była gołym okiem, ale jednak nie przeszkodziła papiestwu w podejmowaniu inicjatyw – choćby takich, jak międzyreligijne spotkanie w Asyżu w 1986 r. i w kolejnych latach – które uzupełniały szeroko zakrojony projekt watykańskiej wizji świata posoborowego.

Przełom lat 1989-1991 nie był więc dla watykańskiej dyplomacji niespodzianką i zaskoczeniem. Polityka międzynarodowa Stolicy Apostolskiej była w tym okresie dużo mniej triumfalistyczna niż zachowania innych państw, świętujących kres sowieckiego komunizmu.

Bratobójcze wojny w Europie i Afryce lat 90., następnie 11 września 2001 r., a potem inwazja na Afganistan i Irak, kazały światu ponownie skierować oczy na Watykan, niesprzymierzony z mocarstwami zachodnimi, a nawet często im się sprzeciwiający. W lipcu 2004 r. Stolica Apostolska uzyskała, w jednomyślnym głosowaniu Zgromadzenia Ogólnego ONZ, rozszerzenie uprawnień w ramach tej organizacji, stając się jej członkiem (od 1964 r. Watykan był w niej stałym obserwatorem).

Opcja Benedykta

Już pierwsze decyzje Benedykta XVI (2005-2013) – jak choćby mianowanie sekretarzem stanu kard. Tarcisia Bertonego, teologa i kanonisty, w miejsce zawodowego dyplomaty, kard. Angela Sodana – wskazywały, że dotychczasowa aktywność polityczna Watykanu przechodzi do historii. Podobnie jak dotychczasowa wizja polityki międzynarodowej i rola, jaką może w niej odgrywać Stolica Apostolska. Niemiecki papież przyznawał prymat duchowej działalności Kościoła, kosztem jego obecności dyplomatycznej w klasycznym rozumieniu.

Usunięcie się ze świateł reflektorów i zaprzestanie medialnego eksponowania ↦

Dlaczego komuniści podpisali porozumienia helsińskie?

KONFERENCJA Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie (KBWE) była próbą unormowania zimnowojennych relacji na kontynencie przedzielonym „żelazną kurtyną". W rozmowach, toczonych od 1973 r. w Genewie i Helsinkach, uczestniczyły 33 państwa europejskie (w tym ZSRR) oraz USA i Kanada. Porozumienie końcowe podpisano w stolicy Finlandii 1 sierpnia 1975 r. Znalazły się w nim zapisy o integralności terytorialnej państw, pokojowym rozstrzyganiu sporów i poszanowaniu praw człowieka. Podpisanie aktu przez Związek Radziecki i państwa satelickie uznano na Zachodzie za krok w demokratyzacji tych krajów, podczas gdy było to działanie czysto propagandowy: państwa komunistyczne mogły poprawić swój wizerunek jako obrońcy pokoju, odpowiedniego partnera do dialogu międzynarodowego i współpracy gospodarczej. Jednocześnie zyskały uznanie dla ustalonych po wojnie granic, dzielących Europę na dwa bloki.

W ROZMOWACH od początku brał udział także Watykan, który zaangażował się w prace nad tzw. trzecim koszykiem, poświęconym prawom człowieka i wolnościom obywatelskim. Dzięki jego zaangażowaniu do Aktu końcowego włączone zostały zapisy gwarantujące swobodę wyznania, wzmocniony też został moralny wymiar porozumienia. Stolicę Apostolską reprezentował abp Agostino Casaroli, sekretarz Rady do Spraw Publicznych Kościoła (późniejszy kardynał i sekretarz stanu).

ZWIĄZEK RADZIECKI i państwa satelickie od początku lekceważyły zapisy „trzeciego koszyka", mimo to zawarte w porozumieniach gwarancje wolności obywatelskich stały się bodźcem do powstania na ich terenie pierwszych zorganizowanych ruchów opozycyjnych w drugiej połowie lat 70. XX w. (m.in. Komitetu Obrony Robotników w Polsce czy Karty 77 w Czechosłowacji). Na zapisy aktu końcowego KBWE powoływano się m.in. w procesach politycznych, choć w praktyce ten argument okazywał bezskuteczny.

©℗ EA

↦ pontyfikatu pociągnęło za sobą wyrzeczenie się znanej wszystkim roli politycznej, na rzecz pracy długoterminowej. Świadczy o tym choćby niepewna pozycja Stolicy Apostolskiej w pierwszych dniach wojny między Izraelem a Libanem w lipcu 2006 r., a także milczenie wobec ważnych i ryzykownych wysiłków, jakie w sierpniu 2006 r. podejmowała Unia Europejska w celu utworzenia sił pokojowych w Libanie. Nie wspominając już o niezdolności Watykanu do zabrania głosu na temat roli religii na arenie międzynarodowej w latach wojen w Iraku i Afganistanie.

Rewolucja Franciszka

Kolejny zwrot – dla globalnego katolicyzmu wręcz rewolucyjny – rozpoczął się w 2013 r. wraz z wyborem papieża dalekiego od śródziemnomorsko-europejskiego kontekstu, w dodatku polemicznego wobec najważniejszych aspektów zachodniego dziedzictwa (kolonialnego, kapitalistycznego, geopolitycznego i wojskowego). Pontyfikat Franciszka (2013-2025) wniósł eklezjalną dynamikę, która różniła się od poprzednich, zwłaszcza pod względem oddalania się od systemu instytucjonalnego i elit intelektualnych. Był krytyczną odpowiedzią na globalizację, oferując antyintegrystyczny i antyfundamentalistyczny przekaz ekonomiczny i kulturowy. Ale był on również całkowicie antyliberalny, przeciwstawiając się systemom władzy i ideologii globalnej Północy – zwłaszcza świata anglo-amerykańskiego, ale też Europy Zachodniej.

Niekwestionowana do końca XX w. globalizacja znalazła się w kryzysie na początku kolejnego stulecia: kryzys ten został następnie zaostrzony przez liczne pęknięcia w politykach wewnętrznych wielu państw (2014-2016), globalną pandemię (2020-2022) czy wreszcie rosyjską inwazję na Ukrainę i kryzys konstytucyjny w Izraelu, związany z zagrożeniem bezpieczeństwa państwa.

Reakcja Watykanu na wojnę w Ukrainie – choć podobnie jak Franciszek zareagowało wiele grup europejskich i światowych katolików – uwypukliła ryzyko, że wyzwoleńczej (antyimperialistycznej, antykolonialnej) wizji historii towarzyszyć będą również reakcje antyamerykańskie, podejmowane w sojuszu z krajami rządzonymi przez populistyczne kręgi polityczne. Brak jasności w polityce wschodniej Watykanu (wobec Europy Wschodniej i putinowskiej Rosji) oraz konieczność porozumienia z Chinami to najważniejsza część spuścizny, jaką Franciszek pozostawił w spadku swojemu następcy.

Równowaga Leona

Leon XIV jest wciąż pod wieloma względami niewiadomą. Zarówno jeśli chodzi o jego spojrzenie na kwestie doktrynalne i kościelne, jak i podejście do polityki międzynarodowej i dyplomacji. Wiadomo, że podczas konklawe kard. Robert Prevost wygrał z sekretarzem stanu, kard. Pietro Parolinem, wybitnym dyplomatą, kontynuatorem szkoły, która ma w swych szeregach kluczowe postacie dla historii współczesnego Kościoła, jak kardynałowie Pietro Gasparri, Domenico Tardini, Agostino Casaroli czy Achille Silvestrini.

Urodzony w USA papież jest szczególnym wyzwaniem dla polityki międzynarodowej Stolicy Apostolskiej, zwłaszcza w dzisiejszym, neoimperialnym świecie, w obliczu wzrostu potęgi Chin i Indii, gdzie papiestwo wciąż jest postrzegane z perspektywy postkolonialnej, a nawet jako wyraziciel interesów obcego mocarstwa.

Wiele jest też niewiadomych co do relacji papieża z Donaldem Trumpem i Stanami Zjednoczonymi, choć naiwnością byłoby oczekiwać, że pontyfikat Leona XIV stanie się polityczną opozycją do trumpizmu. Naiwnością byłoby też myśleć, że ewentualne publiczne stanowisko Leona XIV wobec wydarzeń w Ameryce nie wpłynie na jego wiarygodność jako lidera światowego Kościoła katolickiego. Katolicy w Stanach Zjednoczonych znajdują się w centralnym miejscu inwolucji (a może i rewolucji) tego, co rozumiemy przez „amerykańską demokrację": historycznie rzecz biorąc jest to, być może, druga faza włączania katolików do amerykańskiego projektu, który ma wyraźne cechy nacjonalistyczne i wykluczające, dzielące głęboko wszystkich Amerykanów, także katolików.

Bardzo szczególna jest też relacja pomiędzy Leonem XIV a Europą. Jego poprzednicy stawali się częścią mostu łączącego Stolicę Apostolską z Włochami, Polską czy Niemcami. Nawet papież Franciszek, pochodzący z Argentyny, miał europejską (włoską) krew. W przypadku Leona XIV sprawa wygląda zupełnie inaczej.

Szczególnie pilną kwestią jest Europa Wschodnia – od Ukrainy i Rosji zaczynając. W pierwszych tygodniach pontyfikatu widoczne było deklaratywne wsparcie Ukrainy, jej rządu i Kościoła katolickiego w tym kraju. Już to w znaczący sposób odróżniało go od Franciszka. Czas pokaże, co się naprawdę zmieni, poza symbolami i słowami. Czy Leon XIV pojedzie do Kijowa? Czy zmienią się współrzędne relacji między Stolicą Apostolską a Moskwą, zarówno z politycznego, jak i kościelnego punktu widzenia? Czy Watykan będzie chciał stać się miejscem mediacji lub dialogu między stronami (i czy mu się to uda)?

Na razie ta nowa równowaga, zapoczątkowana przez Leona XIV, wydaje się spotykać z poparciem zarówno Kościoła, jak i polityków na Zachodzie – choć trudno powiedzieć, co dziś znaczy „Zachód", wszak prawdziwą niewiadomą nie jest dziś Putin, tylko Trump.

Święta wojna

Wyzwania, stojące dziś przed dyplomacją watykańską, są liczne. I różne, w różnych scenariuszach – Europa Wschodnia, Bliski Wschód, hinduizm państwowy w Indiach, Chiny, Tajwan i kraje znajdujące się w orbicie Pekinu, relacje między Kościołem a islamem w Afryce, demokracja w Ameryce Łacińskiej... Podstawowym pytaniem jest, czy i w jaki sposób Stolica Apostolska powinna dbać o to, by przezwyciężając pokusę „wojny sprawiedliwej", czyli nadania działaniom wojskowym wymiaru religijnego, nie zrobić kroku w tył, w stronę pacyfizmu.

Rzeczywiście – retoryka „świętej wojny" wydaje się dziś wracać do mody. Nie tylko w Rosji Putina i Cyryla, ale także w Stanach Zjednoczonych za prezydentury Trumpa, Vance'a i Rubio (dwaj ostatni są członkami Kościoła katolickiego). Pierwszy Rzym, w porównaniu z trzecim i czwartym (Moskwą i Waszyngtonem), ma rezerwuar mądrości, któremu powinniśmy się uważnie przyjrzeć.

© Tłumaczył EDWARD AUGUSTYN

MASSIMO FAGGIOLI *jest profesorem Uniwersytetu Villanova (Filadelfia, USA), wykładowcą historii Kościoła i teologii historycznej, publicystą. Stale współpracuje z „Tygodnikiem Powszechnym".*

O. WACŁAW

Oszajca:
Chłopcy, wracajcie

Otwarta w lipcu w Gdańsku wystawa „Nasi chłopcy" oburzyła zwłaszcza polityków. „Przedstawianie żołnierzy III Rzeszy jako »naszych« to nie tylko fałsz historyczny, to moralna prowokacja, nawet jeśli zdjęcia młodych mężczyzn w mundurach armii Hitlera przedstawiają przymusowo wcielonych do niemieckiego wojska (...) Takie działania podważają fundamenty naszej tożsamości i godzą w szacunek ofiar (...) Kto relatywizuje zbrodnie, ten rozbraja sumienie narodu". Oskarżenie mrożące krew w żyłach. Wynika z niego, że organizatorzy tej wystawy działali w złej woli. Zarzut postawił człowiek, który twierdzi, że fundamentem jego i naszej tożsamości jest chrześcijaństwo. Jeśli tak, to co zrobić z Apostołem, który nieprzymuszony przyczynił się do skazania niewinnego człowieka na śmierć?

Po śmierci Judy Iskarioty, bo o nim tu mowa, Piotr oświadczył: „Bracia! Musiało się wypełnić to, co Duch Święty zapowiedział w Piśmie przez Dawida o Judaszu. Przewodził on tym, którzy uwięzili Jezusa, chociaż należał do nas i miał udział w tym samym posługiwaniu". Oczywiście stawianie „naszych chłopców" z Pomorza i nie tylko obok Iskarioty to czysty nonsens. Otóż Piotr nie ocenia Judy, ale jako człowiek uczciwy dobrze pamięta, jak się zachował podczas aresztowania Jezusa i jak zachował się Jezus względem niego. Pamiętał też: „Nie osądzajcie, abyście nie byli osądzeni. W jaki bowiem sposób sami osądzacie, tak i was osądzą. Jaką miarą mierzycie, taką i wam odmierzą".

Izajasz pokazuje Bożą logikę: „Wyrocznia Pana (...) moje myśli nie są waszymi myślami, a wasze drogi nie są moimi drogami". Dlatego Paweł, odwołując się do Ducha Świętego, mógł wzywać: „Zrzućcie z siebie starego człowieka wraz z jego czynami, a okryjcie się nowym, wciąż odnawiającym się, aż do poznania Tego, który go stworzył na swój obraz. Nie ma już Greka ani Żyda, obrzezania ani nieobrzezania, barbarzyńcy, Scyty, niewolnika, wolnego", gdyż „wszystkim we wszystkich jest Chrystus". Piotr nie odżegnuje się od Judy, przeciwnie, przypomina, że on „należał do nas i miał udział w tym samym posługiwaniu". Życie wykracza poza „granice dobra i zła" – rozchodzi się o miłość: Chłopcy, wbrew wszystkiemu wracajcie, jesteście nasi – zawsze nasi. *Knôpi, procëm wszëtczemù, Wa jesta Naszi – wiedno mdzeta Naszi.* ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Refren Izajaszowy

„Słuchać będziecie, a nie zrozumiecie; patrzeć będziecie, a nie zobaczycie. Bo stwardniało serce tego ludu, ich uszy stępiały i oczy swe zamknęli, żeby oczami nie widzieli ani uszami nie słyszeli, ani swym sercem nie rozumieli, i nie nawrócili się, abym ich uzdrowił" – dramatyczny tekst Izajasza (Iz 6, 9nn), powracający z siłą refrenu w Nowym Testamencie (Mt 13; Mk 4; Łk 8; J 12; Dz 28). W zapisie Mateuszowym Jezus wprowadza ów tekst powiedzeniem jeszcze bardziej dramatycznym: „Bo kto ma, temu będzie dodane, i w nadmiarze mieć będzie; kto zaś nie ma, temu zabiorą nawet to, co ma" (Mt 13, 12).

Jak widać, można „widzieć" Słowo (czytać je) i można go „słuchać" (gdy jest mi odczytywane) – i „nie mieć go"! Przeczytane i usłyszane wcale jeszcze nie musi stać się „moje". A skoro nie będzie moje – zostanie mi zabrane. Słowa nie zatrzyma się ani oczami, ani uszami... Można je zatrzymać jedynie sercem. Widzi ten, kto widzi sercem. I słyszy ten, kto słyszy sercem. To znaczy z miłością!

Zatrzymuję w sobie Słowo, które pokochałem, do którego przylgnąłem swoim wnętrzem, z którym się utożsamiłem (także wtedy – może nawet: przede wszystkim wtedy – gdy mnie absolutnie przerasta zawartymi w sobie obietnicami). Zatrzymuję w sobie Słowo, kiedy do niego wracam – wielokrotnie nawet tego samego dnia, przypominając je sobie, odczytując na nowo, medytując... Zatrzymuję w sobie Słowo, które staje się moją odpowiedzią na stawiane mi pytania – Słowo, którym reaguję w sytuacjach wątpliwych. Zatrzymuję w sobie Słowo, którym myślę. Albo takie, bez którego nie potrafię już myśleć!

Ile jest w moim sercu takich słów od Boga? Odpowiedź na to pytanie jest ważna. Jezus mówi – słowami Izajasza – że zobaczone sercem i usłyszane sercem Słowo ma moc uzdrawiającą: Słowo naprawdę przyjęte – leczy. Słowo zlekceważone nie uzdrawia. Uzdrawia to tylko, co pokochałem.

Św. Grzegorz Wielki przestrzega przed słuchaniem Słowa bez miłości – mówi: może i masz receptę, ale cóż z tego, skoro nie ufasz Lekarzowi? ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

SAMOTNOŚĆ NAD WARSZAWĄ

Z misji wracała czasem tylko połowa samolotów. Ze zrzutami dla powstańców warszawskich w sierpniu i wrześniu 1944 r. latali Polacy, Brytyjczycy, Kanadyjczycy, Australijczycy, Amerykanie i obywatele Południowej Afryki. To opowieść o nich.

PATRYCJA BUKALSKA

PIEMAGS / WW2ARCHIVE / ALAMY / BE&W

Jedna z załóg należących do 1586. Eskadry do Zadań Specjalnych po powrocie znad Warszawy. Lotnisko we włoskim Brindisi, sierpień lub wrzesień 1944 r. Flagi namalowane na kadłubie wskazują kraje, do których załoga latała z misjami.

Zrzut miał nastąpić nad Marszałkowską. Nakierowanie pilotów na to miejsce miało znaczenie – inaczej pomoc, zrzucana na spadochronach, mogła trafić nie w ręce powstańców, lecz Niemców.

„Upewniam się, że zasobniki są gotowe do zrzutu i kieruję Włodzia, korzystając z planu Warszawy. Całe miasto żarzy się na czerwono jak dogasające węgle. Dym z pożarów i nocna mgła przykrywają ten blask – tak lot z 21 sierpnia 1944 r. opisywał Roman Grabowski, nawigator z 1586. Eskadry do Zadań Specjalnych, należącej do Polskich Sił Lotniczych na Zachodzie.

Grabowski wspominał: „Zbliżamy się do Czerniakowa, pod nami widzę wyraźnie Jeziorko Czerniakowskie i Siekierki. »Niżej, niżej!«. Lecimy tak nisko jak to możliwe bez wpakowania się w kominy na Powiślu. Im jesteśmy niżej, tym trudniej namierzyć nas Niemcom. »Otworzyć drzwi bombowe«".

W ostatniej chwili samolot złapali w światła reflektorów Niemcy. Maszyna została wielokrotnie trafiona: miała uszkodzone oba skrzydła i zbiornik z paliwem. Załoga Grabowskiego ładunek zrzuciła ostatecznie nad placówką AK koło Piaseczna.

Do bazy w Brindisi we Włoszech udało im się wrócić niemal cudem – wylądowali po 11 godzinach i 30 minutach lotu, jako ostatni z wysłanych tej nocy halifaksów.

Szczęśliwa noc

Tamtej nocy z pomocą dla powstańców poleciały z Brindisi cztery samoloty, wszystkie obsadzone przez polskie załogi. Zrzutu nad Marszałkowską udało się dokonać tylko jednemu. Kolejna załoga zrzuciła ładunek nad Puszczą Kampinoską. Choć nie cały, bo wyrzutniki od sześciu zasobników się zacięły.

Jeden z halifaksów w ogóle nie dotarł do Warszawy. Został zaatakowany w rejonie Tarnowa, gdzie często na alianckie bombowce lecące z pomocą dla powstańców czatowały niemieckie nocne myśliwce. Polacy zdołali zrobić unik, ale mieli już tak mało paliwa, że musieli zawrócić; do bazy dolecieli szczęśliwie.

W sumie tej nocy dla lotników ich misja zakończyła się jednak pomyślnie – bo wszyscy przeżyli. Powstańcy zamiast czterech otrzymali tylko jeden zrzut, ale i to na pewno przyjęli entuzjastycznie. Możliwe, że oddziałom partyzanckim AK udało się też przejąć zasobniki zrzucone koło Piaseczna.

Nie wszystkie noce kończyły się jednak dobrze.

„Żądamy amunicji"

„Podjęliśmy walkę o godzinie 17 dnia 1 sierpnia o Warszawę. Dajcie pilnie zrzuty amunicji i broni ppanc. [przeciwpancernej – red.]".

„Gwałtownie pilne dziś masowe zrzuty amunicji i broni do Warszawy. Artylerii plot. [przeciwlotniczej] nie ma. Znak świetlny [to] strzała. Zrzucajcie też bez znaku".

„Katastrofalny brak amunicji do kb [karabinów], km (karabinów maszynowych] pm [pistoletów maszynowych] i pilna broń ppanc. Dodatkowo dajcie zrzuty do małego getta (...). W rejon Kercelak, cmentarz żydowski, najlepsze placyki między Mireckiego i Żytnią. W dzień dajcie nawet bez sygnału – w nocy [sygnałem jest] strzała".

„Żądam kategorycznie pomocy w amunicji i broni ppanc. natychmiast i w dniach następnych. (...) My postawiliśmy wszystko na utrzymanie stolicy – zdobądźcie się na wysiłek".

To depesze, które w pierwszych dniach powstania gen. Bór-Komorowski, dowódca AK, słał do Londynu, do dowództwa armii polskiej na Zachodzie i rządu RP.

Gdyby zrzuty przeprowadzono już wtedy, byłyby bardziej efektywne. Kajetan Bieniecki, autor książki „Lotnicze wsparcie Armii Krajowej", podkreśla, że inicjatywa była wówczas wciąż po stronie powstańców. Niemcy nie zdążyli jeszcze ściągnąć artylerii przeciwlotniczej i posiłków.

Pierwszy lot ze zrzutami odbył się nocą z 4 na 5 sierpnia – w tajemnicy przed Anglikami, którym podlegały operacyjnie polskie załogi (dali zgodę na loty do Polski, ale nie nad Warszawę). Poleciały cztery samoloty. Doleciały trzy i zrzuciły zasobniki na cmentarz żydowski, Powązki i plac Kercelego. Po powrocie meldowały, że miasto płonie.

„Musicie się liczyć..."

Dramatyczna korespondencja między Borem-Komorowskim a polskim Londynem pokazuje, jak osamotniona była Warszawa. W polskim sztabie widziano, że wśród aliantów odczuwalne są wpływy Sowietów, którzy uważali, iż stolica Polski jest już „w sferze ich zainteresowań taktycznych" (cytat z depeszy z wyjaśnieniami, którą 5 sierpnia Londyn wysłał do Bora-Komorowskiego). I dalej: „Liczyć się musicie, że i dalsze starania nie doprowadzą do (...) zaopatrywania Warszawy".

Gen. Kazimierz Sosnkowski, naczelny wódz, zapewniał Komorowskiego, że interweniuje wszędzie: „Szturmuję o zrzuty, o status kombatancki, o pomoc spadochronową i lotnictwo. Opory duże". ↦

ARCHIWUM RODZINNE X2

Roman Grabowski (pierwszy z lewej) w Wielkiej Brytanii. Z prawej: jednym z miejsc stacjonowania Romana była baza RAF w Chedburghu.

W tych pierwszych dniach strona brytyjska stała też na stanowisku, że Rosjanie mają bliżej, więc to oni powinni pomagać Warszawie. Wskazywano na możliwość wysokich strat (szacowano, że mogą sięgnąć 50 proc.). Ponadto uwaga aliantów była skierowana na inne rejony: Włochy i zwłaszcza Francję, gdzie trwała bitwa o Normandię.

Ostatecznie loty z pomocą wznowiono. Wtedy jednak obszar miasta pozostający w rękach powstańców kurczył się już, a Niemcy zorganizowali silną obronę przeciwlotniczą.

W tych warunkach każdy lot był heroiczny. 14 sierpnia nad Warszawę wystartowało 26 samolotów: załogi polskie, brytyjskie, południowoafrykańskie, kanadyjskie, australijskie. Co trzeci samolot został zestrzelony.

„Wysiłek waszego lotnictwa umożliwił nam dalszą walkę. (...) Przed poległymi załogami chylimy czoła" – depeszował Bór-Komorowski. Dowództwo brytyjskiego RAF-u widziało to inaczej: „Loty dla m. Warszawy niemożliwe dalej. RAF traci jeden samolot na każdy jeden ładunek zrzucony dla AK". Loty znów wstrzymano. Ostatecznie zgodzono się, by polskie załogi latały na ochotnika.

Dziewczyny z latarkami

Jakby nie dość było problemów politycznych, zrzuty były trudne technicznie i logistycznie.

Stalin nie zgodził się, by alianckie samoloty lądowały na terenie kontrolowanym przez Sowietów, aby np. uzupełnić paliwo. Musiały więc latać z bazy Brindisi we Włoszech – tam i z powrotem to ok. 3 tys. km. W halifaksach montowano dodatkowe dwa zbiorniki paliwa (kosztem części wyposażenia), ale i tak ledwo starczało na powrót.

Zrzuty miały być dokonywane na precyzyjnie oznaczone miejsca z niskiej wysokości, podczas gdy w sytuacji ostrzału było to trudne. Lawrence Toft, jeden z brytyjskich lotników, którzy wystąpili w filmie dokumentalnym Ewy Ewart „Zdobyć miasto" z 2014 r., łamiącym się głosem opowiadał, że podczas lotu 14 sierpnia miejsce zrzutu oznaczały dziewczęta stojące na dachu z latarkami w dłoniach.

Były widoczne nie tylko dla załóg samolotów, ale też dla Niemców, którzy je z tego dachu zestrzeliwali. Bardziej sensowne byłyby zrzuty na szerzej określony teren będący w danej chwili w rękach powstańców.

Roman Grabowski, przygotowując się do lotu 21 sierpnia, dostał jedynie małą mapkę Warszawy i garść informacji od kolegów, gdzie ma spodziewać się niemieckich reflektorów i artylerii. „Nie do końca mogę sobie wyobrazić, jak w nocy, oślepiony światłem reflektorów, lecąc blisko dachów płonącego miasta, mam dotrzeć dokładnie nad Marszałkowską i tam wykonać zrzut" – wspominał.

Samotni w ciemności

W tak tragicznych warunkach piloci, nawigatorzy i mechanicy jednak nie zawiedli – lecieli ze świadomością, jak wielkie ponoszą ryzyko.

Misje ze zrzutami były inne niż loty bombowe, do jakich byli szkoleni. Tamte prowadzono w większych grupach, liczących dziesiątki, a nawet setki bombowców, na dużych wysokościach, w towarzystwie samolotów myśliwskich oraz tzw. *pathfinders*, samolotów zwiadowczych, które oświetlały cel flarami.

Loty dla Warszawy odbywały się w samotności. Zwłaszcza dla nawigatora, który musiał wyznaczyć kurs i się go trzymać w oparciu o ograniczone narzędzia. Grabowski, przed wojną zapalony taternik, przyznał, że przydawały mu się uzyskane wtedy umiejętności rozpoznawania topografii terenu.

Każdy nawigator sam decydował o obranej trasie. To była wielka odpowiedzialność i zapewne samotność w, jak pisał potem, „ciemności tak wielkiej jak dusza grzesznika".

Po drodze trzeba było uważać także na niemieckie myśliwce, szczególnie koło Tarnowa i Bochni. Samoloty były wobec nich niemal bezbronne: wymontowywano z nich, co się dało, aby zabrać jak najwięcej paczek i paliwa. Zostawiano im tylko jedną wieżyczkę strzelniczą.

W czasie lotów prowadzonych nad Warszawę i Kampinos od 4 sierpnia do

21 września zginęło, jak podaje Muzeum Powstania Warszawskiego, 147 lotników. Stracono 30 samolotów.

Janek na miejsce Włodka

Swój pierwszy lot z pomocą dla powstańców Grabowski odbył 16 sierpnia. Mieli dokonać zrzutu nad Puszczą Kampinoską, jednak zboczyli z kursu i z opóźnieniem dotarli nad placówkę AK. Nikogo nie było także w alternatywnym miejscu zrzutów. Roman i jego załoga zrzucili więc zasobniki „na dziko" koło Kielc.

Przelatując w drodze powrotnej nad Krakowem, Roman przypomniał sobie, że jako kilkuletni chłopiec obiecywał matce, że gdy dorośnie, przyleci do niej samolotem: „Na pewno, Matko, musisz nas teraz słyszeć w swoim domu" (Roman pochodził z Krakowa). „Co za groteskowe zrządzenie losu, że dziecięce marzenie okazało się takim koszmarem" – myślał wtedy.

Do bazy wrócili wtedy „na oparach", wskaźnik paliwa od dawna pokazywał zero. Z pięciu samolotów powróciły trzy. Nie wrócił współlokator Romana, Włodziu. Nie było wiadomo – zginął czy jest w niewoli (dopiero później okaże się, że przeżył: zestrzelono ich pod Bochnią, część załogi zginęła, a ocalałymi zaopiekowała się miejscowa placówka AK).

Gdy Roman zasnął, ktoś zabrał rzeczy zaginionego Włodzia z łóżka obok. Jeszcze tego samego dnia na to miejsce wprowadził się Jasiu.

Ten schemat będzie się powtarzać – łóżko innego lotnika na kwaterze, Józia, zajmie Monti, potem na miejsce Montiego wprowadzi się Jerzy. Proste łóżko we włoskiej willi z palmami za oknem trwało, a ludzie znikali.

„Plama oleju na powierzchni morza wskazuje miejsce, gdzie pozostaną już w swoim samolocie do Dnia Sądu Ostatecznego" – napisał Roman po śmierci Montiego.

Twarzą w twarz

W październiku 1944 r. Romana zagaduje w kantynie Tadziu, polski lotnik. „Czy wiesz, Obrońco Warszawy, że Warszawa padła?" – Roman przywołuje pytanie w swoich zapiskach.

Swoje uczucia opisuje wtedy jako dziwną mieszankę: upokorzenia, że nie udało im się obronić stolicy; wdzięczności, że „nareszcie płomień pod sufitem dymu wygaśnie"; ulgi (zabarwionej wstydem), że nie będzie musiał się mierzyć ze światłami niemieckich reflektorów.

Po upadku powstania Roman nadal służył w lotnictwie, nadal latał z misjami – również nad Polskę. Przeżył.

Lista lotników poległych w sierpniu i wrześniu 1944 r. to jeden z wielu elementów tragicznego bilansu powstania. Ktoś może powiedzieć: krótka lista, bo w Warszawie zginęły przecież tysiące. Nie o liczby tu jednak chodzi, ale o losy – każdego z osobna.

O los tych, co zginęli – lotników z Polski, a czasem z drugiej półkuli, którzy spłonęli w zestrzelonych samolotach i tu, w Polsce, są pochowani. O ciężar dźwigany przez tych, którzy przeżyli i po kilkudziesięciu latach nie mogli zapomnieć grozy i zła, z którymi stanęli twarzą w twarz.

Ich poświęcenie nie odmieniło losów powstania. Nie od nich jednak zależało, że wsparcie było za małe i przyszło za późno. Zrzuty były realną pomocą, były nadzieją.

Zwłaszcza ten jeden jedyny zrzut wykonany za dnia i z lotnisk w Wielkiej Brytanii: ponad sto amerykańskich bombowców, „latających fortec", poleciało 18 września (leciały z eskortą myśliwców).

Ludzie w Warszawie widząc setki spadochronów nad miastem, myśleli, że to nie zasobniki, ale żołnierze, polscy i alianccy spadochroniarze.

Finalnie zrzuty zaważyły na ludzkim życiu – tych, co latali, i tych, co je odbierali.

Podziękowanie

Po wojnie Roman Grabowski nie wrócił do pojałtańskiej Polski. Razem z żoną Barbarą, która też służyła w Polish Air Force (w Pomocniczych Siłach Powietrznych Kobiet, WAAF), wyemigrował do Argentyny, a potem Kanady. Zmarł 7 czerwca 1975 r.

Wiosną tego roku grobom Romana i Barbary w Kanadzie został przez IPN przyznany status grobów weteranów walk o wolność i niepodległość Polski. Są teraz – jak wiele grobów polskich żołnierzy, którzy nie wrócili po 1945 r. – oznaczone plakietkami z biało-czerwoną flagą.

To podziękowanie od wolnej już Polski za ich służbę.

©℗ PATRYCJA BUKALSKA

ARCHIWUM RODZINNE

Na przepustkach w Anglii Roman Grabowski lubił podróżować motocyklem.

Nawigator Roman Grabowski we wspomnieniach córek

Hania, córka Romana, wspomina w rozmowie z „Tygodnikiem": – Kiedyś zapytałam tatę, dlaczego nie został pilotem. Odpowiedział, że każdy może nauczyć się, jak pilotować samolot. Ale gdy zawiodą urządzenia, tylko dobry nawigator doprowadzi maszynę do domu. Co też zrobił podczas przynajmniej jednego z lotów.

– Trzeba pamiętać, że oni musieli zachowywać ciszę radiową nad terytorium wroga. A kiedy zawodziło wszystko inne, tato nawigował dzięki gwiazdom – mówi Hania.

– Dla nas jest bohaterem – podkreśla Basia, druga córka. – Jego eskadra latała nocą, bez asysty myśliwców. Rzadko o tym mówił, ale wiem, że ich loty były postrzegane za misje niemal samobójcze.

– Nie opowiadał dużo o tej części swojego życia. Ale pamiętam, że mówił, że czasem z misji wracał tylko jeden samolot albo dwa. I że przez to, że Stalin nie pozwolił im lądować, ginęli ludzie – dodaje Ewa, trzecia z sióstr.

Po klęsce we wrześniu 1939 r. Roman i jego młodszy brat Jerzy chcieli dołączyć do polskiej armii na Zachodzie. Opuścili Polskę przez zieloną granicę i dotarli do Francji, a po klęsce Francji – do Wielkiej Brytanii. Roman zgłosił się do lotnictwa, Jerzy do brygady spadochronowej formowanej w Szkocji.

Po 1945 r. nie wrócili do Polski. Nie wierzyli, że ich dawne życie (rodzina Grabowskich prowadziła prywatne tatrzańskie schronisko w Roztoce) można odbudować w kraju rządzonym przez komunistów.

Swoje wojenne losy Roman opisał w „Liście do domu": zapiskach, które sporządził z myślą o jego matce, która została w Krakowie. To także jego opis zmieniającego się świata. Zapiski pt. „A Letter Home" zostały opublikowane w Kanadzie przez The Kingston Whig-Standard, z ilustracjami Jerzego Gorazdowskiego.

Dla matki Romana były to pierwsze wieści od syna od sześciu lat. Do kraju zostały przemycone. ©℗ PB

NAUKA

SPOJRZENIE MATKI

MAŁGORZATA ARLET, PRYMATOLOŻKA:

Makaki czepkowe nieco obawiają się ludzi i raczej starają się ich unikać. Ale dla lodów na patyku zrobią wszystko.

MARIA HAWRANEK: W ramach The Thenmala Macaque Project obserwujesz ze współpracownikami 80 osobników. To wszystko jedna rodzina?

MAŁGORZATA ARLET: Nie. Populacja z Thenmali, regionu położonego w stanie Kerala na południu Indii, składa się z ośmiu grup. Aktualnie obserwujemy dwie. Staramy się rozpoznawać wszystkie osobniki, które do niej należą, i badać interakcje między nimi. Dla ułatwienia nadajemy im imiona.

W zakładce „Poznaj naszą rodzinę" są m.in.: Czarna Pantera, Lisa, Złe Oko czy Blondie.

Na konferencjach naukowych czasem słyszę zarzuty, że w ten sposób antropomorfizuję. Niektórzy badacze nadają obserwowanym zwierzętom numery. Dla mnie imiona są naturalne. Ze względu na bliskość, jaką z nimi czuję, a także zwykłą wygodę. Imiona korespondują z osobowością poszczególnych makaków albo ich wyglądem.

Przeczytałam, że Blondie jest opiekuńczą mamą i kiedy urodziła martwe niemowlę, przez kilka dni nosiła je ze sobą. Z kolei Yoda – nazwana tak od odstających uszu – jest tak beztroską matką, że żadne z jej dzieci nie przeżyło dłużej niż trzy miesiące. Co wpływa na to, jaką mamą jest dana osobniczka?

Właśnie to badamy – jakie cechy osobników mają wpływ na wypełnianie roli rodzicielskiej. Staramy się porównać osobowość samic ze stylem opieki. Blondie rzeczywiście była dobrą matką i było to spójne z jej rolą w stadzie – jej interakcje z innymi osobnikami były bardzo pozytywne i oparte na szacunku. Była samicą alfa i dlatego też pozwalała swoim dzieciakom na więcej – nie bała się, że ktoś je skrzywdzi. W przypadku Yody żadne z jej dzieci nie przeżyło trzech miesięcy. Ona nie potrafi się nimi dobrze opiekować. Zwykle nosi je głową w dół i taki mały próbuje się wspinać z powrotem na jej ciało, a ona go ciągle przekręca. Nie wiemy, z czego to wynika. Efekt jest jednak taki, że młode umierają, a po ich śmierci Yoda próbuje kraść młode innym samicom.

Jeżeli jej się uda, to taka samica musi przez pewien czas pilnować Yody, czekając na sposobność, by odebrać swoje dziecko.

Nie może po prostu podejść i go zabrać?

Niestety nie, bo Yoda jest samicą wysokiej rangi. Odebranie siłą nie wchodzi w grę. Hierarchia u samic makaków przypomina trochę system kastowy w Indiach – pozycja dominująca i podporząd-

MAŁGORZATA ARLET / ARCHIWUM PRYWATNE

kowana nie podlegają negocjacji, a każda płeć ma swoją własną układankę. Podobnie jest zresztą u większości naczelnych żyjących w stadach.

Hierarchia samców jest zwykle związana z tym, jak osobnik sobie radzi w życiu: czy jest silny i mądry, sprytny, czy potrafi nawiązywać relacje i wchodzić w kooperacje z innymi samcami. Samice zaś dziedziczą rangę po matkach. Te rangi są dziedziczone od pokoleń, to są bardzo stare historie. Co ciekawe, pierwsza córka samicy dominującej ma wyższą rangę niż matka, natomiast uzyskuje ją dopiero, gdy wchodzi w dorosłość. Zatem rodząc, matka jakby sama się detronizuje. Wśród samic nie ma szans na mobilność społeczną. Jedyna możliwość na zmianę hierarchii to podział grupy – i w tej nowej grupie samice o dotychczasowej średniej randze mogą awansować.

Kiedy dochodzi do podziału?

Gdy samice uznają, że konkurencja o jedzenie jest zbyt duża. Zawsze odchodzą matki z córkami. Najczęściej jest tak, że dominujące przepędzają te podległe, a wśród nich tworzy się nowy układ. Czasem zabierają ze sobą samców, których lubią – ale to samice o tym decydują.

Czy pozycja w grupie wpływa na osobowość?

Na pewno po części jest to kwestia genetyki, podobnie jak u ludzi, a po części będzie wynikała z otoczenia. Jeżeli maluch rodzi się z niską rangą i widzi, że jego mama jest przeganiana przez cały czas i nie ma dostępu do jedzenia, to będzie zachowywał się inaczej niż samiec, który jest synem samicy dominującej i któremu wszystko wolno. Taki uprzywilejowany maluch może nawet odgonić od jedzenia dorosłą samicę czy samca i nie spotkają go negatywne konsekwencje. Te sytuacje będą go kształtować w inny sposób.

Jak orientujecie się, kto ma jaką rangę w stadzie?

Obserwujemy interakcje. Np. co się dzieje, gdy dwa osobniki walczą o jedzenie: który z nich wygrywa? Zwykle jest to osobnik dominujący, chociaż może się zdarzyć, że osobnik niższy rangą będzie miał przyjaciół, zawiąże koalicję i grupa go wesprze. Obserwacja konfliktów i tego, kto komu ustępuje, to jedno źródło informacji. Kolejnym są powitania. Samiec niższy rangą pierwszy podchodzi do samca wyższego rangą i go wita. To są skomplikowane rytuały. Zwykle podchodzą do siebie i albo chwytają się za łapki, albo kładą sobie ręce na ramionach i mlaskają ustami. Czasami się obłapiają, czasami cmokają się w szyję, a czasami uprawiają coś w rodzaju udawanej kopulacji, czasem też wydają określone dźwięki. Dotychczas nie przeprowadzono badań, które wyjaśniłyby, czy długość trwania powitania jest związana z rangą samca, czy z tym, że samce się lubią.

Wiem, że Ty i pozostali badacze też macie swoją rangę. Skąd wiecie jaką? Bo chyba się tak z Wami nie witają?

Witają, ale te powitania wyglądają w naszym przypadku tak, że na nas popatrzą, zwrócą na nas uwagę – „jesteście zauważeni". Uważamy, że nasza ranga jest niska, bo nawet kilkumiesięczne maluchy przeganiają nas, jeśli staniemy zbyt blisko. Podchodzą do nas i pokazują nam ząbki. Wtedy wiemy, że musimy odejść, bo inaczej podejdzie jakiś starszy samiec i zrobi z nami porządek.

W miejscu, gdzie prowadzicie badania, pojawiają się turyści?

Pojawiają. Rankiem grupy makaków schodzą z gór, z lasów, gdzie nie mają kontaktu z ludźmi. Idą w stronę wiosek, tam często szukają jedzenia. Z tym, że makaki czepkowe nie zachowują się tak jak np. makaki królewskie (rezusy), które są bardzo agresywne – wiele jest filmików, jak rezusy kradną turystom okulary czy telefony i oddają w zamian za jedzenie. Makaki czepkowe bardziej boją się ludzi i raczej starają się ich omijać, natomiast dla lodów na patyku zrobią wszystko. Zwłaszcza starsze osobniki! Mamy takiego samca Wincenta, który uwielbia lody na patyku w polewie czekoladowej i jak tylko widzi z nimi turystę, to wręcz tańczy wokół tej osoby! Drepcze wokół z łapkami wyciągniętymi do przodu i niestety turystkom mięknie serce, wracają do sklepu i mu je kupują. A to oczywiście jest dla małp nieodpowiednie i zachęca je, ↦

Rodzina makaków. Wrzesień 2016 r.

↦ by próbowały zdobyć słodycze ze sklepu na własną rękę. Wincent jest już uzależniony od cukru.

Opowiedz, jak wygląda dzień obserwacyjny w Indiach.

Nasz dzień w terenie zaczyna się koło godz. 8.00, zwykle dojeżdżamy na miejsce autobusem, który przyjeżdża, kiedy chce, bo nie ma rozkładu jazdy. Kierujemy się w okolicę, w której poprzedniego dnia widzieliśmy nasze grupy. To miejsca, gdzie są owocujące drzewa – owoce to główny składnik diety makaków, najbardziej lubią owoce fikusa. Jak już zlokalizujemy grupę, to za nią podążamy do wieczora, kiedy zawracają w kierunku lasu i gór, do swoich miejsc noclegowych.

Co wieczór tych samych?

Nie, wygląda na to, że co noc wybierają inne drzewa. Prawdopodobnie w ten sposób zmniejszają szansę na zarażenie się pasożytami – małpy przecież załatwiają się na drzewach. Zwykle wybierają duże drzewa z grubymi konarami, a kto z kim śpi, zależy od upodobań – zwykle maluchy z mamami, czasem siostry razem, samce w parze z innym, którego lubią, albo ojciec z dzieciakiem. Bardzo rzadko widzimy, by jakiś osobnik spał sam.

Ochrona przed drapieżnikiem? Utrzymanie ciepła? Czy upodobanie do przytulanek?

U makaków japońskich osobniki śpią ze sobą, by utrzymać ciepło – ten, który jest w środku, ma najcieplej. Ale w Kerali nie jest zimno nawet w nocy, bo panuje temperatura ok. 20 stopni, więc myślę, że to ma głównie związek z okazywaniem przyjaźni czy przywiązania, co jest dla nich bardzo ważne.

Jak nadążacie za makakami w ciągu dnia? One poruszają się po drzewach, a Wy? Brniecie poniżej z maczetą jak Jane Goodall?

Nie, to nie jest taki pierwotny las. Zwykle możemy iść normalnie, a jak natrafiamy na miejsce nie do przejścia, to szukamy alternatyw – np. przeciskamy się pod krzakami. Czasem niestety gubimy grupę i wtedy musimy czekać na ich odgłosy kontaktowe.

Jak wygląda obserwacja? Zapisujecie w notesach, co makaki robią co 15 minut?

Mamy ze sobą tablety z odpowiednią aplikacją. Załóżmy, że obserwujemy samca alfa przez kwadrans. Notujemy wszystko, co dany osobnik robi – śpi, idzie, wchodzi w interakcję, np. iskanie innego osobnika. Zapisujemy też, kto jest w pobliżu. Te obserwacje są związane z naszymi projektami, a jeden z nich dotyczy właśnie zachowań pomiędzy samcami. U makaków czepkowych samce wykazują bardzo dużo interakcji pozytywnych między sobą, co jest rzadko spotykane u innych gatunków. Zwykle interakcje samców opierają się na konkurencji, walce o samicę, zwłaszcza w okresie godowym. Natomiast w tym gatunku samce często ze sobą współpracują, i to nie tylko te, które są spokrewnione – bracia czy kuzyni, ale też po prostu przyjaciele. Z naszych badań wynika, że te przyjaźnie zawiązują się już w dzieciństwie i mogą trwać do dorosłości.

I jak ta przyjaźń się objawia?

Np. pomocą w zdobyciu samicy – są dla siebie „skrzydłowymi". Samice mają dużo do powiedzenia i to one wybierają samca, który je zaciekawi. Inne badania, które prowadzimy, dotyczą relacji między samcami i samicami. I one pokazują, że połowa samic i samców tworzy relacje na długie lata, nie tylko w okresie godowym są ze sobą czy koło siebie, ale też poza nim – np. śpią blisko siebie, przytulają się, iskają.

Czego chcecie się o tych relacjach dowiedzieć?

Np. czy samce wiedzą, że są ojcami swojego potomstwa. Jedna samica może kopulować z wieloma samcami, natomiast tylko niektóre samce opiekują się potomstwem. Wydaje nam się, że te osobniki, które się opiekują, to te, które wiedzą, że to ich dzieci. U pawianów przeprowadzono badania, z których wynika, że samce pawianów wiedzą, że są ojcami – najprawdopodobniej jest to związane z zapachem. Być może u makaków czepkowych jest podobnie. Wśród makaków, które tworzą trwałe, wieloletnie relacje, więcej jest opiekuńczych samców.

Jak przejawia się opieka taty makaka?

Ojcowie chodzą obwieszeni małymi – przenoszą maluchy tak jak samice. Częściej się bawią z małymi i zwracają uwagę, żeby im nic się nie stało. Weźmy taką sytuację: maluchy się bawią, do grupy dołącza silniejszy nastolatek i zabawa robi się trochę bardziej agresywna. Może popchnąć malucha, ugryźć go i mały zaczyna płakać. Wtedy tata wkracza do akcji i przegania nastolatka albo sprawia mu lanie. Zabawy makaków są podobne jak u innych małp – zapasy, przeganianie, zabawa w chowanego – i są związane z ćwiczeniem sposobów walki. Zauważyliśmy, że małe makaki często wykorzystują suszące się pranie – np. zakładają koszulki na głowę i biegają za kimś albo biorą kobiece sari i przeciągają je między sobą. Używają w zabawie znalezionych przedmiotów.

Obserwacja interakcji polega też na przyglądaniu się mimice makaków. Czy macie jakiś katalog podstawowych min, ekspresji emocji?

Katalogu nie mamy, ale jesteśmy w stanie określić stan emocjonalny, bo ekspresja twarzy makaków czepkowych jest podobna do innych gatunków makaków czy nawet pawianów. Jest też jedna ekspresja bardzo podobna do ludzkiej, polega na tym, że osobnik odsłania wargi i pokazuje zęby – to coś w rodzaju uśmiechu. Występuje u wielu gatunków małp i generalnie sygnalizuje przyjazne nastawienie, brak złych zamiarów. Pokazywana jest np. w sytuacji, gdy ktoś komuś pogrozi, wtedy ten drugi robi tę minę, pokazując: „spoko, wyluzuj, jestem twoim kumplem". Uśmiech to informacja: „nie zagrażam ci". Dzielimy to, jak widać, z innymi naczelnymi.

Jakaś inna ekspresja przypomina Ci ludzką?

OGŁOSZENIE

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie" radia Tok FM. Słuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce www.tokfm.pl

Czasami np. można zauważyć u dorosłych takie charakterystyczne spojrzenie, które ja osobiście pamiętam u mojej mamy i myślę, że wielu z nas go doświadczyło. Takie jedno spojrzenie, które wystarcza, żeby dziecko wiedziało, że coś jest nie tak. Spojrzenie dyscyplinujące. Czasami samiec tak spojrzy na malucha, czasami samica.

Co makaki robią przez cały dzień? Schodzą z gór o poranku, szukają jedzenia. A potem?

Potem śpią, a potem znowu jedzą. Wiemy, że między 11.00 a 12.00 będą spały – wtedy w Kerali jest bardzo wysoka temperatura. Każdy dzień ma swój rytm, ale jeśli pada deszcz, trochę się zmienia. Przypuszczam, że zakłóca im sen i rano są jeszcze niewyspane, znajdujemy je więc w głębi lasu. Nie chce im się wstawać, podobnie jak nam w deszczowe poranki.

Czy badałaś komunikaty między makakami?

Potrafimy rozpoznać kilka rodzajów odgłosów. To są np. zawołania kontaktowe, wymieniane często między osobnikami, które, mam wrażenie, się lubią, bo częściej się iskają czy śpią przytulone. Prawdopodobnie ma to takie znaczenie: „Jestem tutaj", „Ok. A ja jestem tutaj, spotkamy się później". Inne specyficzne odgłosy grupa wydaje po przebudzeniu się – to z kolei zwykle jest związane z tym, że grupa decyduje się na wyjście – czy w prawo, czy w lewo. Nie wiemy, co dokładnie mówią, ale brzmi to jak żwawa dyskusja, w której często biorą udział wszystkie osobniki. Czasem przypomina to kłótnie. Np. część grupy zaczyna iść w jedną stronę, część zostaje, potem tamta grupa wraca, znowu dyskutują, idą w tę samą stronę albo nie dochodzą do porozumienia. No i oczywiście są też głosy wydawane przez maluchy, jest ich kilka i to też jest jeden z tematów naszych badań. Chcemy się dowiedzieć, czy kontakt z mamą ma wpływ na późniejszą socjalizację. Np. jeżeli mama nie utrzymuje kontaktu wzrokowego lub się nie komunikuje, to czy później taki osobnik ma większe problemy w grupie, bo nie potrafi się z nią dogadać, jest w jakiś sposób społecznie upośledzony.

Chyba możemy mówić o języku w kontekście naczelnych, prawda?

ARCHIWUM PRYWATNE

MAŁGORZATA ARLET jest badaczką relacji społecznych wśród zwierząt. Profesorka Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu. Bada głównie naczelne – m.in. mangabki szare w Ugandzie w latach 1999-2014, a od 2019 r. kieruje badaniami makaków czepkowych w Thenmali na południu Indii. Była gościem tegorocznego Copernicus Festival.

Sądzę, że tak. Wiemy, że naczelne zwracają się do siebie „pozdrowieniami", a każde takie zawołanie ma na końcu jakiś dźwięk, który jest charakterystyczny dla danego osobnika. A to by oznaczało, że one po prostu nadają sobie imiona. Prawda jest jednak taka, że wiemy jeszcze bardzo niewiele o tym, w jaki sposób się komunikują. Przed nami wielkie odkrycia.

Na ile makaki czepkowe są świadome tego, że otaczające je istoty mogą inaczej postrzegać rzeczywistość?

Obserwujemy makaki w interakcjach z innymi gatunkami, np. z psami czy dużymi wiewiórkami, kotami albo ludźmi. I widzimy, że zachowują się wobec nich inaczej. Względem siebie też zachowują się w rozmaity sposób. W naszej grupie był taki samiec Neo, potomek samicy dominującej, który wydawał się troszeczkę opóźniony umysłowo. Neo został w grupie na całe życie, jako dorosły nie wyemigrował, i zawsze był pod opieką swojej matki. I mamy taką sytuację: samce wyższe rangą jedzą, a Neo do nich podchodzi. Normalnie powinny być wobec niego agresywne i go przegonić, choćby pokazując zęby, a tymczasem samce mu ustępowały i nigdy nie wykazywały wobec niego agresji. Tak jakby wiedziały, że nie zna zasad panujących w grupie, bo nie jest zdolny ich zrozumieć. Grupa czmychnęła, a Neo sobie siedzi i drapie się po głowie. Pierwszy raz, gdy to widzieliśmy, spodziewaliśmy się, że zostanie przygnieciony do ziemi, a tymczasem samiec dominujący po prostu przeszedł koło niego, przywitał się z nim, jak gdyby nic się nie stało. Tak jakby grupa wiedziała, że nie ma się go co czepiać, bo jest inny, i one go w tej inności zaakceptowały.

Piękna historia.

Opowiem jeszcze jedną – samica Ofelia urodziła maluszka, który był niewidomy. Nazwaliśmy go Oreo. Bardzo szybko okazało się, że grupa zrozumiała, że małemu trzeba pomagać. Gdy makaki przechodziły przez jezdnię, a Oreo nagle się zatrzymał na środku drogi, to wtedy zawsze ktoś podbiegał i go z tej drogi ściągał. Wiedziały, że nie jest w stanie sobie sam poradzić. Pomagały mu nie tylko makaki spokrewnione, cała grupa wzięła za niego wspólnie odpowiedzialność.

Jak makaki zachowują się w obliczu straty najbliższych?

Napisałam pracę na ten temat i miałam ciężkie przejścia z recenzentami, którzy nie chcieli zaakceptować terminu „żałoba", argumentując, że jest to termin zarezerwowany dla ludzi. W naszych badaniach okazało się, że mamy, które straciły swoje dzieciaki, przejawiały inne zachowania niż normalne nawet do pół roku później. Np. przestawały jeść, egzystowały na obrzeżach grupy, stawały się bardziej agresywne, nie iskały innych osobników ani nie były iskane. Ostatecznie nazwaliśmy te zachowania „żałobnymi" – myślę, że są związane z przeżywaniem smutku. Jak maluch odchodzi, mama zwykle nosi go przez jakiś czas – czasem tydzień, czasem dwa lub trzy. Te zachowania mogą się bardzo różnić. Jedna samica straciła dwie córki, które zostały otrute, zajęła się więc swoją wnuczką. I ta wnuczka niestety została potrącona przez motocykl. Samica całkowicie przestała jeść i po trzech tygodniach zmarła. Trudno sobie wyobrazić, że to coś innego niż żałoba lub odpowiednik depresji po śmierci najbliższych.

A czy odprawiają jakiś odpowiednik rytuałów pogrzebowych?

Nie zaobserwowaliśmy nic poza tym, że osobniki podchodzą do zmarłego i go iskają. Większość grupy podchodzi, iska, przez moment dotyka i odchodzi. Nie wiem, czy możemy to nazwać rytuałem, bo może po prostu są zaciekawione i chcą sprawdzić, czy nie żyje. A może chcą się pożegnać? Tego nie wiemy.

© Rozmawiała MARIA HAWRANEK

DOBRA KSIĄŻKA

Ważnym wątkiem w „Familii grande" Camille Kouchner jest stanowczy zakaz noszenia majtek. Słońce, długie polityczne dyskusje, dzieci biegające samopas i panowie, którzy całują dziewczynki prosto w usta.

DOROTA MALINA

W niemal każdym tekście dotyczącym zjawiska określanego we Francji jako #MeTooInceste pada teraz fraza: „*La parole s'est liberée*". Słowo się uwolniło, tabu zostało złamane, worek z tajemnicami się rozwiązał. I nagle okazało się, że nawet bardzo porządne rodziny miewają bardzo paskudne sekrety. Po ogólnoświatowej fali ujawniania przemocy seksualnej wobec kobiet, nad Sekwaną wezbrała druga fala: dorosłe dzieci zaczęły opowiadać o molestowaniu przez rodziców.

Ustawa powołuje się na książkę

Hasztag #MeTooInceste powstał po publikacji książki Camille Kouchner „Familia grande" w 2021 r. (właśnie ukazała się w Polsce), kiedy, ośmielone szczerym świadectwem tej znanej prawniczki, inne ofiary kazirodztwa zaczęły zamieszczać swoje historie na Twitterze. Za pionierkę ruchu można uznać Christine Angot, która już w 1999 r. wydała brutalnie autobiograficzną książkę „Kazirodztwo". W nurt ten wpisuje się jeszcze Neige Sinno i jej „Ponury tygrys" (2023).

Książki znacznie się od siebie różnią – Kouchner opowiada o tym, jak była cichym i bezradnym świadkiem molestowania swojego brata bliźniaka. Angot i Sinno same padły ofiarą bestialskich ojczymów. Trochę inne są czasy i inne środowiska, ale jedno pozostaje niezmienne: kazirodztwo to ukryty rak, który toczy całą rodzinę. Krewni zwykle wiedzą, ale wolą odwracać wzrok. I dopóki perwersja nie zostanie ujawniona, zdiagnozowana i nazwana, dopóty cała rodzina tkwi w marazmie.

Z prawnego punktu widzenia zbrodnie uległy przedawnieniu, więc ofiary nie mogą szukać sprawiedliwości, opowiadając o krzywdach w sądzie. Pozostało im tylko pisanie. Zwłaszcza we Francji, gdzie wiara w sprawczą moc literatury nie słabnie, relacje spod znaku #MeToo zapełniły księgarskie półki. A nadzieja na to, że mogą coś zmienić, nie okazała się płonna: między innymi dzięki książkom takim jak „Familia grande" okres przedawnienia gwałtu na nieletnich przedłużono z dwudziestu do trzydziestu lat od uzyskania przez ofiarę pełnoletności.

21 kwietnia 2021 r. francuski parlament jednogłośnie przegłosował ustawę, której celem jest ochrona dzieci przed molestowaniem. Zabrania ona między innymi stosunków seksualnych z osobami poniżej piętnastego roku życia lub z krewnymi poniżej osiemnastego roku życia, nawet jeśli „wyrażą na to zgodę". Innymi słowy w świetle prawa wszelkie stosunki seksualne z dziećmi, nawet „dobrowolne", uznaje się za gwałt. Ustawa rozszerza też definicję gwałtu na „akty ustno-genitalne" (nie samą penetrację), a pod definicję krewnego podciąga też rodzeństwo dziadków.

Co ciekawe, w rządowym portalu prawnym, vie-publique.fr, w którym znalazłam tekst ustawy, w zakładce „kontekst" przywoływana jest książka Kouchner: „Ustawa jest następstwem głośnych spraw karnych z końca 2017 i 2020 roku, w których ofiarami były małoletnie dziewczynki. Prace nad nią rozpoczęły się w kontekście debaty publicznej wywołanej publikacją książki Camille Kouchner »La Familia grande«. Autorka opisuje w niej przypadek kazirodztwa, którego ofiarą miał paść jej brat bliźniak".

Prawdziwa literatura, literatura o prawdzie

Mamy więc odważne pisarki, które oskarżają dawnych oprawców, strącają ze świeczników możnych tego świata, wpływają na zmianę prawa. Pokazują, że do wynaturzeń dochodzi także w znamienitych rodzinach i wśród wielkich tego świata. Że kazirodztwo nie skończyło się na zgnuśniałych faraonach i nie ogranicza się do „zdeprawowanej biedoty". Nie, sprawcą może być też wzorowy obywatel, słynny profesor, znany artysta. Którego przez lata chronią rodzinna omerta i środowiskowa solidarność.

Albo chroniły, bo odkąd wspomniane pozycje pojawiły się na rynku, świadomość wzrosła. Społeczeństwo zdało sobie sprawę z istnienia problemu, a ofiary czują się mniej osamotnione. Jak bowiem stwierdziła w „Teleramie" Marine Landrot, książka Kouchner „budzi sumienia i daje solidne punkty odniesienia wszystkim ofiarom zagubionym w milczeniu i poczuciu winy". ↦

Camille Kouchner. Grudzień 2020 r.

BÉNÉDICTE ROSCOT / MATERIAŁY PRASOWE WYDAWNICTWA CZARNE

PHILIPPE WOJAZER / REUTERS / FORUM

Olivier Duhamel (drugi z prawej), ojczym autorki oraz jeden z bohaterów jej książki, z prezydentem Nicolasem Sarkozym w Pałacu Elizejskim. Paryż, 18 lipca 2007 r.

↦ Niewątpliwie mają one wielką wartość społeczną. Ale czy to dobra literatura? Dobra według kogo czy do czego, chciałoby się zapytać. Nie wchodząc w długie rozważania na temat oceny wartości dzieł literackich, można zaznaczyć, że niepokój krytyków wzbudza czasem terapeutyczno-rozliczeniowy charakter tego typu książek. Nadal obowiązuje (pokutuje?) bowiem przekonanie, że sztuka ma służyć wyłącznie samej sobie, więc piętnowanie za jej pomocą dawnych zbrodni czy misja podnoszenia świadomości społecznej daje kiepskie pamflety czy powieści z tezą. A teksty, które autorom przynoszą *katharsis*, niekoniecznie nadają się do publikacji.

„Prawdziwa literatura" to, zdaniem krytyków (na przykład wspomnianego Claude'a Grimala) spokojna i chłodna praca na języku. Triumf estetyki nad etyką. Zachwycamy się więc „Lolitą", bo Humbert Humbert tak wspaniale opisuje chuć do małej dziewczynki. I wolimy czytać kunsztowne akapity Nabokova: „Natychmiast, obłędnie, niezdarnie, bezwstydnie, boleśnie zakochaliśmy się w sobie; należy dodać, że i beznadziejnie, bo tę frenetyczną żądzę posiadania dałoby się ukoić jedynie wtedy, gdybyśmy dosłownie wessali i wchłonęli nawzajem każdą cząstkę swych dusz i ciał" (tłum. Michał Kłobukowski). Niż nie zawsze zręczne zdania Kouchner: „Ojczym wchodził do pokoju brata. Słyszałam kroki w przedpokoju i wiedziałam, że idzie do niego. W milczeniu – tak to sobie wyobrażałam. Że prosił mojego brata – chyba, żeby go dotykał, żeby go ssał. Czekałam. Czekałam, aż wyjdzie z pokoju, rozsiewając nieznane zapachy, które od razu znienawidziłam. Później zaglądał do mnie. Do mojego nowego pokoju, który oddzielał pokój Victora od sypialni rodziców. Do pokoju-rogatki. Do pokoju będącego przymusowym świadkiem. Przez długie lata" (tłum. Magdalena Kamińska-Maurugeon).

To jeden pogląd. Na drugim końcu spektrum etyka-estetyka jest przekonanie, że dobra literatura jest autentyczna, niesie surowe mięso doświadczenia (nawet przetworzonego na fikcję) i zamiast kwiecistych metafor serwuje nam nagą prawdę w prostych słowach. To szkoła płaskiego stylu spod znaku Annie Ernaux. „Nie mam prawa szukać przede wszystkim efektów artystycznych ani dążyć do stworzenia czegoś »wciągającego« czy »wzruszającego«. (...) Żadnej poetyckości we wspomnieniach" – pisała noblistka.

Inna rzecz, że prostota prostocie nierówna i między innymi z lektury dzienników Ernaux wiemy, jak misternie konstruuje ona swoją płaskość. Relacje z nurtu #MeToo postrzega się zwykle w kategoriach pisania automatycznego, świadectw przelewanych na papier w gorączce emocji, która miałaby wyjaśniać (i usprawiedliwiać) powtórzenia, niespójności i niedociągnięcia. Jak rozedrgany film z katastrofy – zbyt staranny montaż pozbawiłby go siły rażenia, więc dobrze, kiedy się chwieje.

Tak właśnie zdaniem recenzenta „Echo" Pierre'a de Gasqueta pisze Kouchner: „Czy medialna bomba Camille Kouchner nadal jest obiektem literackim? Tak, krzyk Camille to mocny tekst, wykrojony skalpelem. Niemal art brut, graniczący z literackim graffiti. Nierówny, pełen dysonansów, ale szczery. Bo to właśnie jest kluczowe kryterium przeciwko wszelkiej maści fałszerzom literatury konfesyjnej".

Czy poczucie winy jest jak wąż?

Czemu piszę o walorach literackich tych książek? Dlaczego obficie przywołuję

cudze recenzje? Bo z ukazującą się właśnie w Polsce „Familią grande” mam duży problem. A nawet dwa.

Po pierwsze, oględnie mówiąc, nie uważam jej za dobrą książkę. Ważną? Owszem. Potrzebną? Niewątpliwie. Ale dobrą? Raczej nie. Choć jest krótka (184 strony), umęczyłam się przy niej ogromnie. I to nie tylko dlatego, że traktuje o bolesnych sprawach. „Ponurego tygrysa”, książkę równie mroczną i jeszcze bardziej osobistą, pochłonęłam błyskawicznie. Tam jednak język służył narracji i faktycznie był prosty i mocny.

Zdania Kouchner często sprowadzają się do niekończących się wyliczeń i równoważników: „Po odejściu Évelyne ojciec bardzo szybko się podźwignął. Nowa żona, nowe role. Nowe życie, znacznie bardziej mieszczańskie. Czapkowanie, wkrótce także ministerstwa. Później opowiedział mi: teatr Odeon, wrześniowy wieczór, spotkanie kolektywu, spotkanie polityczne, spotkanie gwiazd”. Od czasu do czasu rzeczownikowe staccato przełamują dość zmanierowane figury stylistyczne: „Dni mijały, jeden za drugim, rozpaczliwie powoli. Nie byłam w stanie oddychać. Krztusiłam się melasą masy przygnębionych przyjaciół”.

Dosyć wydumana jest też organizująca przenośnia „poczucie winy jest jak wąż”, którą autorka ciągnie od połowy książki, czasem trochę gubiąc się w metaforyce: „Poczucie winy jest jak wąż. Czekamy, aż podniesie łeb pod wpływem pewnych bodźców, ale nigdy nie wiemy, kiedy podpełznie i nas sparaliżuje. Karczuje własną drogę, przeciera szlaki. Poczucie winy wsiąkło we mnie jak trucizna i wkrótce zajęło całą przestrzeń w moim mózgu i sercu. Poczucie winy przesuwa się z przedmiotu na przedmiot. Zakłada różne maski i sprawia, że żałujemy wszystkiego i niczego. Moje poczucie winy nie ma jednego wieku. Urodziny obchodzi w tym samym czasie co ja. Poczucie winy jest moim sobowtórem. Nowym bliźniakiem”.

Można by się jeszcze długo wyzłośliwiać, cytując nieudolne porównania i sztucznie brzmiące dialogi, wahania rejestru i banalne konstatacje. Ograniczę się do przywołania Claude’a Grimala, który sprawę ujął celnie i zwięźle: „Literatura ma sens tylko wtedy, gdy ujmuje w słowa to, co nie do pomyślenia. W tym przypadku, niestety, to, co nie do pomyślenia, faktycznie się wydarzyło, ale słów zabrakło”.

Drugi problem polega na tym, że o ile we Francji książka miała efekt bomby o ogromnej sile rażenia i zgniotła wielkie osobistości, w Polsce nie spadnie z hukiem. No bo kto, oprócz romanistów i garstki frankofilów, zna osoby dramatu? Złego ojczyma, czyli Olivera Duhamela, politologa, wykładowcę uniwersyteckiego i słynnego konstytucjonalistę, który przed 2021 r. kształtował prawo, kształcił prawników i nadzorował Sciences Po, a po publikacji książki swojej pasierbicy zrezygnował ze wszystkich funkcji (przynajmniej z tych, z których go nie odwołano) i całkiem wycofał się z życia publicznego. Nieobecnego ojca, czyli Bernarda Kouchnera, którego w mojej bańce kojarzyła tylko siostra (bo założył organizację „Lekarze bez granic”)? Ekscentryczną matkę, politolożkę i pisarkę, Évelyne Pisier, która romansowała z Fidelem Castro? Obojętną macochę, czyli dziennikarkę Christine Ockrent? Niestabilną emocjonalnie ciotkę Marie-France Pisier, aktorkę i muzę?

Polskie odczytanie

Zdaniem tłumaczki książka pokazuje uniwersalne mechanizmy wyparcia i zmowy milczenia, ból noszonego przez lata ciężaru i kryzys rodzinny. Może więc tożsamość *dramatis personae* nie ma aż takiego znaczenia? A „Familię grande” da się czytać jako opowieść o zbrodni bez kary i solidarności plemiennej?

Tylko że z tą rodziną trudno się identyfikować, bo bardzo daleko jej do przeciętności. Klan Duhamel-Kouchner-Pisier to lewicowe elity, pokolenie ’68, które próbowało zmieniać świat, a w życiu prywatnym odrzucało mieszczańskie konwenanse (ważnym wątkiem w „Familii grande” jest stanowczy i wielokrotnie powtarzany zakaz noszenia majtek). Wszyscy spędzali wakacje w willi Duhamela w Sanary-sur-Mer na Lazurowym Wybrzeżu, w wielkiej komunie, którą sami nazywali „falansterem”. Słońce, długie polityczne dyskusje i jeszcze dłuższe popołudnia, dzieci, które biegają samopas, kobiety, które opalają się topless, i panowie, którzy całują dziewczynki prosto w usta.

Dorośli przypominają Gombrowiczowskich Młodziaków: nastoletnia Camille nieustannie słyszy, że powinna jak najszybciej pozbyć się dziewictwa, bo tylko głupie mieszczki chronią swój wianek: „Marie-France [ciotka] martwiła się moim dziewictwem, uczyła mnie, jak być kobietą: tampony, kondomy, styl”. Wtórowała jej matka dziewczynki: „Ja, rozumiesz, uprawiałam seks jako dwunastolatka. Seks to wolność. Na co ty czekasz?”. Wszystko wolno, nic nie trzeba. Wolność, wolność ponad wszystko. Czemu takie podejście bywa zgubne, dowiedzieliśmy się już z „Dryfując do Betlejem” Joan Didion, która pokazała ciemną stronę słonecznej, hipisowskiej Kalifornii. Spadkobiercy paryskiego Maja ’68 nie okazali się lepsi.

Boję się, że zamiast ukazywać uniwersalne mechanizmy psychologiczne, w Polsce książka zostanie odczytana jako kolejny dowód na francuską perwersję i wyuzdanie. Że wcale nie uwolni słowa, wzmacniając za to przekonanie, że „takie rzeczy” wydarzają się tylko w libertyńskiej Francji. Albo że to pieśń przeszłości, czasów słusznie minionych, kiedy pisarz Gabriel Matzneff chełpił się w telewizji podbojami szesnastolatek, seks z nieletnimi uważając za „wyzwolenie dla obu stron”. O tym, czym dla dziecka jest takie „wyzwolenie”, napisała Vanessa Springora w głośnej, wydanej w 2020 roku książce „Le Consentement" (Świadoma zgoda).

Ale może się mylę. Może będzie tak, jak pisze w posłowiu tłumaczka: „Książki takie jak »Familia grande« przyczyniają się do rozbicia tych immunitetów [immunitetów ludzi z przywilejami i koneksjami]. Pokazują, że do nadużyć może dojść w każdym środowisku. Ale powodują również zmianę świadomości społecznej. To, co dawniej spotykało się z przyzwoleniem lub obojętnością, teraz – nareszcie – zaczyna być uznawane za niedopuszczalne. I dlatego mają znaczenie”.

© DOROTA MALINA

Camille Kouchner
FAMILIA GRANDE
przekład i posłowie Magdalena Kamińska-Maurugeon, Czarne, Wołowiec 2025.

Karki i biodra

JAN BŁASZCZAK

MUZYKA ROCKOWA | Sukces zespołu Queens of the Stone Age wynika z myślenia o muzyce nie jako ewoluującej artystycznej formule, ale dzikiej, pierwotnej sile. Takiej, która ma przede wszystkim chwytać za serce. I trochę niżej.

Był rok 1996 i Josh Homme potrzebował przerwy. W zespole Kyuss coś się wypaliło i czuli to wszyscy jego członkowie. Nagrywanie wciąż przychodziło im z łatwością, koncerty cieszyły się popularnością, a oni i tak mieli poczucie, że to koniec, że to by było na tyle. Po latach okazało się, że w wywiadach nie mówili wszystkiego, jednak wtedy, w połowie lat 90., wydawali się wyjątkowo zgodni. Także w tym, że chcieli spróbować czegoś nowego, jakiegoś innego życia.

Nie było w tym przesady. Kiedy zakładali zespół – pod nazwą Katzenjammer – najmłodszy z nich, Josh Homme miał niecałe piętnaście lat. Słuchał punk-rocka, uwielbiał kalifornijską grupę Black Flag, ale zespół założył z rówieśnikami zasłuchanymi w Black Sabbath. Nie miał wielkiego wyboru, mieszkając w czterdziestotysięcznym Palm Springs ze wszystkich stron otoczonym pustynią.

Przestrzeń wokół była nieograniczona, ale nie możliwości. Jedyną szansą, by posłuchać muzyki granej na żywo, było wymknięcie się na pustynię. Tam, daleko w wąwozie i pod osłoną nocy odbywały się nielegalne koncerty, które stały się częścią legendy zespołów z Palm Springs. Prąd z generatorów, nisko strojone gitary, wszelkie używki i ani słowa rodzicom. „Informacje o imprezach były przekazywane z ust do ust (...) Czasem jednak robiły się gigantyczne i wtedy zdarzało się, że wpadała policja, bo wieści rozeszły się za daleko..." – wspominał basista Nick Oliver w książce „Queens of the Stone Age: No One Knows" Nicka McIvera. „Dźwięk odbijał się od skał, od piasku, było naprawdę dziko (...) Wiatr wiał na ciebie z taką siłą, że nie słyszałeś własnej gitary". Tak jak pozostali członkowie Kyuss, basista najpierw wymykał się na pustynię, żeby poszaleć, a niedługo później sam dawał tam koncerty. Pomimo wiatru ktoś je jednak usłyszał.

Choć uczestników obowiązywała dyskrecja, w środowisku rozchodziły się wieści o koncertach, podczas których nastolatki pogują w odległych kanionach rozświetlonych ogniskami. Z pewnością przydawały one legendy zespołom z Palm Springs, choć Homme podkreśla, że pustynia dała im znacznie więcej. Chodziło nie tylko o poziom wykonawczy, ale też o własny styl.

Kiedy muzyka nastolatków z Palm Springs trafiła do decydentów z Los Angeles, zwracała uwagę wyrazistością. Kompozytorski dryg Homme'a i charyzmatyczny wokal Johna Garcii sprawiały, że ani wytwórnie, ani media nie postrzegały zespołu w kategoriach retro. Przeciwnie, dziennikarze prześcigali się w wymyślaniu nowych etykietek, nazywając Kyuss pionierami stoner metalu czy desert rocka.

Kyuss był na fali i nie zmieniły tego problemy wydawcy, zmiany w składzie czy chłodniejsze przyjęcie ich czwartej, jak miało się okazać, ostatniej płyty. „Nie było żadnych niesnasek. Powiedzieliśmy sobie: Rozwiązujemy zespół, do zobaczenia na niedzielnym grillu!" – tłumaczył Homme w wywiadzie dla kanadyjskiego tygodnika „FFWD". Dodawał też, że chciałby odpocząć od grania i pójść do szkoły. W tym celu wybrał się do miasta, którego scena muzyczna była martwa – do Seattle.

Krótka przerwa na deszcz

Homme nie wytrwał długo w swoim szkolnym postanowieniu. Wpłynął na niego nowy znajomy – Mark Lanegan. Lider grunge'owego zespołu Screaming Trees przekona go, że przecież nie musi być liderem, pisać piosenek, użerać się z mediami. Jeśli więc kiedyś zabraknie mu muzyki, może dołączyć do jego składu jako drugi gitarzysta. I tak się stało – ex-lider elektryzującego fanów na całym świecie Kyuss wyruszył w trasę z mniej rozpoznawalnym zespołem, w dodatku reprezentującym pogrzebaną w mediach scenę. Bawił się świetnie.

Homme szukał sposobu, by z jednej strony obrać inny artystyczny kurs, a z drugiej – nie zrazić do siebie pokaźnej bazy fanów Kyuss. Pewnie dlatego debiutancki album Queens of the Stone Age zarejestrował u przyjaciół z pustynnego studia Rancho de la Luna, a w studio towarzyszył mu znajomy z Palm Springs

– Alfredo Hernández. W tym samym czasie Homme zainicjował też kultowe Desert Session – cykl improwizowanych sesji nagraniowych, podczas których muzycy z różnych środowisk wymieniali się pomysłami i instrumentami w studio leżącym dokładnie pośrodku niczego. Powrót do korzeni sygnalizowała także obecność Nicka Oliveriego, który dołączył do składu niedługo po nagraniu płyty.

W nowej formule kompozytorska biegłość Homme'ego lśniła w pełni. A przecież najlepsze miało dopiero nadejść.

Rock'n'roll ma się dobrze

Pomimo sukcesów Queens of the Stone Age nie byli wcale najbardziej intrygującym rockowym zespołem przełomu wieków. Rockowe zespoły z tego okresu co kwartał odkrywały nowe kontynenty, zaś Homme siedział na pustkowiu i kreślił im krzyżyk na drogę. Queens of the Stone Age grali, jakby wciąż trwały lata 70. W wywiadzie udzielonym „The Washington Post" gitarzysta mówił: „Rock'n'roll ma się dobrze. Miał się dobrze zanim się pojawiliśmy i będzie miał się dobrze, kiedy nas zabraknie. My tylko staramy się grać go możliwie najlepiej tak długo, jak tu jesteśmy".

Homme i Oliveri wierzyli, że rock nie potrzebuje ani intelektualnej metamorfozy, ani luźniejszych spodni – wystarczą mu potężne wzmacniacze i kilka riffów, które wprawią w ruch zarówno karki, jak i biodra słuchaczy. Muzyka zespołu niosła w sobie erotyczny ładunek. Ostatecznie Queens of the Stone Age mieli w sobie coś z Led Zeppelin. Mam na myśli nie tylko single napędzane wspaniałymi riffami oraz stale rosnącą sprzedaż albumów („Songs for the Deaf" osiągnęło status platynowej płyty w Wielkiej Brytanii i złotej – w USA), ale także zachowanie muzyków, którzy na festiwalach wyglądali niczym hippisi na zlocie nihilistów. Najbardziej jaskrawym przykładem tego niedopasowania był występ grupy na Ozzfest w 2000 r., kiedy Homme przedstawił zespół słowami: „Nie jesteśmy wściekli i nie rapujemy" – co było czytelnym nawiązaniem do dominującej wówczas estetyki.

Homme'emu nigdy nie brakowało pewności siebie czy wręcz zuchwałości. Oczywiście łatwiej o pewność siebie, kiedy ma się urodę rudego Marlboro Mana i piosenki, które porywają tłumy. A przy przebojach z pierwszych płyt Queens of the Stone Age rzeczywiście trudno wysiedzieć. Zanim w mediach wybuchła nowa fala garażowego rocka z jego surowym brzmieniem, na fali którego wypłynęły The White Stripes czy The Strokes, Homme już dawno tam był. I nie zajmowały go żadne fale. W końcu mieszkał na pustyni.

Sposobem na to, by do zespołu nie wkradła się rutyna, która wykończyła Kyuss, miały być częstsze zmiany składu. Przez lata zespół funkcjonował trochę jak duet Homme–Oliveri, z którymi współpracowali kolejni instrumentaliści. Wśród nich nie brakowało wielkich nazwisk – wspomniane już „Songs for the Deaf" Queens of the Stone Age nagrali w gwiazdorskim kwartecie z Grohlem na perkusji i Laneganem jako drugim wokalistą. To eklektyczny album, gdzie punk miesza się z bluesem, a hard rock z funkiem i progresywnym rockiem, wszystko zaś spaja wyrazisty koncept – radio, które na każdej częstotliwości odbiera trochę inną inkarnację zespołu.

Album zaczyna zapowiedź DJ'a opiewającego przewagi stacji „KLON Radio", gdzie wszystkie utwory brzmią tak samo, zaraz potem słyszymy porywający riff, który jednak brzmi słabo, niewyraźnie. Regulujemy więc głośność i... zostajemy momentalnie ogłuszeni, bo zespół celowo wyciszył kilka pierwszych sekund utworu, który teraz atakuje nas z taką siłą, jakby tytuł płyty chciał zamienić w przepowiednię.

Po wydaniu trzeciego albumu Homme postanowił jednak rozstać się z Oliverim. Fakt, basista był tykającą bombą – potrafił pobić się z członkiem innego zespołu czy wyjść na scenę ubrany tylko w skarpetki, a jednak przez lata między muzykami zadzierzgnęło się wyjątkowe porozumienie, braterska więź. Choć Oliveri z pewnością przysparzał problemów, bez jego nieokiełznanej energii zespół bezpowrotnie coś stracił.

Skok w bok i w dół

A przecież zespół Queens of the Stone Age trwa. Koniunkturalizm? Myślę, że niesprawiedliwe byłoby zarzucanie jego liderowi odcinania kuponów czy artystycznego lenistwa. Homme wciąż szuka. Zarówno w prowadzonej przez siebie grupie, jak i w pobocznych projektach. W 2009 r. nagrał album w gwiazdorskim trio Them Crooked Vultures z Grohlem i Johnem Paulem Jonesem z Led Zeppelin. Pięć lat wcześniej ukazała się debiutancka płyta Eagles of Death Metal blues-rockowej grupy, której przebojowej muzyce towarzyszy humorystyczna otoczka. Ze względu na liczbę obowiązków Homme bierze udział w pisaniu i nagrywaniu wszystkich piosenek zespołu, ale nie jeździ z nim w trasy. Tym samym nie było go w 2015 r. na scenie paryskiego teatru Bataclan, kiedy doszło do terrorystycznego ataku, podczas którego zginęło dziewięćdziesięciu fanów zespołu.

Queens of the Stone Age występuje w warszawskim Torwarze 30 lipca, to jest świeżo po wydaniu kolejnej płyty, na której Homme próbuje czegoś nowego. „Queens of the Stone Age: Alive in the Catacombs" to zapis sesji, którą grupa – jako pierwsi muzycy w historii – zrealizowała w olbrzymim paryskim ossuarium. Ze względu na okoliczności zespół gra tu niemal akustycznie, a kameralne wersje ich utworów zaaranżowane są m.in. na smyczkowe trio. Można więc powiedzieć, że Homme odszedł możliwie daleko od swoich korzeni. Czy na pewno? W końcu zespół nagrywa na setkę, wokół zieje pustka, a elektryczne pianino jest zasilane przez akumulator. Jest więc tak, jak u początków. Tylko publiczność zdaje się bardziej wyrozumiała. ©

HARMONY GERBER / GETTY IMAGES

Josh Homme i Michael Shuman z zespołu Queens Of The Stone Age podczas koncertu w Inglewood w Kalifornii. USA, 16 grudnia 2023 r.

Wyczerpanie wyczerpania

MACIEJ MIŁKOWSKI

LITERATURA ŚWIATOWA | Według Johna Bartha współczesny pisarz usiłuje robić coś, co kiedyś robili legendarni bohaterowie, nie dostrzegając jednak, że epoka heroiczna już minęła.

Pół wieku po wydaniu oryginalnym do rąk polskiego czytelnika trafia „Chimera" Johna Bartha (1930-2024). To nie tylko okazja, by – dzięki świetnemu tłumaczeniu Krzysztofa Majera – wreszcie zapoznać się z tą niezwykłą i legendarną książką, ale również, by całościowo spojrzeć na dorobek zmarłego w zeszłym roku wybitnego amerykańskiego prozaika.

„Chimera" nadaje się do takiego podsumowania znakomicie. Po pierwsze, jest prawdziwym okrętem flagowym „literatury wyczerpania", jak w głośnym eseju sam Barth nazwał literaturę własną i swoich współczesnych. Po drugie, stanowi prawdziwy przegląd dokonań pisarskich autora – jego wcześniejsze książki pojawiają się tu zupełnie wprost, a wiele jego późniejszych dzieł znajduje swoje bardzo wyraźne zapowiedzi. Po trzecie wreszcie, „Chimera" wyraźnie zachęca do pomyślenia o dorobku Bartha w całości, bo jednym z jej najważniejszych tematów jest samo pisarstwo Johna Bartha właśnie – jego źródła inspiracji, założenia ideowe, metoda twórcza, ale także jego kontekst społeczny.

O czymkolwiek Barth opowiada – zawsze opowiada o sobie. O sobie opowiadającym o tym, jak opowiada.

Powtarzaj się

Publikując w 1972 r. „Chimerę", Barth ma czterdzieści parę lat, za sobą szereg życiowych wiraży, a także cztery powieści i jeden zbiór opowiadań, którymi obok Roberta Coovera, Thomasa Pynchona czy Donalda Barthelme miał wznieść gmach amerykańskiego postmodernizmu.

Kilka lat wcześniej ogłosił słynny esej „Literatura wyczerpania" (1967), tworzący kluczowy kontekst dla odczytania „Chimery", będącej zarazem egzemplifikacją tez eseju, jak i krytyczną odpowiedzią na niego. Równie ważne jak to, co Barth miał wówczas za sobą, jest to, co pisarz miał dopiero przed sobą, choć teoretycznie on sam nie mógł jeszcze tego wówczas wiedzieć. Nienapisane jeszcze książki („Sabbatical", „Ostatnia podróż Sindbada Żeglarza", „Opowiadać dalej") są przecież w „Chimerze" niemal równie wyraźnie obecne jak te wcześniejsze – „Bakunowy faktor" albo „Koniec drogi". Zresztą, jak poucza „Chimera", opowieść jest zawsze wcześniejsza od swojej własnej materializacji. Jest też wcześniejsza od opowiadanych wydarzeń.

Najważniejsze cechy pisarstwa Bartha widać już w jego debiutanckiej „Pływającej operze" (1957). Książka zaczyna się niemal programowym otwarciem (zatytułowanym „Strojenie fortepianu"), w którym fikcyjny autor – i stojący za jego plecami autor rzeczywisty – komentują powstające dopiero dzieło. Wiele tekstów Bartha zaczyna się od takiego akademickiego „rozsiadania się": teraz powiem wam, o czym będę dziś mówił i dlaczego. Ten długi wstęp jest niemal manifestem literatury świadomej samej siebie.

Główną osią fabularną książki są zresztą dwa teksty. Jednym z nich jest sama „Pływająca opera" (całkowicie nietożsama z książką, którą czytelnik trzyma w ręku), drugim – nadrzędne wobec niej „Dochodzenia". Fabuła jest tu świadomie przeładowana – perypetii jest za dużo, zwrotów akcji za dużo – a przy tym przesycona narracyjnymi niezręcznościami. Koło strony dwusetnej dowiadujemy się na przykład o istnieniu pewnego dziecka. Ano tak, no bo ona była wtedy w ciąży. No bo ojcem jest nie wiadomo kto.

Wszystko to dokonuje się wbrew klasycznym wzorcom podawania czytelnikowi odpowiednich informacji we właściwym czasie. Przez tego typu zagrania powieść staje się zarazem wyraźnie sztuczna i kartonowa (nikt nie udaje, że to się wydarzyło naprawdę), ale zarazem jakąś wyższą prawdziwość i autentyczność zyskuje sam omylny i niezręczny narrator. Opowiadanie jest nieprawdziwe: prawdziwy jest opowiadacz.

Bliźniacza wobec „Pływającej opery" druga powieść Bartha – „Koniec drogi" (1958) – powtarza wiele rozwiązań fabularnych poprzedniczki. Te same motywy – trójkąt miłosny, niepewność ojcostwa – Barth powtarza tu z pełną świadomością, jakby chciał zaznaczyć, że owszem, będzie się powtarzał, już od samego początku kariery literackiej. Powtarza się, tak jak wszyscy się powtarzają, bo niemożliwe jest już pisanie bez powtarzania się, więc lepiej zamiast to ukrywać, spróbować zrobić z tego atut.

Barth eksploruje w powieści dobrze znany temat miłosnego trójkąta (bo oczywiście sięga po tematy zgrane, nie zamierza wymyślać żadnych nowych), ale interesuje go tu coś innego niż moralność. Stawia pytania inne niż etyczne.

Ma się wrażenie, że to wszystko nie jest naprawdę – te stosunki międzyludzkie, te dialogi. Ale przecież cała literatura piękna nie jest „naprawdę". Każdy rozdział „Końca drogi" zaczyna się incipitem, pisanym kursywą, jakby był to cytat z czegoś, ale nie wiadomo do końca z czego. Z jakiejś rzeczywistości spoza samej opowieści? Rozczarowanie bohatera w finałach (bo jest ich oczywiście więcej niż jeden) spotka się z rozczarowaniem czytelnika. Nie udało się: bohaterowi znaleźć rozwiązania problemu, czytelnikowi znaleźć rozwiązania narracyjnego.

Napisz wszystko

W „Bakunowym faktorze" (1960) najsilniej na czytelnika oddziałują pozaliterackie cechy książki. Przede wszystkim jej rozmiar. Stylizowana na osiemnastowieczną powiastkę księga wykorzystuje ten rozmiar również jako chwyt literacki. To on bowiem pozwala na wstawianie do fabuły niezliczonych zwrotów akcji.

RADIO KRAKÓW
Co środę o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica-Zdrój – 102,1 FM
Rabka-Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl

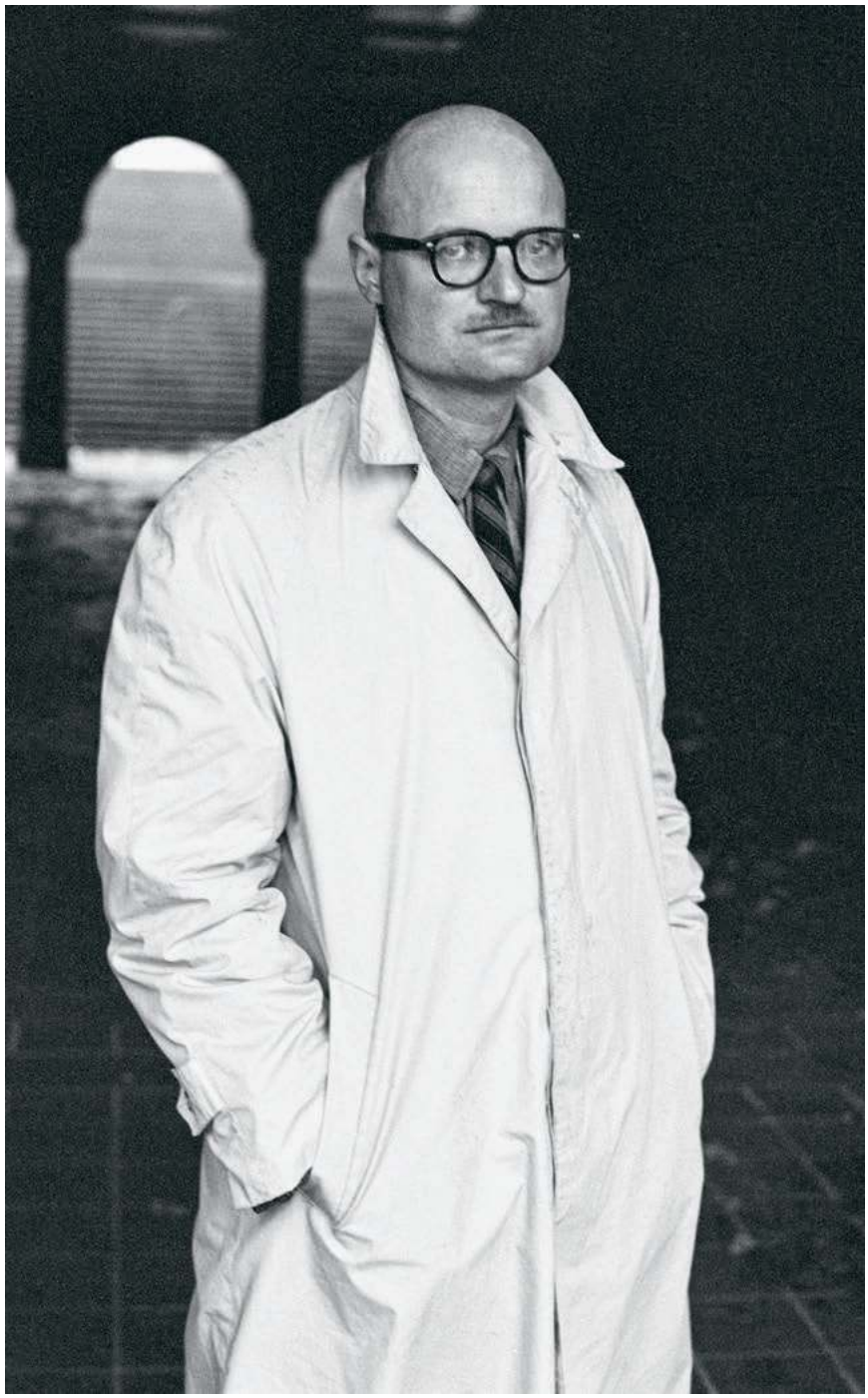

PETER JONES / GETTY IMAGES

John Barth, 1963 r.

Przezabawna powieść miejscami nieco nuży, a czytelnik zadaje sobie pytanie, który to już dzień, czy może tydzień, czyta o zupełnie niewiarygodnych perypetiach Ebenezera Cooke'a, w którego istnienie nie wierzy nikt, z autorem na czele. Zarazem jednak ta inflacja fabularna jest być może najwłaściwszą odpowiedzią na inflację zewnętrzną całych dziejów literatury. Skoro napisano już wszystko, to współczesnemu pisarzowi nie pozostaje nic innego, jak napisać wszystko. Działa to zresztą w dwie strony – to znaczy dzięki takim przerośniętym i spotworniałym pastiszom zaczynamy inaczej patrzeć na arcydzieła światowej klasyki literackiej.

Jeden z twórców Latającego Cyrku Monty Pythona powiedział, że największym dokonaniem grupy było to, że jak już się w telewizji skończyła emisja ich skeczów, a na ekranie pojawiły się wiadomości z udziałem jakiegoś wiceministra rolnictwa, to widzom wydały się one równie zabawne. Podobnie odświeżająco działa lektura „Bakunowego faktora" na lektury dzieł Cervantesa, Sterne'a czy Rabelais'ego. Dostrzegamy w nich nagle wszystkie cechy powieści totalnej czy encyklopedycznej. Widzimy w nich dzieła *par excellence* postmodernistyczne. Jak zauważa Borges: dzieło tworzy swoich prekursorów.

Spośród wszystkich wcześniejszych książek Bartha „Chimera" jest być może najbliżej spokrewniona z „Zagubionym w labiryncie śmiechu" (1968). Zawarta w nim „Menelajada" jest wręcz pierwszą wprawką do przyszłej książki. Podobnie, jak w „Bakunowym faktorze", przy kolejnych fidrygałkach stylistycznych i fabularnych dobrze bawi się już tylko sam autor. Narratorem jednego z opowiadań jest plemnik, a proces reprodukcji biologicznej jest tu zestawiony z procesem kreacji artystycznej. Plemnik dotrze do celu i narodzi się nie co innego, jak oczywiście opowieść.

Barth jest jednak doskonale świadomy takich zarzutów i najcelniejsza krytyka „Zagubionego" znajduje się w samej książce. „Jeszcze jedno opowiadanie o pisarzu piszącym opowiadania?" – pyta Barth i zatrzymuje się nieraz w połowie niektórych swoich eksperymentów. W „Literaturze wyczerpania" pisał, że osiągnięciem artystycznym jest samo zdanie sobie sprawy z jakiejś nowej możliwości technicznej. Starczy to sobie wyobrazić, nie trzeba już tego fizycznie pisać. Przychodzą tu na myśl pisane przez Stanisława Lema recenzje z nieistniejących książek.

1001 nocy razy nieskończoność

Sama „Chimera" zgodnie z tytułem jest dziełem hybrydowym i monstrualnym. Barth klei swojego lwa, kozę i węża w sposób programowo niezgrabny. Widać szwy. Być może to one są treścią „Chimery"? Część pierwsza to opowieść Dunjazady, siostry Szeherezady. Część druga to opowieść podstarzałego (i być może umarłego) Perseusza. W części trzeciej do głosu dochodzi Bellerofon, ale co chwila ten głos traci, a do jego opowieści przenika szereg innych narratorów.

U Bartha siostra Szeherezady zostaje poślubiona bratu Szahrijara, co sprawia, że 1001 nocy zmienia się w 2002, a nawet w 3003 – i tak dalej, właściwie w nieskończoność. Co ciekawe, forma idealnie zbiega się tutaj z treścią. Podstawowe ↦

↦ pytanie formalne każdego dzieła literackiego – „Kto to komu opowiada?" – jest tutaj osią fabularną. Okazuje się bowiem, że wszystko to opowiada Dunjazada bratu Szahrijara w ich poślubną noc. Kolejne „tysiąc jedynki" wyskakują w przeszłość i przyszłość równocześnie.

Żeby puścić cały ten mechanizm w ruch, potrzebny jest element spustowy i tę rolę odgrywa sam John Barth, przedstawiony w powieści jako Dżinn, ale bardzo wyraźnie na samego amerykańskiego pisarza stylizowany. W pierwszej chwili przypomina to zagrania Vladimira Nabokova, który od czasu do czasu pojawiał się we własnych powieściach, by dokonać w nich, jak to sam ujmował, ich „inspekcji". U Bartha zabieg ten ma jednak inne znaczenie. Dżinn jest bowiem postacią, która opowiada Szeherezadzie kolejne opowieści, zanim ona opowie je Szahrijarowi. On sam zna je oczywiście z książki, która jest w jakiś sposób wcześniejsza niż noce Szeherezady. Opowieść poprzedza opowiadane zdarzenie.

„Perseida" zbudowana jest na zasadzie spirali logarytmicznej, której zasadą jest to, że nie dociera ona nigdy do środka, do którego nieustannie dąży. W opowieści o Perseuszu kolejne wersje tej samej historii nakładają się na siebie – narracja wykonuje kolejne obroty wokół tego samego punktu. Podstarzały Perseusz po latach wędruje śladami swoich dawnych przygód, ale to dopiero pierwszy obrót. Okazuje się bowiem, że Perseusz umarł (a może nie umarł?) i w zaświatach przypomina sobie swoje własne perypetie (a może ich wysłuchuje?). Oraz perypetie związane z odtwarzaniem pierwotnych perypetii. Przypominanie (albo wysłuchiwanie) staje się oczywiście kolejną pochodną – i tak dalej, w nieskończoność.

Całą swoją historię poznaje zaś Perseusz, oglądając ją na cyklu metop, ułożonych oczywiście cylindrycznie. Opowiadanie poprzedza zdarzenie. Samo opowiadanie jest też tylko echem innych opowiadań. Nie na darmo w jednej ze scen Perseusz morduje wroga kielichem, na którym przedstawiona jest scena bliźniaczego mordu.

Najdłuższa i formalnie najciekawsza „Bellerofoniada" ma strukturę trudną do uchwycenia, która ukazuje się czytelnikowi dopiero na sam koniec. Na samym początku opowieści Bellerofon poznaje opowieść o Perseuszu, później zaś zaczyna małpować jego losy. Fabularny punkt wyjścia jest więc tu niemal identyczny, co w „Don Kichocie" Cervantesa, prawdziwego Ojca Założyciela nowożytnej powieści. Bellerofon czerpie wiedzę na temat Perseusza ze Schematu – przedziwnego utworu literackiego, który opowiada nie tylko dzieje herosów przeszłych, ale i przyszłych.

Pytanie o to, kto to komu opowiada, i w tej części okazuje się kluczowe dla samej fabuły. „Niełatwo zabawiać jednocześnie żonę i kochankę tą samą opowieścią" – wyzna w pewnej chwili heros. Ostatecznie Bellerofon okaże się uzurpatorem i hochsztaplerem. Jego heroizm jest nieuprawniony. Zarazem jednak jest w jego dziejach aspekt jak najbardziej prawomocny. Aspekt samej opowieści oczywiście. Wzmocnieniu tego elementu służy wklejenie kilkustronicowego fragmentu z „Mitów greckich" Roberta Gravesa. Bellerofon czyta nie tylko o innych herosach, ale również i o samym sobie. W pewnym momencie zastanawia się, kto jest autorem opowieści o nim. Raz jeszcze: narracja jest nieprawdziwa, prawdziwy jest narrator.

„Chimera" jest książką bardzo osobistą.

To opowieść o kryzysie twórczym Bartha w wieku średnim, ale też o kryzysie całej literatury i naszej, opartej na archetypalnych opowieściach, cywilizacji.

Powieść, która sobą nie gardzi

Mimo tych wszystkich gier „Chimera" okazuje się książką dość osobistą. To z jednej strony opowieść o kryzysie twórczym samego Bartha w wieku średnim, a z drugiej o kryzysie całej literatury światowej i całej naszej, opartej na archetypalnych opowieściach, cywilizacji. Wszystko ma tu dwie strony. Motyw petryfikacji najpierw symbolizuje niemoc twórczą, później staje się formą upamiętnienia. Heroizm? Współczesny pisarz usiłuje robić coś, co kiedyś robili legendarni bohaterowie, nie dostrzegając jednak, że epoka heroiczna już minęła.

Zarazem jednak „Chimera" okazuje się punktem zwrotnym w pisarstwie Bartha. To tutaj po raz pierwszy tak wyraźnie zestawia opowieść z życiem małżeńskim. Miejscem opowiadania jest nieodmiennie łóżko. Naturalnym środowiskiem opowieści jest sypialnia. Na tym motywie będzie później zbudowany „Sabbatical" (1982), a także najwybitniejsza pewnie książka Bartha – „Opowiadać dalej" (1996). Siłą tej ostatniej jest głównie to, że będąc tomem metaopowiadań, pozostaje ona równocześnie tomem opowiadań po prostu, eksplorującym przeciętne współczesne bolączki przeciętnych współczesnych ludzi. Wcześniej Barth napisze jeszcze „Ostatnią podróż Sindbada Żeglarza" (1991). Po angielsku tytuł brzmi „Somebody the Sailor" – mity opowiadają więc o nas samych i właśnie dlatego wciąż działają.

W „Dunjazadiadzie" Barth wzruszająco wyznaje, że jego marzeniem było zawsze dołożenie najmniejszej choćby cegiełki do gmaszyska światowego zasobu opowieści. Być może Barth zawsze pragnął napisać opowieść po prostu, a nie tylko kolejną opowieść o opowieści – literaturę, która nie unieważniając wcześniejszych kryzysów (jak usiłuje to robić naiwny realizm), zdoła odnaleźć swoją drogę. „Chimera" jest pierwszym krokiem w tę stronę, przełamaniem dotychczasowego impasu.

W „Zagubionym w labiryncie śmiechu" Barth pisze, że nie cierpi literatury eksperymentalnej gardzącej samą sobą. To ważne rozróżnienie. „Chimera" jest bowiem z pewnością literaturą eksperymentalną, która jednak samą sobą nie gardzi. Na najgłębszym poziomie jest raczej wyrazem zachwytu nad literaturą w jej najpierwotniejszej postaci. Nie jest ona wtedy elementem społecznej gry zwanej „rynkiem literackim", ale narzędziem czarowania i oczarowywania, uwodzenia drugiego człowieka i wyjaśniania samemu sobie własnych losów. Taka literatura wciąż pozostaje niewyczerpana.

© MACIEJ MIŁKOWSKI

John Barth
CHIMERA
przeł. Krzysztof Majer, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2025.

▪ *John Hersey*, **HIROSZIMA. NAJWAŻNIEJSZY REPORTAŻ XX WIEKU**, *tłum. Jerzy Łoziński, Znak Literanova*

6 SIERPNIA 1945 R. W HIROSZIMIE świeciło słońce. Miasto było piękne, schludne, z powściągliwie uśmiechniętymi mieszkańcami na ulicach. Zobaczyłam je osiemdziesiąt lat później i opisałabym dokładnie tak samo, jakby jego codzienności nie naruszyła nigdy jedna z największych tragedii ludzkości: zrzucenie bomby atomowej. To, co wydarzyło się z ludźmi Hiroszimy, opisał młody amerykański korespondent John Hersey. Jego reportaż pierwotnie ukazał się w sierpniu 1946 r. w wyjątkowym wydaniu „New Yorkera", z którego usunięto wszystkie inne artykuły. Na okładce magazynu, a dziś książki, zamieszczono ilustrację pełną rozrywek letniego dnia: piękną i niepokojącą jednocześnie. W prostym w formie reportażu poznajemy losy sześciu hibakusha, co po japońsku oznacza „osobę będącą ofiarą eksplozji". To panna Toshiko Sasaki z działu kadr fabryki, Hatsuyo Nakamura, matka trójki dzieci, wdowa po krawcu. Ojciec Wilhelm Kleinsorge, niemiecki jezuita, oraz wielebny Kiyoshi Tanimoto, pastor kościoła metodystów. Młody chirurg Terufumi Sasaki i doktor Masakazu Fuji, właściciel prywatnego szpitala. To przypadek sprawił, że akurat oni przeżyli. Opis towarzyszących zdarzeniom szczegółów jest największą mocą reportażu. Jesteśmy w tamtych domach, gdy przychodzi błysk bomby, między poparzonymi ciałami ofiar, gdy szukają schronienia i gdy dzielnie budują swe życia od nowa. Życia, które bomba naznaczyła na zawsze.

©℗ EWELINA BURDA

▪ *Marcin Wojdak*, **GOODBYE GIEREK**, *Znak Koncept*

NA PIERWSZY RZUT OKA TO TYLKO lodziarnia, bar, pawilon handlowy albo ośrodek wypoczynkowy. Wojdak patrzy uważnie i pyta: co zostało z Polski, której nie ma już na banknotach i w nazwach ulic, ale wciąż trwa w betonie, fornirze i szkle? Co ważne: nie romantyzuje przy tym minionej epoki. To bardziej katalog zanikających form architektonicznych, pomników i dizajnu – czasami przaśnego, zbudowanego na dykcie i prefabrykatach, ale bywa, że wybitnego, jak wnętrze Instytutu Chemii Przemysłowej w Warszawie. A najczęściej po prostu kuriozalnego, jak parking „Raszówka" we wsi Mniów w woj. świętokrzyskim – przykryty falistym dachem z zielonego włókna szklanego, które nadaje mu świetlistą, tajemniczą oprawę. Fotografie w książce „Goodbye Gierek" są nie tylko ilustracjami. To narracja równoległa, dokument, który oparł się sile pokusy estetyzowania obrazu narzędziami firmy Adobe. Zdjęcia są surowe, zdystansowane i w zdecydowanej większości pozbawione tzw. elementu ludzkiego. Trudno też uznać, co w tej książce jest ważniejsze – fotografie czy towarzyszące im opisy. Tekst, utrzymany w konwencji dialogu z wyimaginowanym gościem, być może widzem albo czytelnikiem, to rodzaj luźnej pogawędki. Wadą książki Wojdaka (a może zaletą?) jest to, że czyta się ją dosłownie w jeden wieczór.

©℗ JACEK TARAN

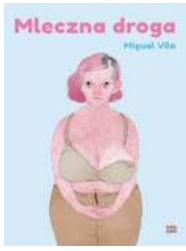

▪ *Miguel Vila*, **MLECZNA DROGA**, *tłum. Mateusz Kłodecki, wyd. Kultura Gniewu*

EKRANIZACJĘ „Mlecznej drogi" mógłby wyreżyserować Michel Franco. Przemawia za tym łącząca go z Miguelem Vilą niewiara w przyzwoitość człowieka i przekonanie o jego popędliwości. Na przeszkodzie stoją jednak skrajnie różne stanowiska artystów dotyczące wyborów estetycznych. O ile meksykański filmowiec zafiksowany jest na punkcie ciosania obrazów z niedoskonałości, o tyle włoski komiksiarz starannie akcentuje brzydotę świata przedstawionego. Jest ona tyleż szokująca, co szczera i przejawia się w dwójnasób. Z jednej strony ma charakter emancypacyjny – Vila na przekór kanonom piękna rysuje ludzkie sylwetki pełne skaz, przebarwień i nieforemności. Z drugiej strony równie dokładnie odzwierciedla okrutne zachowania bohaterów; wszak „Mleczna droga" jest opowieścią o różnych rodzajach przemocy. Związek dwudziestokilkuletnich Marca i Stelli to modelowy mezalians, w którym obie strony próbują wykorzystać swoje położenie do realizacji osobistych celów. Dziewczyna robi pożytek z przewagi ekonomicznej, chłopak instrumentalizuje swój trudny życiorys, grając rolę ofiary. To ułatwia mu zwodzenie partnerki, gdy wdaje się w romans z gruboskórną Lulu. W końcu zaś „Mleczna droga" to także komiks o obsesyjnym pożądaniu i fetyszach, kompensujących tęsknotę za prawdziwą bliskością.

© REMIGIUSZ RÓŻAŃSKI

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TP DRODZY CZYTELNICY, W NAJBLIŻSZYM NUMERZE „TYGODNIKA"

dodatek specjalny **o gdańskiej kulturze**

w którym opowiemy o najważniejszych muzeach, galeriach i wystawach.

PARTNER WYDANIA:

„TYGODNIK" Z DODATKIEM W SPRZEDAŻY OD ŚRODY 6 SIERPNIA

Za duże na bajki

ANITA PIOTROWSKA

FILM | Przekonujący jest w tym filmie klimat nadmorskich peryferii, z niewesołym wesołym miasteczkiem i domowym barłogiem. Duża w tym zasługa Robbiego Ryana, którego rozedrgana kamera zdaje się oddychać razem z bohaterką.

Andrea Arnold lubi buszować po społecznych obrzeżach, ale zdaje sobie sprawę, że bardzo łatwo w tym szlachetnym pochylaniu się nad losem wykluczonych popaść w fałsz czy paternalizm. Choć przecież stoi za nią piękna tradycja brytyjskiego kina, od Młodych Gniewnych, przez Kena Loacha i Mike'a Leigh, po tych bardziej współczesnych, w rodzaju Shane'a Meadowsa i Stephena Grahama. Jednocześnie, wzorem mistrzów tego nurtu, unika „realizmu zlewu kuchennego", jak zwykło się określać brytyjskie filmy lat 60. osadzone w środowisku klas niższych, drobiazgowo odtwarzające jego warunki bytowe i egzystencjalne problemy.

Tymczasem reżyserka, wychowana z trójką rodzeństwa przez samodzielną matkę w blokach komunalnych angielskiego Dartford, dobrze wie, o czym mówi. I często przepuszcza swoje historie przez dziecięcy filtr – bynajmniej nie ponury. W najnowszym filmie, „Bird", idzie jeszcze o krok dalej, choć elementy magiczne, pozornie nieprzystające do surowych realiów, były już obecne w jej wcześniejszych filmach.

Dziecięce bohaterki, bo Arnold opowiada przeważnie o dorastających dziewczynkach, są zazwyczaj za duże na bajki. To „dzieci śmieci", pozostawione same sobie i przedwcześnie dorosłe, wrzucone w świat zepsuty, skrajnie niestabilny i najeżony niebezpieczeństwami. O dziwo, poruszają się po nim całkiem śmiało, z intuicyjnym wyczuciem i swobodą.

Ta dzika energia zagarnia czasem cały ekran, jak w poprzednim filmie, „American Honey". Tamta nastolatka uciekała od biedy i przemocy, wyruszając w drogę po USA z gangiem nieletnich domokrążców.

Ileż w tej szalonej jeździe było trafnych obserwacji – odpadów z „amerykańskiego snu", rozdartej tkanki społecznej, wygnania z natury, znieczulającej popkultury. Wielokrotnie chciałoby się postawić krzyżyk na młodziutkiej bohaterce, a równocześnie ta historia o straconym dzieciństwie i zaburzonym dorastaniu potrafi ocalić jej niewinność. Oraz swoją niepokojącą baśniowość.

Podobna łobuzerska energia wypełnia najnowszy film Arnold, zrealizowany na powrót w ojczyźnie, w jej rodzinnych stronach na północnym zachodzie Anglii. I znowu: nie dalibyśmy funta kłaków za tę patchworkową patorodzinę, koczującą po squatach i biedadomkach. Za całą tę porzuconą przez państwo społeczność, gdzie dzieciaki próbują zastępować policję w egzekwowaniu sprawiedliwości i porządku.

Dlatego dwunastoletnia Bailey (w tej roli fenomenalna Nykiya Adams) ucieka we własną wyobraźnię. Przede wszystkim od ojca, który właśnie wszedł w kolejny, mało przyszłościowy związek i rozkręca wątpliwy interes z hodowlą kolumbijskich ropuch produkujących halucynogenny śluz. Gra tę postać szkocki aktor Barry Keoghan, znany z „Duchów Inisherin" czy „Saltburn" (do czego film ironicznie nawiązuje, gdy mowa o pewnej piosence), i w jego szorstkiej plebejskości kryje się gorzki społeczny determinizm.

Bo u Arnold dzieci rodzą dzieci (sama przyszła na świat ze związku dwojga niepełnoletnich). Tutaj przyrodni brat dziewczynki zdążył już zaliczyć wpadkę z czternastolatką, a młoda matka Bailey ma całkiem spory przychówek w nowym, wyraźnie przemocowym związku. Nic więc dziwnego, że główna bohaterka, która właśnie zaczęła miesiączkować, próbuje z całych sił wyrwać się swemu przeznaczeniu. Obcina włosy, nosi się jak chłopczyca, aż wreszcie na ratunek przychodzi jej tytułowy Bird, czyli tajemniczy człowiek ptak. Wytwór dziecięcej fantazji i zarazem bezsilności, a może raczej reżyserskiej bezradności?

Jakże łatwo tego rodzaju magiczna figura mogła okazać się narracyjnym nielotem. Ot, kokieteryjny ozdobnik dla znudzonych społecznym realizmem i zapewne część widzów tak to odbierze. Jednakże ubranego w kilt „Ptaśka", który przysiadł na dachu i rozmyśla o swojej utraconej rodzinie, próbując naprawić pokaleczony świat, zagrał Franz Rogowski. Czyli aktor niemiecki, znany z neurotycznych wcieleń „twarzowiec", porównywany do Joaquina Phoeniksa i Vincenta Gallo.

ROBBIE RYAN / MATERIAŁY PRASOWE GUTEK FILM

BIRD
– reż. Andrea Arnold. Prod. Wielka Brytania/Francja/ /Niemcy/Stany Zjednoczone 2024. Dystryb. Gutek Film. W kinach od 1 sierpnia.

Andrea Arnold jest brytyjską reżyserką i scenarzystką. Jej krótki film „Osa" (2003) został nagrodzony Oscarem, a „Red Road" (2006) i „Fish Tank" (2009) canneńską Nagrodą Jury. Ma też na koncie adaptację „Wichrowych wzgórz" (2011), nakręcone w USA „American Honey" (2016), drugi sezon „Wielkich kłamstewek" (2019) i dokument „Krowa" (2021) ze zdjęciami Magdy Kowalczyk.

Franz Rogowski w filmie „Bird"

Taka decyzja obsadowa wydaje się w filmie szczególnym ekscesem, a półzwierzęcy charakter tej postaci ładnie wpisuje się w filmowe uniwersum Arnold, gdzie ludzie i zwierzęta bywają prawie równoprawnymi mieszkańcami społecznych „skrajobrazów". Nie zmienia to faktu, iż pojawienie się dorosłego dziwoląga w życiu dorastającej, puszczonej samopas dziewczynki musi budzić przez chwilę uzasadniony niepokój. Zwłaszcza w świecie przedwczesnych inicjacji i złych dotyków.

Wiele w tym filmie gry kartami znaczonymi, również przez samą reżyserkę, wyspecjalizowaną w portretowaniu problematycznego i zarazem ekstatycznego dorastania. Mimo to wykreowany przez nią świat potrafi zassać, w czym bez wątpienia ma swój udział czujne oko dokumentalistki.

Dlatego tak przekonujący jest ów klimat nadmorskich peryferii, z niewesołym wesołym miasteczkiem i domowym barłogiem. Duża w tym zasługa Robbiego Ryana, którego rozedrgana kamera zdaje się oddychać razem z bohaterką. Wybitny irlandzki operator, znany między innymi z regularnej współpracy z Arnold, robił także zdjęcia do wielu późnych filmów Kena Loacha.

Tym łatwiej dopatrzyć się w „Birdzie" nawiązań do dużo wcześniejszego i kręconego z innym operatorem „Kesa" tegoż Loacha – o przyjaźni zaniedbywanego chłopca z oswojoną pustułką. Kino Andrei Arnold wyrasta z żyznego podglebia, jakkolwiek nie boi się penetrować nowych terytoriów.

„Nienawidzę ludzi" – taki napis ma Bailey w „swoim braku pokoju", lecz padają także z ekranu inne mocne słowa. Na przykład „Nikt nie jest nikim!" i już prędzej takim okrzykiem dałoby się podsumować „Birda". Jego twórczyni wyposaża w supermoce tych najmniej widocznych i najsłabszych. Zresztą cała dorosła sprawczość ogranicza się tu głównie do sztafety obojętności, lekkomyślności czy okrucieństwa.

To zmysłowe i cielesne kino, organicznie zrośnięte z naturą i swoim miejscem, jest niczym robienie przez Bailey „pokrzywki" – trochę boli, ale da się w ten sposób sprawdzić, czy ktoś żyje naprawdę. W istnienie Birda oczywiście wierzyć nie musimy, bez niego jednak każde szczęśliwe zakończenie byłoby (równie) naciągane, a rzeczywistość nieznośna i monotonna w swojej brutalności. Co nie zmienia faktu, że wszyscy wolelibyśmy świat, w którym nie trzeba sobie wymyślać nadprzyrodzonych opiekuńczych skrzydeł ani obronnych szponów. ©

Lektor:
Inna granica

▪ *Mikołaj Grynberg*
ROK, W KTÓRYM NIE UMARŁEM
Wydawnictwo Agora, Warszawa 2025, ss. 142.

„Nie lubię myślenia, że to jest nowe życie. Jakieś osobne i niezwiązane z tym poprzednim. Datę urodzenia wciąż mam tę samą. Dom, rodzinę, pracę. Dalej umiem to, co umiałem przedtem, a jednak coś się zmieniło. Wiem już – i to nie z teorii – że mogę umrzeć w każdym momencie. (...) Moje myśli zaczęły krążyć wokół czasu. Ale nie tak jak przedtem wokół liczenia czasu, tylko zdecydowanie bardziej wokół lepszego wykorzystania tego, który jeszcze mi pozostał. Chcę zdążyć, co jest do zdążenia".

Zawał, udar. Nagła konfrontacja z możliwością własnej śmierci. Stanięcie na jej granicy. W przypadku Mikołaja Grynberga początek jest szczególnie dramatyczny, z powodu spóźnionej diagnozy, czy raczej jej braku. Potem jest ryzykowna decyzja o powrocie do Warszawy, dwustukilometrowa szalona jazda, właściwie prosto na stół operacyjny. Ratunek w ostatniej chwili. Koronarografia, dwa stenty. Potem tempo wydarzeń zwalnia, przychodzą kolejne etapy, aż po rehabilitację, podczas której autor decyduje się walczyć o odzyskanie formy, niespecjalnie zresztą do tego zachęcany.

Świetna to jest książka, oszczędna i niepatetyczna, szczera i nie pozbawiona humoru. Czytałem ją, mając w pamięci własne doświadczenie udarowca, i mogłem tylko kiwać głową. Tak, tak, właśnie tak. Jakże precyzyjnie opisany dzień na OIOM-ie – choć podczas późniejszych odwiedzin na tym oddziale okazuje się, że pamięć nie wszystko dokładnie zanotowała. Życie w przymusowej wspólnocie pacjentów. Skłonność do płaczu. I jeszcze eksplozja uczucia wobec kardiologa-operatora, które nie jest tylko wdzięcznością. Tajemnica dwóch prześcieradeł (dobry tytuł dla kryminału!). Przystojna pani przesiadująca przy wejściu na kardiologię i uśmiechająca się do wszystkich – to nie zachęta do flirtu, pani czeka na przeszczep...

„Zdążyć, co jest do zdążenia". I odnaleźć na nowo swoje miejsce wśród najbliższych. Bo to także historia o miłości – do nieżyjących już rodziców, do żony i dzieci. Trochę też o dziedzictwie, tym zawartym w genach, gdzie mogą kryć się źródła choroby, ale również rozumianym szerzej.

A podczas lektury myślałem o poprzednich książkach Mikołaja Grynberga. Wracających do tematu Zagłady i o tej ostatniej, „Jezus umarł w Polsce", zbiorze rozmów o wydarzeniach na granicy polsko-białoruskiej. Bo cena za ich napisanie mogła się okazać niespodziewanie wysoka. ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Dybiąc na grzyby

Szesnaście lat wystarczy odtąd, by zagłosować na posła lub posłankę do Izby Gmin w Londynie. Taką bowiem zmianę kodeksu wyborczego zapowiedział tamtejszy rząd, wychodząc z założenia, że jeśli w tym młodym wieku można się już zaciągnąć do wojska, by umrzeć za złotego lwa i jednorożca na sztandarze króla jegomości, to należy się także prawo wpływu na parlament decydujący o wojnie. Szesnastolatek może się także na Wyspach napić wina lub piwa w restauracji, o ile zamówił posiłek i siedzi w towarzystwie opiekuna prawnego. Oj, czuję, że grożą mi grząskie piaski dygresji, dobrze bowiem wiecie, iż zarządzanie spożyciem środków zmieniających świadomość uważamy w tej rubryce za szczególnie ważną drogę poznawania kultur. Chociaż bywa, że wiedza, jaka z tego wynika, wcale nie jest radosna – Grecy, ci nasi chlubni przodkowie, w pijanym widzie robili rzeczy, za które dziś wyrzucilibyśmy ich poza nawias Europy.

I jeszcze do tego wyglądali na bardzo zadowolonych z siebie. A ich zgromadzenia, dziś tak chętnie uznawane za „przodka" ustroju parlamentarnego – do tego stopnia, że domyślną dziś formą usadzania posłów jest półkole greckiego teatru – były areną takich awantur i cynicznych manipulacji, że nasi „populiści" wyglądają przy tym jak odprasowani w kancik uczniowie na olimpiadzie z wiedzy o społeczeństwie. Jeśli mamy już na siłę idealizować jakieś wzorce, to zdecydowanie lepiej wypada prostokątny i ciaśniutki jak pudełko po cygarach parlament brytyjski, gdzie co najmniej jedna trzecia posłów zdobyła mandat przewagą głosów mniejszą, niż wynosi liczba szesnastolatków mieszkających w ich okręgu. Gdyby się owym młodym ludziom następnym razem zachciało, wynik mógłby być całkiem inny. Wygląda na to, że ci starsi stawiają na to spore pieniądze, skoro większość tzw. komunikacji politycznej odbywa się w pajacującym formacie tak zwanej rolki.

Ciągle mówię przy tym „młodzi", „młodym" z poczuciem wyższości i zadufania, jakby ostatnie możliwe kupony z gazetki o sensownym życiu rozdali między siebie ludzie w wieku może nie przydrożnych kamieni, o których pisał dwudziestolatek Tyrmand, ale, powiedzmy, skrzypiących dostojnie belek starego dworu modrzewiowego. Spędzałem niedawno ważne chwile w takimż dworze, przez splot przypadków wypełnionym akurat po brzegi słowami na nowo czytanego „Pana Tadeusza". Uderzyło mnie tym razem, jak bardzo pozytywnie, ciepło i mądrze obecna jest w tekście „młodzież", z jakim spokojem, zaufaniem i sympatią patrzą na nią mickiewiczowscy seniorzy (też często w wieku, który dziś uznalibyśmy za całkiem jeszcze średni). Pamiętać zatem trzeba, że nasz tożsamościowy poemat

PIOTR BUJNOWICZ / FABRYKA OBRAZU / FORUM

jest z gruntu optymistyczny wobec młodych. Może dlatego, że mają do wykonania pewną wojenną robotę u boku już pędzącego na zderzenie ze ścianą Napoleona. A autor, wcale nie sędziwy zresztą, wiedział z perspektywy czasu, iż wykonali ją dobrze, fundując Polsce całkiem niezłe wejście w nowoczesność XIX wieku.

Ale nie przesadzajmy z historiozofią. Wsiąkłem i utonąłem w „Panu Tadeuszu" jak śliwka w zbyt luźnym biszkopcie, bom chciał odszukać scenę grzybobrania z trzeciej księgi, a także krótki, genialny opis tego, czym pachnie i jak smakuje bigos. Beznadziejna to sprawa – oto w kwestii bigosu „Słów tylko brzęk usłyszy i rymów porządek / Ale treści ich miejski nie pojmie żołądek. / Aby cenić litewskie pieśni i potrawy / Trzeba mieć zdrowie, na wsi żyć, wracać z obławy". W wielu różnych momentach, gdy szukamy polskiej idei przy stole i chcemy opowiedzieć innym o sobie, nadal zachowujemy się, jakbyśmy z tej obławy wracali i regularnie jadali świeżo ubitą zwierzynę oraz kapustę ukiszoną w kamiennych naczyniach.

Z grzybami jest prościej, pomimo stopniowej utraty bioróżnorodności lista gatunków w poemacie nie brzmi jak list w butelce z odległej wyspy. A grzyby mnie zaciekawiły, bo pisze o nich pasjonująco Jehanne Dubrow w wydanej u nas niedawno książce „Smak. Zapiski o kulturze i zmysłach". W tym niedużym tomie lekkiej jak muszelka eseistyki jest mnóstwo mostów między zmysłowym, osobistym i jednostkowym prze-

Film „Pan Tadeusz", reż. Andrzej Wajda. Grażyna Szapołowska jako Telimena i Michał Żebrowski jako Pan Tadeusz, 1999 r.

żywaniem jedzenia a znaczeniami, jakie nadawały im różne tradycje i kultury w literackiej formie. Stąd u Dubrow – Amerykanki mającej jednakowoż za sobą epizod mieszkania w Polsce – kiedy mowa o wyższości grzybów leśnych nad tacką marketowych pieczarek, muszą się pojawić konteksty wschodniej Europy. No i właśnie Mickiewicz, doskonale mimo upływu dwustu lat wpasowany w realia współczesnej wyprawy do lasu, chodzenia po mchu, siadania na iglastym poszyciu, w którym nadal grasują mrówki. Jeśli lubicie czytać tę rubrykę, z pewnością was książka Dubrow zadowoli. Powinienem napisać do autorki, żeby może zastąpiła mnie podczas wakacji.

„Wszyscy dybią na rydza..."? Nie wszyscy. Ktoś pamięta, co zbierał Wojski? Otóż muchomory. Nie wiem, czy ludzie ogarnięci szamańską manią zjadania suszonego muchomora – a są ich tysiące, nawet w tzw. dobrym towarzystwie bywa, że muszę odmawiać propozycjom przekąski z kapelusza w kropki – są świadomi, że mają tak zacnego patrona. Może lepiej im nie mówić, i tak już ta moda urosła do skali daleko większej niż zawsze obecne wśród nas gusła i dziwactwa.

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Sos boscaiola

Ojciec pani Dubrow, amerykański dyplomata na placówce w Warszawie, szukał w polskim lesie kurek. Mam wrażenie, że każdy z nas ma we krwi proste sposoby na nie, zwłaszcza że nie trzeba im specjalnie niczego dodawać – poza masłem, solą, pieprzem, natką – żeby pięknie zagrały na talerzu same albo w jajecznicy. Czasem, choćby z nudów, można spróbować połączenia grzybów (zarówno kurek, jak i zwłaszcza podgrzybków) z pomidorami i boczkiem albo włoską surową kiełbasą – w sosie, który zwie się leśnym i ma bardzo wiele wariantów.

PRZEPIS NA 4 PORCJE MAKARONU:

400 g świeżych, oczyszczonych grzybów (najlepiej podgrzybków, ale kurki też będą dobre)
200 g boczku lub włoskiej kiełbasy
400 ml przecieru pomidorowego
1 cebula ▪ sól ▪ oliwa ▪ natka pietruszki

Kroimy boczek w drobną kostkę albo obieramy kiełbasę z flaka i rozdrabniamy. Podsmażamy 2-3 minuty w odrobinie oliwy na średnim ogniu. Odkładamy na bok. Na tę samą patelnię dolewamy nieco oliwy (jeśli boczek nie wypuścił dużo tłuszczu), szklimy na niej pokrojoną drobno cebulę, dodajemy drobno pokrojone grzyby, dusimy, mieszając kilka minut, aż zmiękną, wlewamy przecier pomidorowy. Dalej dusimy na wolnym ogniu, aż sos zgęstnieje, dodajemy z powrotem boczek lub kiełbasę. Na koniec, po zgaszeniu ognia, możemy sos wzbogacić paroma łyżkami śmietany. Na wydaniu z makaronem szczodrze dodajemy posiekaną natkę. ©℗

FOODIES ACADEMY / SHUTTERSTOCK

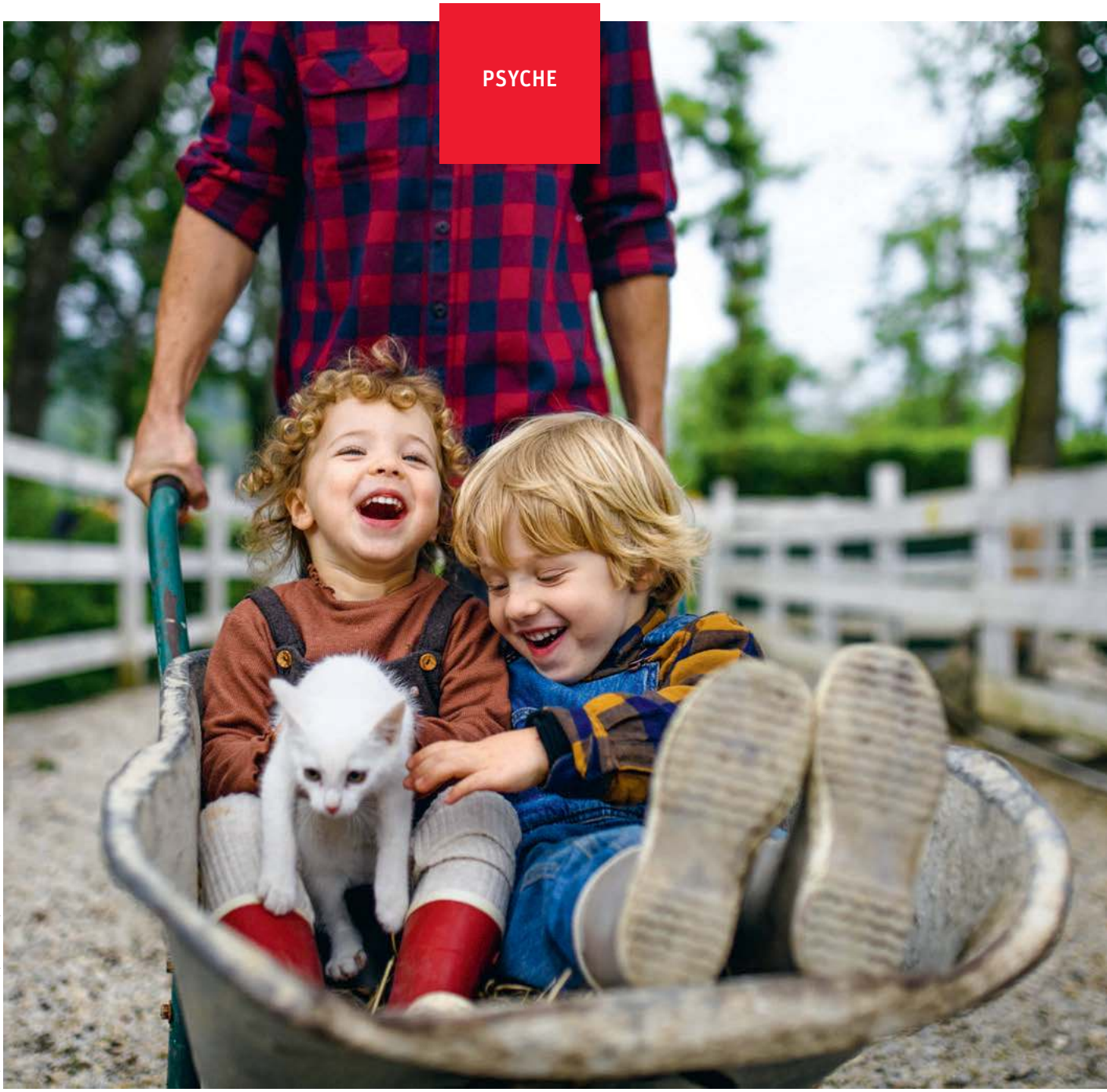

WOJCIECH OLKUŚNIK / DDTVN / EAST NEWS

ZRÓBMY SOBIE SENS

ANNA KRAWCZAK, MATKA I BADACZKA DZIECIŃSTWA:

Moje spełnienie to w jakimś sensie decyzja.
Że odrzucam popularną ostatnio opowieść o rodzicielstwie jako udręce
i lęku przed przyszłością. A wybieram tę o szczęściu i wzroście.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: U mnie godz. 17.00, u Pani wczesny poranek.

ANNA KRAWCZAK: Jestem na stypendium w San Francisco, popijam poranną kawę i zastanawiam się, czy mam Panu coś oryginalnego do powiedzenia.

Jakie wnioski?

Że będzie ciężko, bo o macierzyństwie można albo klepać słuszne i szlachetne komunały, albo mówić rzeczy może i ciekawe, za to ryzykowne.

Zbudujmy suspens i zostawmy to drugie na później. A teraz ustalmy fakty.

Mam czwórkę dzieci, w wieku dziewięciu, jedenastu, piętnastu i dwudziestu czterech lat. Dwoje młodszych to moje dzieci adoptowane, starsze to biologiczne.

O młodszej dwójce rozmawialiśmy dla „TP" pięć lat temu. Opowiadała mi Pani wtedy wiele o problemach i utrapieniach, na jakie natrafiają rodzice zastępczy i adopcyjni.

A dzisiaj, jeśli dobrze rozumiem, problemy i utrapienia omijamy?

Spotykamy się niejako na zlecenie czytelniczki „TP", Pani Martyny. Napisała list, w którym pochwaliła nasz nowy dział PSYCHE, ale dokonała też bezlitosnej diagnozy tego, jak media opowiadają o rodzicielstwie. I poprosiła: napiszcie o korzyściach płynących z bycia matką i ojcem.

Czytałam ten list i zgadzam się z diagnozą: o tym zjawisku opowiadamy głównie przez pryzmat negatywów. I to wcale nie tylko w sferze publicznej. Natrafiłam niedawno na pewnym zamkniętym forum dla kobiet na wpis pani po czterdziestce, która rozważała zajście w ciążę. Pisała, że czas jej się kurczy, że chciałaby mieć dzieci, ale z drugiej strony nieźle się odnajduje w swoim bezdzietnym życiu. Prosi inne kobiety o rady i refleksje.

Co usłyszała?

Większość pań pisała, że nie żałuje, i że powtórzyłyby swój wybór, ale... I właśnie to, co po „ale", tworzy charakterystyczną w moim przekonaniu współczesną opowieść o rodzicielstwie. Ale to trudna decyzja. Ale niesie ze sobą życiową rewolucję. Ale wymaga wyrzeczeń. Ale wiele kobiet żałuje bycia matkami. Tak jakby nieco niestosowne było dzisiaj opowiadanie o rodzicielstwie jako czymś wspaniałym. I jakby bycie matką niosło ze sobą wewnętrzny przymus tłumaczenia się, dlaczego ja na te dzieci się zdecydowałam.

Skąd się według Pani taka tonacja bierze?

Moim zdaniem – i to właśnie ta ryzykowna część diagnozy – jest częścią opacznie pojmowanej poprawności. Nie mówmy o tym zbyt pozytywnie, bo to może urazić osoby, które na dzieci się nie zdecydowały. Albo nie mogą ich mieć. Albo mają i mówią, że żałują.

Jeszcze niedawno żyliśmy w społeczeństwie, w którym trzydziestolatka musiała się tłumaczyć, dlaczego nie ma dzieci – a nie na odwrót.

Nie ma między tymi dwiema sytuacjami sprzeczności – one istnieją równolegle. Sposób opowiadania o rodzicielstwie, który zauważyła czytelniczka „TP", jest moim zdaniem – nieco rzecz upraszczając czy stereotypizując – głosem wykształconych kobiet, mieszkanek dużych miast. Są stabilne zawodowo, mają komfort zadawania sobie pytań, racjonalizowania wyborów. Rzeczywistość wsi i małych miasteczek jest inna: tu opowieść może być taka, jaką znamy sprzed dekad, gdy nasi rodzice zadawali nam pytania typu: „Kiedy dzieci?".

Istnieje pozytywna narracja o rodzinie – ta prawicowo-konserwatywna. Tyle że ona może być odbierana jako konstrukt ideowy. Postulat dla wyludniającej się wspólnoty narodowej, a nie dla jednostek.

Myślę, że przegapiliśmy moment, w którym ta narracja stała się reliktem. To trochę tak, jakbyśmy sobie brali jakiś artefakt z muzeum i mówili, że nam zagraża albo nas dominuje. Znacznie bardziej powszechna jest opowieść z „ale".

I ona – na zasadzie sprzężenia zwrotnego – wpływa na nasze postawy? A może nawet, jak napisała pół żartem czytelniczka – na niską dzietność? Prof. Marcin Napiórkowski mawia, że ludzie nie podejmują decyzji na podstawie faktów, ale na bazie opowieści.

To prawda, nawet jeśli wielu spośród nas myśli, że ich decyzje są niczym analizy SWOT; że tylko wyważenie plusów i minusów doprowadzi mnie do zobiektywizowanego stanowiska w ważnej sprawie. Tylko że rodzicielstwo tak nie działa.

A jak działa?

Zostawałam matką czterokrotnie, za każdym razem jako inna osoba. Gdzie indziej pracując, co innego robiąc, inaczej myśląc o świecie i ludziach. Za każdym razem tworzyła się też nowa, zupełnie inna niż poprzednie relacja. Jest w tym wszystkim tak wiele zmiennych, niedających się przewidzieć elementów, że żadna analiza SWOT się nie sprawdzi. Innymi słowy: my o sobie myślimy, że jesteśmy racjonalni i analizujemy precyzyjnie nasze strategie życiowe, ale tak naprawdę decydujemy w oparciu o opowieści.

Pamięta Pani jakieś pozytywne opowieści o rodzicielstwie w sferze kultury?

Tak, ale łatwiej mi – co pewnie znamienne – o przykłady z własnej młodości. To choćby seriale „Domek na prerii" czy „Pełna chata", emitowane w czasach, gdy dzieci były tak oczywistym elementem rzeczywistości, że pojawiały się – choćby w tle – w niemal każdym tekście kultury. Dzisiaj możemy obcować z dziełami, w których dzieci nie ma. A ponieważ wielu z nas nie ma łączności ze swoim dzieciństwem – bo to często konfrontacja z trudnymi emocjami, brakiem autonomii, sprawczości – to dzieciństwo jako zjawisko przeżywane na co dzień dla części z nas w ogóle nie istnieje.

Serial „Matki pingwinów" był wydarzeniem.

To przykład opowieści, która wyważa między lukrem a goryczą. Choć znamienne, że serial ten był krytykowany z tego powodu, że nie pokazuje, „jak bardzo jest ciężko" (*śmiech*). ↦

↦ **To teraz stwórzmy własną opowieść. Pani ją zresztą konstruuje na co dzień – na Facebooku – pisząc o swojej rodzinie w konwencji autoetnografii, mającej m.in. za zadanie chronić wizerunek dzieci.**

Każde z nich reaguje różnie na to moje pisanie. Najstarszemu, dorosłemu już synowi zdarza się powiedzieć: „Dawno już o mnie nic nie pisałaś. Dlaczego?". Dziecko średnie, czyli nastoletnie, ma dokładnie na odwrót: pomimo iż nie padają jego dane, każdy wpis musi przeczytać przed publikacją. I część treści nie przechodzi przez jego cenzorskie sito.

Co Pani to pisanie daje?

Cenię sobie życiowy moment, w którym jestem, uważam się za osobę bardzo szczęśliwą i spełnioną. A że to szczęście i spełnienie jest zakorzenione w doświadczeniu macierzyństwa, toteż piszę o nim. Chcę się też podzielić opowieścią, w której rodzicielstwo jest formą rozwoju, a nie ograniczeniem wolności.

Pani po raz pierwszy została matką w wieku 19 lat – to nie godziło w Pani wolność?

Miałam wtedy zwyczaj, że chodziłam z moją mamą po pracy na obiad albo na zakupy – to były niezwykłe momenty kultywowania naszej relacji. Gdy dowiedziałam się o ciąży, niczym obuchem uderzyła mnie myśl, że oto kończy się moje dzieciństwo, a razem z tym końcem przychodzi kres takiej jak dotąd relacji z mamą.

Cieszę się, że nie utknęłam w tej stracie, za to dałam sobie szansę na zbudowanie nowej opowieści – o dojrzałości, o sprawczości, o relacji matki z córką samej będącej matką. I o radości płynącej z prowadzenia nowych ludzi przez świat i doświadczenia.

Bycie rodzicem jest chyba nieustanną szkołą rozstań i pożegnań? Z obrazem dziecka, jakie chcieliśmy mieć. Z zależnym od nas w pełni człowiekiem, gdy wychodzi z wieku 1-3 lat. Z kolejną jego wersją, która patrzy na nas bezkrytycznie, ale tylko do wieku nastoletniego. I z człowiekiem, który był pod naszym dachem, a teraz wyfruwa.

Zgadzam się z tym całkowicie. Tu zresztą znowu wraca sprawa opowieści. Bo jeśli o tym rozstawaniu opowiemy językiem straty, to będziemy mieli przypisany do rodzicielstwa kolejny problem. Ale możemy opowiadać o tym językiem korzyści. Np. mówiąc, że bycie ojcem czy matką uczy cierpliwości i akceptacji dla zasady odroczonej gratyfikacji: że np. po okresie 0-3 lat, który jest pod wieloma względami najtrudniejszy, przyjdą czasy łatwiejsze.

Pani w swoich wpisach opowiada o dzieciach jako nauczycielach.

„Królowa", jak nazywam jedno z moich młodszych dzieci, nauczyła mnie, czym jest prawda, a czym kłamstwo – i była to lekcja nieoczywista. Ona przetwarza trudną rzeczywistość w fikcję.

Poproszę o przykład.

Urodziła się na pustyni. Przyszła burza piaskowa i wiatr ją przeniósł na szczyt góry, gdzie z kolei wydarzyło się trzęsienie ziemi, więc spadła na wybrzeże. Tam przyszła fala tsunami. I ta fala przeniosła ją do naszej rodziny – gdzie mogła się narodzić drugi raz.

Taką opowieść stworzyła pięciolatka z traumą relacyjną, która najpierw była u nas umieszczona w rodzinie zastępczej interwencyjnie, a później została adoptowana.

A lekcja?

Że fikcja może być prawdą o losie człowieka. Dla bardzo wielu dorosłych to by było „kłamstwo", w najlepszym razie „dziecięce fantazjowanie", a ja się nauczyłam, że to potęga mądrości. W jaki sposób, mając kilka lat, można używać kodu narracyjnego, kodu symbolicznego i wizualnego, żeby zintegrować traumę. Coś takiego dane jest pewnie zwykle tylko terapeutom – ja tę lekcję dostałam jako matka.

W jednym z wpisów stwierdza Pani, że wraz z dziećmi wychowujecie się wzajemnie. Co to właściwie oznacza?

Może po publikacji naszej rozmowy odezwą się z głosem protestu behawioryści, ale moim zdaniem na tym polega główna różnica między wychowywaniem dzieci a posiadaniem np. psów, które zresztą kocham i też mam. Od dzieci otrzymujemy nieustannie informację zwrotną, często krytyczną. W ramach tej informacji usłyszymy nieraz np. w gniewie, że jesteśmy beznadziejnymi rodzicami, że popełniamy błędy. Dzieci nie zawahają się precyzyjnie wypunktować, jakie to błędy. I to jest bardzo dobra informacja.

Dobra?!

Tak, bo to oznacza, że dziecko czuje się z nami bezpiecznie. To jest nieoczywisty dar, którego nie dostaniemy ani od machającego niemal ciągle ogonem psa...

...ani od dorosłego przyjaciela, bo nie będzie nas chciał dotknąć.

Ani tym bardziej od szefa w pracy, bo to byłby mobbing (*śmiech*).

Tu wracam do tezy o rozwojowym walorze rodzicielstwa. Decyduje o tym właśnie szczera informacja zwrotna – czasami przykra, czasem bezlitosna. Mówiąc naszym poprawnościowym językiem dorosłych z XXI wieku, dzieci są bardzo przekraczające. Ale możemy też o tym powiedzieć inaczej. Od dzieci dostaniesz za darmo wgląd w siebie, w swoje reakcje, relacje – nikt ci tego nie da w takiej skali jak one.

Inne lekcje od pozostałych Pani dzieci?

Mój nastoletni syn wszedł w adolescencję z przytupem. Jest dzieckiem niezwykle wymagającym intelektualnie – z rozstrzałem tematów do dyskusji między systemem monetarnym Azerbejdżanu a historią zespołu Nirvana. Stawia przede mną czerwoną książeczkę Mao Zedonga i oczekuje rozmowy na jej temat.

Uwielbia intelektualnie szokować, prowokować. Przeszliśmy już przez wszystko: nacjonalizm, komunizm, anarchokapitalizm. Mózgi nastolatków funkcjonują nieco inaczej, o godz. 22 nasze zegary biologicznie biją odmiennym rytmem, ale jednak właśnie o tej 22.00 mój syn – gdy ja szykuję się do snu – przychodzi i oczekuje kolejnej głębokiej rozmowy np. o tym, czym jest krytyczna metoda poznawcza.

I co Pani na to?

Nie idę spać, choć przecież wiem, że mogłabym akurat w tym momencie wyrysować swoje granice: „Przepraszam, jutro o piątej wstaję". I czasami tak robię, ale jednak częściej gadamy. Bo wiem, ile to mojemu dziecku daje, i ile ja z tego dostanę.

Są też lekcje o emocjach.

Kto je Pani daje?

Mój 11-letni dziś syn. Pamiętam taką sytuację. Kłótnia, trzaśnięcie drzwiami, a za moment moje dziecko do mnie wraca. „Słuchaj – mówi – my się tak kłócimy, bo jesteśmy do siebie strasznie podobni. I kiedy ja wybucham, to potrzebuję twojego przytulenia. Chociaż wiem, że tobie w takiej sytuacji trudno mnie przytulać". Proszę to sobie wyobrazić: on, dziecko, przeprowadza mnie za rękę przez sytuację tak, jakbym sama chciała przeprowadzić np. proszącego mnie o radę rodzica!

WOJCIECH OLKUŚNIK / DDTVN / EAST NEWS

ANNA KRAWCZAK jest matką czwórki dzieci, w tym jednego dorosłego syna. Antropolożka, współtwórczyni i badaczka Zespołu Badań nad Dzieciństwem UW. Współpracuje z Fundacją Dajemy Dzieciom Siłę, szkoli m.in. kandydatów na rodziny zastępcze. Autorka wielu publikacji nt. praw dziecka, adopcji i pieczy zastępczej.

Mówi Pani o podobieństwie i pokrewieństwie, choć z tym akurat dzieckiem nie łączy Pani biologia. „Nie ma potęgi biologii, jest potęga więzi" – mówiła Pani kilka lat temu.

A dzisiaj bym dodała: jest potęga więzi, która staje się też niejako potęgą biologii. W tym sensie, że każdy proces długotrwałego bycia z kimś, tworzenia relacji, powoduje też zmiany neurologiczne. Budujemy coś w rodzaju by-passów, nowych połączeń neuronalnych, próbując obejść te skrócone ścieżki reakcji posttraumatycznej. Przecież to czysta biologia!

Istnieją fińskie i brytyjskie badania dotyczące schizofrenii – współczynnik ich dziedziczenia wynosi około 30 procent. Badacze sprawdzili, co się stanie, gdy do czynnika genetycznego dodamy ten środowiskowy. Oba badania na dużych próbach dowiodły, że w grupie dzieci, których rodzice biologiczni cierpieli na tę chorobę, ale swoich potomków nie wychowywali, to dziedziczenie drastycznie spadało – w jednym pomiarze o połowę, w drugim o dwie trzecie. To są potężne wartości!

A stało się tak nie dlatego, że dzieci te magicznie pozbywały się predyspozycji genetycznych do zachorowania, ale że – ze względów środowiskowych – nie uruchomiła się ekspresja genów odpowiedzialnych za zachorowanie. To jest biologia czy wychowanie?

„Błogosławieni powinni być rodzice nastolatków, a Bóg/Bogowie (nie upieram się przy wyborze konkretnej religii) powinni istnieć, ponieważ w przeciwnym razie nikt nam po śmierci nie wynagrodzi tych udręk" – napisała Pani. I jest to świetna ilustracja tego, że nawet udręki rodzicielstwa wkłada Pani w nawias opowieści o korzyściach.

To świadoma strategia – te zdania nie oznaczają, że naszą rodzinę omijają dramaty. Oznaczają, że tak widzę przeżywanie życia, także tego rodzicielskiego: przeżywamy je tak, jak je sobie opowiemy, że wrócę na moment do Marcina Napiórkowskiego. Ja moje matczyne spełnienie uważam w jakimś sensie za decyzję. Że odrzucam opowieść o rodzicielstwie jako udręce i lęku przed przyszłością. A wybieram tę o szczęściu i wzroście.

I wcale nie uważam, że to jest malowanie trawy na zielono.

A może jednak my to pracowicie od ponad godziny robimy? Przecież rodzicielstwo dla wielu osób bywa udręką. Bezsenne noce, kryzysy, świadomość, że mojemu dziecku w najbliższych siedmiu, ośmiu dekadach przelecą nad głową jakieś – putinowskie czy inne – rakiety, a już na pewno doświadczy skutków kryzysu klimatycznego.

Gdy słyszę, że kryzys klimatyczny to najgorszy moment na to, by decydować się na dzieci i „fundować im niepewną przyszłość", to odruchowo proponuję odwrócenie myślenia. Nie ma lepszego sposobu na mierzenie się z kryzysem klimatycznym niż mądre wychowywanie mądrych dzieci przez mądrych dorosłych.

Poza tym muszę wrócić do opowieści o opowieści. Gdy opowiadamy o udręce, to ją trochę stwarzamy – malujemy trawę na czarno. Wolę więc opowiadać o tym, że bycie matką to jest mój wzrost, wzrost mojego dziecka, fascynujące towarzyszenie w dojrzewaniu, sens życia.

Co by Pani powiedziała rodzicom, którzy przyzwyczaili się do przeżywania swojego rodzicielstwa przez pryzmat problemów? Albo, o czym pisaliśmy trzy tygodnie temu, przeżywają rodzicielskie wypalenie?

Tym pierwszym mogę tylko odpowiedzieć własną historią. Moim rodzicielskim *mindfulness*, czyli uważnością na chwile spędzone z dziećmi, praktykowaniem wdzięczności, że je mam, i że są takie, jakie są. Że moja córka narysowała dla mnie laurkę.

Nie umiem powiedzieć za dużo o wypaleniu, może bardziej o dojrzałym rodzicielstwie, w którym doceniłam słuchawki wyciszające, chwile samotności i inwestowanie w relację z mężem. Ważne, by w chwili adolescencji naszych dzieci zdecydować się na psa, najlepiej dwa. Zawsze wtedy w domu będzie ktoś, kto się ucieszy na nasz widok.

Boi się Pani wyfrunięcia dzieci z gniazda?

Jedyne, czego się w temacie dzieci boję, to wspomnianej adolescencji – to naprawdę trudny moment, choć ten okres szybko się kończy. A co do wyfruwania, przeżyłam jedno, i się nie boję. Nie nudzę się ani z mężem, ani z przyjaciółmi. Zresztą rodzicielstwo po tym wyfrunięciu się nie kończy. Wchodzi na inny poziom.

©℗ Rozmawiał PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

TOMASZ

Stawiszyński:
Logiczny i spójny chaos

Przed dwoma laty korespondowałem z pracownikiem naukowym jednej z największych polskich uczelni. Rzecz dotyczyła popularnych publikacji prasowych i książkowych traktujących o ówcześnie rządzącej ekipie. W publikacjach tych twierdzono – okraszając wywody pokaźną liczbą przypisów, cytatów, faktów i innych emblematów wiarygodności – że oto zakamuflowana rosyjska agentura podstępem przejęła w Polsce władzę. I że li tylko kamuflażem są jej powierzchniowo antyrosyjska retoryka oraz powierzchniowo antyrosyjskie działania, w tym również wielka pomoc niesiona od lutego 2022 r. napadniętej przez Rosję Ukrainie.

Pisałem wtedy i mówiłem to samo, co piszę i mówię dzisiaj. Były i są to klasyczne przykłady myślenia spiskowego, w którym nie fakty prowadzą do prawomocnych wniosków (oraz domniemań), lecz nieprawomocne (bo powzięte *apriori*) wnioski zarządzają faktami (oraz domniemaniami) tak, żeby do nich pasowały (nawet jeśli pokracznie i bez wdzięku). I właśnie po jednej z takich moich wypowiedzi odezwał się wspomniany akademik. Wymieniliśmy kilka polemicznych maili, a następnie podpisaliśmy protokół rozbieżności, pozostając przy wyjściowych stanowiskach.

Jego koronny argument przypomniał mi się jednak po lekturze entuzjastycznych komentarzy pod rozmową z Grzegorzem Braunem, którą – po niesławnej wypowiedzi o „fake'owych komorach gazowych" – przeprowadził z nim na YouTubie Jan Pospieszalski. Brzmiał ów argument mniej więcej tak: teorie spiskowe to jakieś pojedyncze zdania, jakieś nieudokumentowane idiosynkrazje, postrzępione i fragmentaryczne; ergo, tam, gdzie mamy do czynienia z rozległą analizą, przypisami, odnośnikami, nie mamy do czynienia z teoriami spiskowymi. Komentarze pod rozmową z Braunem brzmią zaś m.in. tak: „kiedy posłucha się go dłużej, jego długiej, ale logicznej wypowiedzi, to wszystko zaczyna mieć sens"; „każde słowo, każdy przecinek u pana Brauna jest logiczny do bólu"; „to się ogląda jak film »12 gniewnych ludzi«, na początku wszyscy chcą człowieka skazać, a potem pojawiają się kolejne i kolejne wątpliwości".

Dostrzegacie analogię? I w jednym, i w drugim przypadku obcujemy z przekonaniem, jakoby teoria spiskowa była czymś w widomy sposób irracjonalnym, poszatkowanym, głupim i niedorzecznym. Skoro więc coś takie z pozoru nie jest, a nawet, przeciwnie, nosi znamiona systematyczności, logiki, wsparcia na faktach, znaczy niechybnie, że w poczet teorii spiskowych nie wolno tego czegoś zaliczyć.

Otóż jest to jedno z największych, a zarazem najczęstszych nieporozumień w tej grząskiej i pełnej pułapek materii. Historia teorii spiskowych to nie jest wyłącznie historia szalonych pomysłów, rzucanych ad hoc podejrzeń, nietrzymających się kupy bajdurzeń, lecz właśnie, dokładnie, historia rozbudowanych, uczonych, wspierających się na faktach, niezwykle logicznych i ścisłych analiz. Upstrzonych przypisami, tworzonych nierzadko przez wykwalifikowanych naukowców oraz innego autoramentu ekspertów. Kto nie wierzy, niech zerknie choćby do klasycznego, a opasłego dzieła literatury spiskowej „Inventing the AIDS virus" autorstwa wybitnego biologa i wirusologa prof. Petera Duesberga, z przedmową prof. Kary'ego Mullisa, laureata Nagrody Nobla w dziedzinie chemii. Albo niech przekartkuje sztandarowe w ostatnich latach dzieło uchodzące w ruchu antyszczepionkowym za niebywale rzetelne – „Turtles All the Way Down. Vaccine Science and Myth". Czy też weźmie do rąk pozycje z gatunku rewizjonizmu-negacjonizmu, których autorem jest wspominany przeze mnie przed tygodniem David Irving, z pewnością jeden z najważniejszych intelektualnych autorytetów coraz bardziej rozochoconego europosła. O masywnych tomiszczach – pełnych faktów, przypisów i „do bólu logicznych" rozumowań – autorstwa Davide'a Icke'a (polecam zwłaszcza „Ludzka raso, powstań z kolan", kamień milowy w badaniach nad reptilianami) już nawet nie wspominając.

Proszę mnie dobrze zrozumieć: wracam do tematu Brauna wyłącznie po to, żeby uczulić potencjalnych odbiorców na stosowane przez niego środki manipulacji i perswazji. Nienowe, standardowe, wyświechtane, padające jednak wciąż na podatny grunt różnych stereotypów i rozpowszechnionych mniemań. Skuteczność oddziaływania myślenia spiskowego właśnie stąd się bierze, że przychodzi w szatach racjonalności, zasadnych podejrzeń, ukrywanych ponoć informacji, logicznego łączenia kropek, badań rzekomo naukowych. Teorie spiskowe nie muszą wcale sprawiać wrażenia absurdalnych, a nawet jeśli je sprawiają w pierwszym odruchu, to już w drugim lub trzecim zaczynają się jawić jako świetnie uzasadnione, „do bólu" logiczne i nieodparte. Właśnie o to chodzi, to sama esencja spiskowych narracji: ich narzucająca się oczywistość, ich spójność, logika i kompleksowość.

Nie dajmy się jednak zwieść. Za tym rzekomo rozbudowanym, racjonalnym i świetnie uzasadnionym wywodem czyha bowiem spiskowe szaleństwo. Rzecz w tym, że najczęściej zbyt późno się o tym przekonujemy. Tak późno, że nie zdajemy sobie sprawy z tego, w co popadliśmy. I sądzimy, że wszystko w naszym świecie jest logiczne i spójne, podczas gdy tak naprawdę znajdujemy się od dawna w domenie kompletnego chaosu. Nawiasem mówiąc, rzeczywistość rzadko bywa „do bólu" logiczna i spójna, chaos zaś, jak widać, przeciwnie. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

Wydawnictwo Biblioteki Śląskiej

Zamówienia:
wydawnictwo@bs.katowice.pl

Marcin Orliński
Pegaz, gazu!

Cóż, purnonsens pokazuje niebywałe możliwości i piękno tkwiące w naszym języku, co przecież powinno napawać nas dumą i pokrzepiać. Mnie – pokrzepia!

Michał Rusinek

Radosław Kobierski
Człowiek ma cienkie ściany

Czytajmy Kobierskiego, bo to poeta, który potrafi patrzeć. A patrzy kamerą i słowem [...].

Jerzy Jarniewicz

Karol Maliszewski
List do prawnuków

Te wiersze uwijają się wokół okruchów życia, wokół tego, co niezmienne, często niepojęte, mając za plecami widmo wojny.

Marzanna Bogumiła Kielar

Maciej Sieńczyk
Pijaczek

Tak rozkołysanej moralnie, dramatycznie niestabilnej, a przez to prawdziwej, postaci dawno w naszej literaturze nie było.

Karol Maliszewski

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

Województwo Śląskie
Biblioteka Śląska
Instytucja kultury Samorządu Województwa Śląskiego
wydawnictwo biblioteki śląskiej

Biblioteka Śląska
pl. Rady Europy 1
40-021 Katowice

REKLAMA

REKLAMA

SUBARU **FORESTER**
WOLNOŚĆ PODRÓŻOWANIA

FORESTER.SUBARU.PL

SAMOCHODY SUBARU SĄ OBJĘTE 8-LETNIĄ GWARANCJĄ **SUBARU SAFE8**

WIĘCEJ NA **SAFE8.SUBARU.PL**

8 LAT GWARANCJI SUBARU SAFE8

SUBARU

SUBARU ZALECA PRODUKTY

SJS SZKOŁA JAZDY SUBARU

KERATRONIK Kompleksowe systemy GPS

warta.

Santander Leasing

ENEOS MOTOR OIL

YOKOHAMA